Ian

McEwan

W SKORUPCE ORZECHA

O książce

Tajemniczy narrator, ukryty w sekretnym miejscu niedostępnym dla oczu i uszu, jest świadkiem i mimowolnym uczestnikiem spisku. Jeśli knowania się powiodą, będzie również winny zbrodni, utraci najbliższą osobę i jednocześnie sam stanie się ofiarą morderczego podstępu. Aby tak się nie stało, musi zainterweniować. Tylko jest pewien problem...

Zajrzyjcie do środka i pozwólcie, by dramat rozegrał się na waszych oczach!

W Londynie trwa upalne lato, a w chłodzie wiekowej kamienicy jej mieszkańcy, nie żałując sobie wybornego wina, realizują swój zbrodniczy plan.

Zaczynamy!

OPOWIEDZIANA Z NIEZWYKŁEJ PERSPEKTYWY KLASYCZNA HISTORIA O MORDERSTWIE I ZDRADZIE, NAPISANA PRZEZ ŚWIATOWEJ SŁAWY MISTRZA KRÓTKIEJ FORMY.

Ian McEwan

W SKORUPCE ORZECHA

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Ian McEwan
(ur. 1948 r.)

Jest jednym z najwybitniejszych współczesnych brytyjskich pisarzy i laureatem wielu nagród literackich. Jego dorobek obejmuje scenariusze filmowe, zbiory opowiadań i powieści tłumaczone na kilkanaście języków. W Polsce ukazały się m.in. opowiadania *Pierwsza miłość, ostatnie posługi* oraz powieści: *Dziecko w czasie, Niewinni, Amsterdam, Pokuta, Sobota, Na plaży Chesil, Słodka przynęta* i *W imię dziecka*. Był wielokrotnie nominowany do Booker Prize, najbardziej prestiżowej brytyjskiej nagrody literackiej, i otrzymał ją za *Amsterdam.* Inna książka - *Dziecko w czasie* - zdobyła Whitbread Prize i Prix Femina Etranger. *Pokucie*, uznanej przez krytyków za jego najwybitniejsze dzieło, przyznano aż trzy znaczące nagrody (w tym National Book Critics' Circle Fiction Award) i przez długi czas nie schodziła z czołówki list bestsellerów. Na kanwie *Niewinnych* i *Pokuty* powstały głośne filmy. W 2007 r. McEwan został wyróżniony Common Wealth Award.

Obecnie trwają prace nad trzema ekranizacjami książek McEwana: *Dziecko w czasie* z Benedictem Cumberbatchem w roli głównej, *Na plaży Chesil* z Saoirse Ronan oraz *W imię dziecka* z Emmą Thompson i Stanleyem Tuccim.

Tego autora

POKUTA

NA PLAŻY CHESIL

UKOJENIE

DZIECKO W CZASIE

NIEWINNI

SOBOTA

AMSTERDAM

CZARNE PSY

PIERWSZA MIŁOŚĆ, OSTATNIE POSŁUGI

W POŚCIELI

SOLAR

SŁODKA PRZYNĘTA

W IMIĘ DZIECKA

W SKORUPCE ORZECHA

Dla Rosie i Sophie

Mój Boże! Zamknięty w skorupce orzecha, jeszcze czułbym się władcą nieskończonych przestrzeni – gdyby mnie tylko nie dręczyły złe sny.

William Szekspir, *Hamlet*, akt II, scena II

(przełożył Stanisław Barańczak)

Jeden

A więc jestem tutaj, obrócony nogami do góry w kobiecie. Ze skrzyżowanymi cierpliwie rękami, czekam, czekam i zastanawiam się, w kim właściwie jestem i po co. Mrużę z nostalgią oczy, wspominając, jak dryfowałem niegdyś w mym przejrzystym worku, jak unosiłem się sennie w bańce swoich myśli, wywijałem w zwolnionym tempie salta w prywatnym oceanie, zderzając się łagodnie z przezroczystymi ścianami mej celi, z ufną błoną, którą wprowadzały w drgania tłumione przez nią, knujące niegodziwy spisek głosy. To było w czasach mej beztroskiej młodości. Teraz gdy wiszę odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni, gdy nie mam dla siebie ani centymetra wolnej przestrzeni i przyciskam kolana do brzucha, moje myśli, podobnie jak głowa, pracują na najwyższych obrotach. Nie mam wyboru, moje ucho dzień i noc przywiera do krwawych ścian. Słucham, konstatuję i jestem zaniepokojony. Słyszę intymne zwierzenia, w których pobrzmiewają mordercze zamiary, i boję się tego, co mnie czeka, w co mogę być zamieszany.

Tonę w abstrakcjach i jedynie mnożące się między nimi relacje tworzą iluzję znanego świata. Kiedy słyszę o kolorze „niebieskim", którego nigdy nie widziałem, wyobrażam sobie jakiś rodzaj mentalnego bytu, w pewnej mierze zbliżony do koloru „zielonego" – którego nigdy nie widziałem. Uważam się za kogoś niewinnego, nieobciążonego aliansami i zobowiązaniami, za wolnego ducha, mimo nędznego zakwaterowania. Nikt mi się nie sprzeciwia ani mnie nie strofuje, nie mam żadnego imienia ani byłego adresu, żadnej religii, długów ani wrogów. W moim kalendarzu, gdyby istniał, zaznaczone byłyby tylko zbliżające się narodziny. Wbrew temu, co twierdzą obecnie genetycy, jestem, a może raczej byłem, białą kartą, pustą tabliczką. Lecz tabliczką, która jest śliska i porowata i nie przydałaby się raczej w sali lekcyjnej, tabliczką, która przez cały czas rosnąc, pisze się sama i staje mniej pusta. Uważam się za niewinnego, wygląda jednak na to, że jestem częścią spisku. Wydaje się, że w spisku bierze udział moja matka, niech będzie błogosławione jej niezmordowane, głośno bijące serce.

Wydaje się, matko? Nie, bierzesz udział. Bierzesz udział w spisku. Wiedziałem o tym od początku. Pozwólcie, że go przywołam, ten moment stworzenia, który nastał wraz z mym pierwszym konceptem. Dawno temu, wiele tygodni temu, moja rynienka nerwowa zamknęła się, stając się rdzeniem kręgowym, i miliony młodych neuronów, pracowitych jak jedwabniki, wysnuły i utkały ze swoich aksonów cudowną złotą materię mej pierwszej myśli, pojęcie tak proste, że nie do końca je pamiętam. Czy to było „ja"? Zbyt samolubne. Może „teraz"? Zbyt dramatyczne. A zatem coś poprzedzającego i zawierającego te dwie idee, pojedyncze słowo wyrażone mentalnym westchnieniem lub ekstazą aprobaty, czystego bytu, coś jakby – „to"? Zbyt cenne. A więc, i w tym momencie jesteśmy

już blisko, moją ideą było „być". A jeśli nie „być", to jego gramatyczny wariant: „jest". To było moje pierwsze pojęcie i w tym tkwi sedno rzeczy – w „jest". Po prostu. W duchu *Es muss sein*. Początek świadomego życia był końcem iluzji, iluzji niebycia, erupcją realności. Triumfem realizmu nad magią, „jest" nad „wydaje się". Moja matka jest zamieszana w spisek i dlatego ja też jestem weń zamieszany, nawet jeśli moją rolą może być jego udaremnienie. Albo jeśli, niechętny głupiec, spóźnię się z rozwiązaniem, to jego pomszczenie.

Ale nie skarżę się, bo szczęście mi sprzyja. Wiem od początku, odkąd odwinąłem ze złotej draperii dar świadomości, że mógłbym przybyć na świat w gorszym miejscu i znacznie gorszym czasie. Rudymenty są jasne i w ich obliczu moje domowe kłopoty są lub też powinny być bez znaczenia. Jest się z czego cieszyć. Odziedziczę zdobycze współczesności (higienę, dni wolne od pracy, anestetyki, lampy do czytania, pomarańcze w zimie) i zamieszkam w uprzywilejowanym zakątku planety – w odkarmionej, wolnej od plag zachodniej Europie. W starej sklerotycznej Europie, stosunkowo grzecznej, prześladowanej przez swoje duchy, wystawionej na ataki agresorów, niepewnej siebie, celu wybranym przez miliony nieszczęśników. Najbliższym otoczeniem nie będzie dla mnie kwitnąca Norwegia – mój pierwszy wybór ze względu na gigantyczny fundusz rządowy i hojne świadczenia społeczne; ani drugi, Włochy, z powodu regionalnej kuchni i słonecznej dekadencji; ani nawet trzeci, Francja, z racji pinot noir i zawadiackiego zapatrzenia w siebie. Zamiast tego odziedziczę mało zjednoczone królestwo, rządzone przez powszechnie szanowaną leciwą królową, w którym książę biznesmen, słynący ze swych dobrych uczynków i eliksirów (oczyszczającego krew wyciągu z kalafiora) oraz niekonstytucyjnych działań, czeka spokojnie na koronę. To będzie mój dom i niech nim się stanie. Mógłbym przyjść na świat w Korei Północnej, tam także nikt nie podważa sukcesji tronu, ale brakuje wolności i strawy.

Jak to możliwe, że ja, nawet nie młody, nawet nie urodzony wczoraj, mogę tyle wiedzieć lub też mogę wiedzieć tyle, by się aż tak bardzo mylić? Mam swoje źródła, słucham. Moja matka, Trudy, gdy nie jest akurat ze swym przyjacielem Claude'em, lubi słuchać radia i woli programy słowne od muzyki. Kto, u zarania internetu, mógł przewidzieć rosnącą popularność radia albo renesans tego staroświeckiego wyrazu „bezprzewodowy". Nie zważając na przypominające odgłosy pralni bulgotanie żołądka i kiszek, słucham wiadomości, tego źródła wszystkich złych snów. Wiedziony szkodliwym dla siebie przymusem, wsłuchuję się w analizy i różnice zdań. Nie nużą mnie powtórki o każdej okrągłej godzinie i nadawane co pół godziny skróty. Toleruję nawet BBC World Service z jego oddzielającymi poszczególne informacje infantylnymi fanfarami syntetycznej trąbki i ksylofonu. Zdarza się, że w środku długiej cichej nocy kopię mocno matkę. Wtedy budzi się i nie mogąc z powrotem zasnąć, sięga po radio. Wiem, że to

z mojej strony okrucieństwo, ale rano jesteśmy dzięki temu lepiej poinformowani.

Lubi także podcasty z wykładami i książkowe poradniki w wersji audio – kurs wiedzy o winie w piętnastu częściach, biografie siedemnastowiecznych dramatopisarzy oraz różne pozycje ze światowej klasyki. *Ulisses* Jamesa Joyce'a na ogół ją usypia, choć ja jestem nim zachwycony. Kiedy we wczesnym okresie wkładała w uszy słuchawki, wyraźnie słyszałem wszystko, tak skutecznie fale dźwiękowe wędrują przez szczękę, obojczyk i niżej, przez cały szkielet i odżywczy płyn owodniowy. Nawet telewizja przekazuje większość swych mało przydatnych treści poprzez dźwięk. Poza tym, kiedy matka spotyka się z Claude'em, omawiają czasami stan świata, na ogół w tonie lamentu, choć spiskują przecież, by uczynić go jeszcze gorszym. Tkwiąc tu, gdzie jestem, nie mając nic do roboty poza rozwijaniem ciała i umysłu, wchłaniam wszystko, nawet rzeczy trywialne, których jest mnóstwo.

Ponieważ Claude jest facetem, który lubi się powtarzać. Recydywistą. Wymieniając uścisk dłoni z nieznajomym, mówi – słyszałem to dwa razy – „Jestem Claude, jak Claude Debussy". Jakże głęboko się myli. Jest Claude'em jak Claude deweloper nieruchomości, który nic nie komponuje i nigdy niczego nie wymyślił. Kiedy podoba mu się jakaś myśl, wypowiada ją na głos, po chwili znów ją wypowiada i – czemu nie? – wypowiada po raz trzeci. Wprawianie w wibracje powietrza powtarzanym konceptem sprawia mu niemało radości. Wie, że wszyscy wiedzą, że się powtarza. Nie ma tylko pojęcia, że nikogo to nie bawi. Jak dowiedziałem się z wykładu na BBC, nazywa się to problemem referencji.

Oto przykład, jak wygląda dyskurs w wykonaniu Claude'a i jak zbieram informacje. Umówił się telefonicznie z moją matką (słyszę obie strony), że spotkają się wieczorem. Na kolacji we dwoje – mnie jak zwykle nie liczą – przy świecach. Skąd wiem, że przy świecach? Ponieważ gdy nadchodzi ten moment i prowadzą ich do stolika, słyszę, że matka się skarży. Świece palą się na wszystkich stolikach z wyjątkiem naszego.

Teraz słychać kolejno zniecierpliwione westchnienie Claude'a, władcze pstryknięcie suchych palców, uniżone mamrotanie, jak się domyślam, zgiętego w pas kelnera, trzask zapalniczki. Mają, co chcieli: kolację przy świecach. Brakuje im tylko czegoś na ząb. Ale trzymają w rękach opasłe karty dań. Czuję na swoim krzyżu ciężką dolną krawędź tej należącej do Trudy. Teraz muszę ponownie wysłuchać starego numeru Claude'a na temat użytych w karcie sformułowań, jakby on pierwszy na świecie zauważył ich banalną absurdalność. Zatrzymuje się na „z patelni". Czymże jest „patelnia" jak nie oszukańczym uwznioślenieм wulgarnego i niezdrowego „smażenia"? W jakim innym naczyniu ktoś miałby usmażyć jego przegrzebki z chili i sokiem z limonki? W jajowarze? Nim porzuci ten temat, powtarza to samo, przesuwając lekko akcenty. Zanim zacznie go rozwijać, wymawiam bezgłośnie to słowo i nagle niewielka zmiana w mojej

orientacji pionowej zdradza, że matka pochyliła się do przodu i kładzie palec na jego nadgarstku.

– Wybierz wino, kochanie – mówi słodkim głosem, by skierować jego myśli w inną stronę. – Coś super.

Lubię wychylić kieliszek razem z moją matką. Być może nigdy nie mieliście okazji skosztować albo zapomnieliście, jak smakuje przefiltrowany przez zdrowe łożysko zacny burgund (jej ulubione wino) lub zacne sancerre (również jej ulubione). Zanim jeszcze go skosztuję – dziś będzie to Jean-Max Roger Sancerre – odgłos otwieranego korka jest niczym letnia bryza, którą czuję na twarzy. Wiem, że alkohol obniża moją inteligencję. Wszystkim ją obniża. Ale to nic, radosne pąsowe pinot noir albo agrestowe sauvignon sprawia, że wywijam koziołki w mym sekretnym morzu, odbijając się od ścian mego zamku, sprężystego zamku, w którym mieszkam. A w każdym razie sprawiało, kiedy miałem więcej miejsca. Teraz stateczniej oddaję się przyjemnościom i po drugim kieliszku w mojej głowie rodzi się wolność, którą nazywają poezją. Moje myśli pączkują w strzelistych pentametrach, mieszcząc się w jednym wersie lub przekraczając jego granice w miłych wariacjach. Lecz ona nigdy nie wypija trzeciego i to mnie boli.

– Muszę pamiętać o dziecku – słyszę, jak mówi, zakrywając pruderyjnie dłonią kieliszek.

Mam wówczas ochotę złapać za śliską pępowinę, tak jak ktoś łapie za atłasowy sznur w rojącej się od służby wiejskiej rezydencji, i mocno pociągnąć. Bywaj tu, a żywo! Jeszcze jedna kolejka dla naszych przyjaciół!

Ale nie, matkę wstrzymuje miłość, jaką do mnie żywi. Ja też ją kocham – jakże mógłbym nie kochać? Matki, z którą się jeszcze nie spotkałem, którą znam tylko od środka. To za mało! Tęsknię za jej zewnętrznością. Liczą się tylko powierzchnie. Wiem, że jej włosy są „słomkowo jasne", że opadają w „niesfornych puklach" na „ramiona białe niczym miąższ jabłka", bo mój ojciec przeczytał, w mojej obecności, wiersz, który im poświęcił. Claude również mówi o jej włosach, choć w mniej wyszukany sposób. Kiedy matka jest w odpowiednim nastroju, upina ciasno splecione warkocze wokół głowy, w stylu, jak twierdzi ojciec, Julii Tymoszenko. Wiem również, że jej oczy są zielone, a nos przypomina „perłowy guziczek", że chciałaby, by był większy, i że obaj mężczyźni, każdy z osobna, zachwycają się nim i starają się uspokoić jej obawy w tym względzie. Powtarzano jej nieraz, że jest piękna, ale pozostaje sceptyczna, co, jak powiedział kiedyś po południu ojciec w bibliotece, daje jej niewinną władzę nad mężczyznami. Odparła, że jeśli to prawda, nigdy nie szukała i nie pragnie takiej władzy. Jak na nich była to niezwykła rozmowa i słuchałem jej z uwagą. Ojciec, który ma na imię John, oświadczył, że gdyby miał taką władzę nad nią albo w ogóle nad kobietami, nie wyobraża sobie, by ją kiedykolwiek oddał. Po sympatycznym falistym ruchu, który na krótko oderwał moje ucho od ściany, domyśliłem się, że matka wzruszyła

wymownie ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Cóż, mężczyźni są inni. Ale kto by się tym przejmował?”. Poza tym, oznajmiła na głos, jeśli posiada jakąkolwiek władzę, to tylko tę, której mężczyźni użyczają jej w swoich fantazjach. A potem zadzwonił telefon, ojciec poszedł go odebrać i nigdy już nie podjęli tej ciekawej rozmowy o tych, co mają władzę.

Wracam jednak do mojej matki, mojej niewiernej Trudy, za której ramionami, piersiami białymi niczym miąższ jabłka i zielonym spojrzeniem od dawna tęsknię, której niewytłumaczalna skłonność do Claude’a poprzedza narodziny mojej świadomości, moje pierwotne „jest”, i która często, w łóżku, w restauracji i w kuchni, mówi do niego, podobnie jak on do niej, cichym szeptem, zupełnie jakby bali się, że łona mają uszy.

Myślałem kiedyś, że ta ich dyskrecja wynika po prostu ze zwykłej intymności zakochanych. Teraz jednak nie mam już wątpliwości. Nie angażują nadmiernie strun głosowych, ponieważ planują coś strasznego. Jeśli coś pójdzie nie tak, słyszałem, jak mówią, ich życie legnie w gruzach. Uważają, że jeśli mają to zrobić, powinni działać szybko, już niebawem. Powtarzają sobie, by zachować spokój i cierpliwość, przypominają jedno drugiemu, że w razie fiaska trzeba będzie zapłacić wysoką cenę, że jest kilka etapów, które muszą być ze sobą zsynchronizowane, że jeśli jedna rzecz nie wypali, to wtedy posypie się wszystko inne, „niczym staroświeckie lampki na choince” – niezrozumiałe porównanie z ust Claude’a, który rzadko mówi zagadkami. To, co zamierzają, przeraża ich i przyprawia o mdłości, i nie potrafią mówić o tym wprost. Zamiast tego słyszę wypowiadane szeptem elipsy, eufemizmy i peryfrazy, po których następuje chrząknięcie i szybka zmiana tematu.

Pewnej gorącej niespokojnej nocy, gdy sądziłem, że oboje od dawna już śpią, na dwie godziny przed świtem według zegara w gabinecie ojca na parterze, matka rzuciła nagle w ciemność:

– Nie możemy tego zrobić.

I natychmiast padła stanowcza odpowiedź Claude’a:

– Możemy. – I po chwili namysłu jeszcze raz: – Możemy.

Dwa

Zajmijmy się teraz moim ojcem, Johnem Cairncrossem, rosłym mężczyzną, drugą połową mojego genomu, którego helikalny pokręcony los bardzo mnie niepokoi. Tylko we mnie rodzice połączyli raz na zawsze, na słodko i na kwaśno, dwa oddzielne cukrowo-fosforanowe rdzenie, esencję mojej jaźni. Ja również łączę Johna i Trudy w snutych na jawie rojeniach – jak każde dziecko rodziców, którzy się rozeszli, chcę ich ze sobą powtórnie spiknąć, tę komplementarną parę zasad azotowych, i w ten sposób skorelować swoją sytuację ze swym genomem.

Od czasu do czasu ojciec przychodzi do domu i nie posiadam się wtedy z radości. Czasami przynosi jej ze swojego ulubionego baru przy Judd Street rodzaj gęstych owocowych napojów, tak zwane smoothies. Uwielbia te lepkie desery, które mają mu podobno przedłużyć życie. Nie wiem, dlaczego nas odwiedza, bo zawsze wychodzi zasmucony. W przeszłości różne moje przypuszczenia okazały się nietrafne, ale uważnie się przysłuchiwałem i sądzę teraz, że ojciec nie ma pojęcia o Claudzie, jest nadal po sztubacku zakochany w mojej matce, ma nadzieję, że niebawem do siebie wrócą, i nadal wierzy w powtarzaną przez nią bajeczkę, że separacja ma im dać „czas i miejsce, by dojrzeć" i odnowić łączące ich więzi. Że jest zapoznanym poetą, lecz nie daje za wygraną. Że prowadzi znajdujące się na skraju bankructwa wydawnictwo, w którym opublikował pierwsze tomiki wierszy powszechnie dziś znanych poetów, wśród nich jednego laureata Nagrody Nobla. Kiedy stają się sławni, odchodzą, niczym dorosłe dzieci, do większych wydawnictw. Że traktuje nielojalność poetów jako coś naturalnego i niczym prawdziwy święty cieszy się z pochwał, które potwierdzają wartość Cairncross Press. Że własne niepowodzenia poetyckie bardziej go zasmucają, niż napełniają goryczą. Czytał kiedyś Trudy i mnie krytyczną recenzję swoich wierszy. Zdaniem autora były staroświeckie, sztywne i „zbyt piękne". Ale żyje poezją, wciąż recytuje ją mojej matce, uczy poezji, recenzuje ją, spiskuje, by wypromować młodszych poetów, zasiada w jury nagród literackich, popularyzuje poezję w szkołach, pisze na jej temat eseje do pomniejszych czasopism i mówi o niej w radiu. Trudy i ja słyszeliśmy go kiedyś wczesnym rankiem. Ma mniej pieniędzy od Trudy i o wiele mniej od Claude'a. Zna na pamięć tysiąc wierszy.

Oto zebrana przeze mnie kolekcja faktów i hipotez. Ślęcząc nad nimi niczym cierpliwy filatelista, dodałem ostatnio kilka nowych. John cierpi na chorobę skóry, łuszczycę, przez co jego dłonie są łuskowate, zrogowaciałe i czerwone. Trudy nie może na nie patrzeć i ich dotykać i każe mu nosić rękawiczki. On odmawia. Wynajął na pół roku trzy nędzne pokoiki w Shoreditch, jest zadłużony po uszy, ma nadwagę i powinien więcej ćwiczyć. Nie dalej jak wczoraj udało mi się zdobyć bezcenny znaczek: czarną jednopensówkę, w dodatku ostemplowaną. Leżący przy słynnej Hamilton Terrace, utrzymany w georgiańskim stylu dom, w którym

mieszka matka (a ja w niej) i który nocami odwiedza Claude, należy do ojca. Odziedziczył rodzinne gniazdo, gdy dobiegał trzydziestki i zapuszczał pierwszą brodę, niedługo po tym, jak poznał moją matkę. Jego własna droga matka od dawna już wtedy nie żyła. Wszyscy zainteresowani zgadzają się, że to rudera. Opisać ją można wyłącznie wyświechtanymi słowami: zrujnowana, zapuszczona, zdewastowana. W zimie zasłony ścina czasem szklisty mróz; podczas ulewnych deszczy kanalizacja, niczym szacowne banki, zwraca depozyt razem z odsetkami, w lecie, podobnie jak złe banki, cuchnie. Ale patrzcie, w pęsetce trzymam najdroższy znaczek świata, Gujanę Brytyjską: choć te pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych jest w tak opłakanym stanie, można za nie dostać siedem milionów funtów.

Większość ludzi, większość mężczyzn nigdy nie pozwoliłaby małżonce wygnać się z rodzinnych pieleszy. John Cairncross jest inny. Oto jak to sobie tłumaczę. Urodzony pod usłużną gwiazdą, uprzedzający życzenia, zbyt miły, zbyt szczery, nie ma w sobie ani trochę tajonej chciwości ambitnego poety. Naprawdę wierzy, że pisząc wiersz na cześć mojej matki (jej oczu, włosów, ust) i przychodząc tu, by przeczytać go na głos, trafi do jej serca i sprawi, że będzie mile widziany we własnym domu. Ale ona wie, że jej oczy nie są wcale „niczym w Galway murawa", przez co chciał powiedzieć „bardzo zielone", i ponieważ w jej żyłach nie płynie irlandzka krew, ta linijka jest anemiczna. Zawsze, gdy go razem słuchamy, wyczuwam po jej wolniej bijącym sercu zaćmę nudy, przesłaniającą jej tragizm tej sceny: wielki mężczyzna o wielkim sercu, który wbrew wszelkiej nadziei apeluje do jej uczuć w niemodnej formie sonetu.

Tysiąc to może przesada. Wiele wierszy, które zna ojciec, jest długich jak owe słynne utwory pracowników bankowych, *The Cremation of Sam McGee* i *Ziemia jałowa*. Trudy od czasu do czasu nadal toleruje jego recytacje. Monolog jest dla niej lepszy niż wymiana zdań, woli go od kolejnej przechadzki po zachwaszczonym ogrodzie ich małżeństwa. Być może, ulega mu z poczucia winy, jeśli jakieś się w niej jeszcze kołacze. Poetyckie recytacje ojca były kiedyś, jak się zdaje, rytuałem ich miłości. Dziwne, że matka nie może się zdobyć, by potwierdzić to, co z pewnością on podejrzewa i co musi wyjść na światło dzienne. Że już go nie kocha. Że ma kochanka.

Dziś w radiu kobieta opowiadała, jak jadąc w nocy samochodem, potrąciła na odludnej drodze psa, golden retrievera. Przykucnęła potem w światłach reflektorów, trzymając umierające zwierzę za łapę, którą wstrząsały konwulsje strasznego bólu. Przez cały czas na kobietę patrzyły wielkie wybaczające brązowe oczy. Wzięła wolną ręką kamień i walnęła nim kilka razy w czaszkę biedaka. Żeby pozbyć się Johna Cairncrossa, wystarczyłoby jedno uderzenie, jedno miłosierne pchnięcie sztyletu. Zamiast tego, kiedy ojciec zaczyna recytować, na twarzy Trudy pojawia się maska uprzejmego zainteresowania. Za to ja słucham bardzo uważnie.

Idziemy wtedy na ogół do jego poetyckiej biblioteki na pierwszym piętrze. Kiedy siada na tym samym co zawsze krześle, słychać tykanie stojącego na kominku zegara z rozklekotanym kołem balansu. W tym momencie, w obecności poety, pozwalam sobie puścić wodze wyobraźni. Gdyby ojciec spojrzał w stronę sufitu, by zebrać myśli, zobaczyłby naruszone zębem czasu stiuki w stylu Adamów. Opadający tynk osiadł niczym lukier na grzbietach słynnych książek. Matka, nim siądzie, wyciera dłonią fotel. Bez zbędnych wstępów ojciec nabiera powietrza i zaczyna recytować. Robi to płynnie, z uczuciem. Większość współczesnych poetów nie budzi we mnie emocji. Za dużo o sobie, zbyt szklisty chłód w stosunku do innych, za wiele narzekań w zbyt krótkich wersach. Ale John Keats i Wilfred Owen są niczym braterski uścisk. Czuję ich oddech na swoich wargach. Któż nie chciałby napisać *pigwy i śliwki, jabłka w cukrze, banię*1 albo *Niech bladość twarzy dziewcząt będzie im całunem*2?

Staram się patrzeć na nią jego zachwyconymi oczami. Trudy siedzi w dużym skórzanym fotelu, pochodzącym z Wiednia, z epoki Zygmunta Freuda. Smukłe gołe nogi ma częściowo i ślicznie podwinięte pod pupę. Jeden łokieć oparła o poręcz, by podeprzeć opadającą głowę, palcami drugiej ręki bębni lekko po kostce. Jest późne popołudnie, gorąco, za otwartymi oknami szumi przyjemnie ruch uliczny St John's Wood. Matka ma zamyśloną minę, dolna warga wydaje się ciężka. Zwilża ją nieskazitelnym językiem. Kilka jasnych loków przykleiło się jej do szyi. Bawełniana sukienka, luźno skrojona, by mnie pomieścić, ma kolor jasnozielony, jaśniejszy od jej oczu. Ciąża stale się rozwija i matka robi wrażenie sympatycznie znużonej. John Cairncross widzi letnie rumieńce na jej policzkach, uroczą linię szyi, ramion i nabrzmiałych piersi, optymistyczny wzgórek, czyli mnie, bladość ocienionych łydek, gładką podeszwę odsłoniętej stopy, niewinne, zmniejszające się palce ustawione w rządku niczym dzieci na rodzinnej fotografii. Wszystko w niej, myśli, jest doprowadzone do perfekcji dzięki jej stanowi.

Nie widzi, że ona czeka, by wyszedł. Że jest z jej strony perwersją upieranie się, by mieszkał gdzie indziej w tym naszym trzecim trymestrze. Czy naprawdę tak mocno zaangażował się w dzieło własnego zniszczenia? Taki duży facet, z tego, co słyszałem, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, olbrzym z gęstymi czarnymi włosami opadającymi na mocarne ramiona, wielki głupiec, skoro wierzy, że powinien dać żonie „przestrzeń", której ta się domaga. Przestrzeń! Mogłaby zajrzeć do mnie, gdzie ostatnio trudno mi poruszyć nawet małym palcem. W ustach mojej matki przestrzeń, której potrzebuje, jest poronioną metaforą, jeśli nie synonimem egoizmu, oszukaństwa i okrucieństwa. Ale zaraz, przecież ja ją kocham, ubóstwiam ją i jej potrzebuję. Cofam to! Mówiłem w złości. Dałem się zwieść tak samo jak ojciec. I to prawda. Jej uroda, dystans i determinacja zlewają się w jedno.

Widzę, jak z osypującego się nad jej głową sufitu spływają drobinki tynku, które rozświetla kolumna słonecznego światła. I jak ona sama wydaje się

rozświetlona na tle popękanej brązowej skóry fotela, na którym, być może, w wiedeńskich czasach, gdy byli tylko embrionami swoich przyszłych wcieleń, rozsiadali się Hitler, Trocki albo Stalin. Przyznaję. Należę do niej. Gdyby mi kazała, ja też udałbym się do Shoreditch i sam się sobą opiekował na wygnaniu. Pępowina byłaby niepotrzebna. Ojciec i ja pałamy obaj beznadziejną miłością.

Wbrew wszystkim oznakom – jej lakonicznym odpowiedziom, jej ziewnięciom, jej brakowi zainteresowania – zasiedział się aż do wieczora, być może w nadziei na kolację. Ale matka czeka na Claude'a. W końcu wygania męża, oświadczając, że musi odpocząć. Odprowadza go do drzwi. Mało kto nie usłyszałby smutku w jego głosie, gdy zaczyna się niepewnie żegnać. Zdaję sobie z bólem serca sprawę, że zniósłby każde upokorzenie, by spędzić jeszcze kilka minut w jej towarzystwie. Tylko łagodna natura powstrzymuje Johna przed tym, co mogliby uczynić inni – przed pójściem do małżeńskiej sypialni, w której zostaliśmy poczęci on i ja, rozłożeniem się na łóżku albo wykąpaniem się w wannie w śmiałych obłokach pary, a potem zaproszeniem przyjaciół, poczęstowaniem ich winem, byciem panem swego domu. Zamiast tego łudzi się, że odniesie sukces, okazując uległość i pokorną wrażliwość na jej potrzeby. Chciałbym się mylić, ale sądzę, że poniesie podwójną klęskę, bo Trudy pogardza nim za to, że jest słaby, i będzie cierpiał bardziej, niż powinien. Jego wizyty się nie kończą, one gasną. Zostawia po sobie w bibliotece pulsujący smutek, wyimaginowany zarys sylwetki, rozczarowany hologram wciąż siedzący w fotelu.

Trudy wyprowadza go z domu i zbliżamy się do frontowych drzwi. O różnego rodzaju spustoszeniach była już wcześniej mowa. Wiem, że jeden z zawiasów drzwi oderwał się od drewnianej framugi. Architraw zmienił się w próchno. Przepadło kilka płytek podłogi, inne są popękane – georgiańskie, w kolorowy, niegdyś romboidalny deseń, nie do zastąpienia. W miejscach, gdzie ich brakuje bądź gdzie popękały, stoją plastikowe torby z pustymi butelkami i gnijącym jedzeniem. Pod stopami walają się odpadki będące kwintesencją domowego brudu: pety z popielniczek, papierowe talerzyki z paskudnymi ranami z keczupu, chybotliwe herbaciane saszetki przypominające malutkie worki z ziarnem, które mogły zgromadzić na zimę myszy lub elfy. Pani od sprzątania odeszła ze smutkiem długo przedtem, nim się pojawiłem. Trudy wie, że ciężarnej kobiecie nie wolno dźwigać śmieci do wysokich kontenerów na kółkach. Mogłaby łatwo poprosić mego ojca o posprzątanie holu, lecz nie robi tego. Ktoś, kto wypełnia domowe obowiązki, mógłby domagać się domowych praw. A ona chce pokazać, jaka jest opuszczona. Claude pozostaje pod tym względem gościem, człowiekiem z zewnątrz, ale słyszałem, jak mówił, że posprzątanie jednej części domu uwypukliłoby panujący gdzie indziej nieporządek. Mimo fali upałów jestem dobrze zabezpieczony przed smrodem. Matka skarży się nań prawie stale, ale bez większego przekonania. To tylko jeden z aspektów domowego zepsucia.

Trudy łudzi się może, że glut zsiadłego mleka na jego bucie albo leżąca przy listwie przypodłogowej, pokryta kobaltowym meszkiem pomarańcza skróci ich pożegnanie. Myli się. Drzwi są otwarte, ojciec stoi jedną nogą w środku, drugą na zewnątrz, ona i ja jesteśmy w holu. Za piętnaście minut ma się pojawić Claude. Czasami przychodzi wcześniej. Trudy jest podminowana, ale wie, że musi sprawiać wrażenie sennej. Stoi na skorupkach jajek. Kawałek pergaminu, w którym było kiedyś niesolone masło, utkwił pod jej sandałem i natłuścił palce stóp. Wkrótce opowie o tym w dowcipny sposób Claude'owi.

– Słuchaj, naprawdę musimy porozmawiać – mówi ojciec.

– Tak, ale nie teraz.

– Wciąż to odkładamy.

– Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jaka jestem zmęczona. Nie masz pojęcia, jak się czuję. Muszę się po prostu położyć.

– Oczywiście. Dlatego myślałem, żeby się z powrotem wprowadzić. Żebym mógł…

– Proszę, John, nie teraz. Już to przerabialiśmy. Potrzebuję więcej czasu. Spróbuj spojrzeć na to z mojej strony. Noszę przecież twoje dziecko. To nie jest moment, żebyś myślał tylko o sobie.

– Nie podoba mi się, że jesteś sama, podczas gdy mógłbym…

– John!

Słyszę jego westchnienie, gdy obejmuje ją tak blisko, jak mu na to pozwoli. Potem czuję, że Trudy wyciąga rękę i starannie unikając, jak się zdaje, jego chorych dłoni, łapie go za nadgarstek, obraca i łagodnie popycha w stronę ulicy.

– Proszę cię, kochanie, no, idź już…

Później, gdy kładzie się, poirytowana i wyczerpana, rozmyślam o sprawach podstawowych. Cóż to za twór? Czy duży John Cairncross jest naszą przepustką do przyszłości, gatunkiem mężczyzny, który zakończy wojny, grabieże i niewolę i będzie troskliwym i równym partnerem kobiet tego świata? Czy też zostanie strącony w nicość przez łotrów? Wkrótce się o tym przekonamy.

Trzy

Kim jest ten Claude, ten uzurpator, który wkradł się między moją rodzinę i moje nadzieje? Słyszałem to raz i zapamiętałem: ograniczony umysłowo palant. Mam przed sobą niewesołe perspektywy. Jego istnienie ogranicza moje prawa do szczęśliwego życia i opieki obojga rodziców. Chyba że wymyślę jakiś plan. Omotał moją matkę i skazał na wygnanie ojca. Jego interesy nie mogą być zbieżne z moimi. Zmiażdży mnie. Chyba że, chyba że, chyba – wątłe słowo, upiorny żeton odmienionego losu, popiskujący krótki jamb nadziei, krąży mi w głowie niczym męty ciała szklistego oka. Mizernej nadziei.

I Claude, podobnie jak te męty, jest mało realny. Nie jest nawet barwnym zawadiaką, nie ma w sobie nic ze szczerzącego zęby łajdaka. Zamiast tego nudny aż do błyskotliwości, mdły nie do wyobrażenia, odznacza się banalnością misterną niczym arabeski Błękitnego Meczetu. To człowiek, który stale gwiżdże, nie piosenki, lecz telewizyjne dżingle i dzwonki telefonu, człowiek, który rozjaśnia poranki wykoncypowaną przez Nokię karykaturą Tárregi. Którego powtarzane po wielokroć komentarze są bezrozumną, bezmyślną paplaniną, którego ubogie zdania zdychają niczym pozbawione matki pisklęta, tandetnie gasnąc. Który myje intymne części ciała w umywalce, tam gdzie myje twarz moja matka. Który zna się tylko na ubraniach i samochodach. I mówił nam już ze sto razy, że nigdy by sobie nie kupił, ani nawet nie siadł za kierownicą takiego to a takiego auta, takiej to a takiej hybrydy, albo… albo… Że garnitury kupuje tylko przy tej, nie, przy tamtej ulicy w Mayfair, koszule przy jakiejś innej, a skarpetki u… nie pamięta… Gdyby tylko… ale. Nikt nie kończy zdania na „ale".

Ten nieświeży, niepewny głos. Przez całe życie muszę znosić bliźniacze tortury jego pogwizdywania i jego gadulstwa. Oszczędzony mi został jego widok, lecz to się wkrótce zmieni. W mrocznym krwawym wnętrzu sali porodowej (Trudy zdecydowała, że to on, a nie mój ojciec będzie jej towarzyszył), gdy pojawię się, by go w końcu przywitać, moje pytania, bez względu na to, jakie on przybierze kształty, będą takie same: Co takiego wyprawia moja matka? Czego ona może chcieć? Czy powołała Claude'a z niebytu, by zilustrować zagadkę erotyki?

Nie każdy wie, jak to jest mieć penisa rywala swego ojca kilka centymetrów przed nosem. W tym późnym stadium powinni się powstrzymać ze względu na mnie. Wymaga tego uprzejmość, nie mówiąc już o wskazaniach medycznych. Zamykam oczy, zgrzytam dziąsłami, zapieram się o ściany macicy. Te turbulencje wstrząsnęłyby skrzydłami boeinga. Moja matka zagrzewa kochanka, prowokuje go swymi jarmarcznymi krzykami. Beczka śmierci! Za każdym razem, przy każdym pchnięciu tłoka, boję się, że przebije się na drugą stronę, rozpłata moją miękką czaszkę i zasieje w mym umyśle swoją esencję, rozbryźniętą śmietankę swojej banalności. Z uszkodzonym mózgiem będę wtedy myślał i mówił jak on. Stanę się

synem Claude'a.

Zaiste, wolałbym znaleźć się pośrodku Atlantyku, na pokładzie pikującego, pozbawionego skrzydeł boeinga, niż być po raz kolejny świadkiem jego gry wstępnej. Oto siadam w pierwszym rzędzie parteru, w niewygodnej pozycji nogami do góry. To współczesna minimalistyczna produkcja, na dwójkę aktorów. W światłach sceny pojawia się Claude. To siebie, nie moją matkę, ma zamiar rozebrać. Składa schludnie ubranie na krześle. Jego nagość jest tak samo mało zaskakująca jak garnitur księgowego. Łazi po sypialni, w głąb i w poprzek sceny, nic nie osłania go przed mżawką jego monologu. Dywaguje o różowym mydle, urodzinowym prezencie od ciotki, który musi zwrócić na Curzon Street, o śnie, który prawie cały zapomniał, o cenie diesla i że wydaje mu się, że jest wtorek. Ale nie jest. Każdy podjęty odważnie nowy temat dźwiga się z jękiem na nogi, zatacza się i pada na następny. A matka? Leżąc na łóżku, nie do końca rozebrana, przykryta, słucha go z uwagą, pomrukuje zachęcająco i kiwa głową. Ja jeden wiem, że pod prześcieradłem jej palec wskazujący wygiął się nad skromną fałdką łechtaczki i wsunął na centymetr do środka. Zgadzając się na wszystko, ofiarowując mu swą duszę, kołysze łagodnie tym palcem. Domyślam się, że to musi być coś przyjemnego. Tak, mruczy i wzdycha, ona też ma wątpliwości co do tego mydła, ona też zapomina szybko swoje sny i jej również wydaje się, że jest wtorek. Nic na temat ceny diesla – mała ulga.

Jego kolana wbijają się w zdradziecki materac, na którym niedawno jeszcze polegiwał mój ojciec. Zwinnymi palcami ściąga z niej majtki. Wchodzi Claude. Czasami nazywa ją swoją myszką, co sprawia jej chyba przyjemność, ale żadnych pocałunków, żadnego dotykania i głaskania, żadnych pomruków, obietnic, karesów, żadnych igraszek i snów na jawie. Wyłącznie coraz szybsze skrzypienie łóżka, aż w końcu matka zajmuje swoje miejsce w beczce śmierci i zaczyna krzyczeć. Znacie, być może, tę staroświecką atrakcję wesołego miasteczka. Kiedy się kręci i przyspiesza, siła odśrodkowa przyciska was do ściany, podłoga ucieka spod nóg. Trudy porusza się coraz szybciej, jej twarz jest rozmazaną truskawkowo-śmietankową plamą z zielonymi kleksami anżeliki tam, gdzie wcześniej były oczy. Jęczy coraz głośniej, a potem, już po jej ostatnim wznoszącym się i opadającym krzyku i dygocie, słyszę jego zduszone stęknięcie. Króciutka pauza. Claude wychodzi. Materac znów się ugina i znów słychać jego głos, dobiegający teraz z łazienki – powtórka na temat Curzon Street albo dnia tygodnia oraz wesołe parafrazy dzwonka nokii. Jednoaktówka, najwyżej trzy minuty, bez bisów. Ona często idzie do niego do łazienki i bezdotykowo zmywają się nawzajem ze swych ciał rozgrzeszającą gorącą wodą. Nie ma chwili czułości, krótkiej drzemki w miłosnym uścisku. W trakcie tych żwawych ablucji, z oczyszczonymi przez orgazm umysłami, zaczynają często spiskować, lecz w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu, przy szumie płynącej wody, nie docierają

do mnie ich słowa.

Dlatego tak mało wiem o ich planie. Tyle tylko, że ich podnieca i mówią o nim szeptem, nawet gdy sądzą, że są sami. Nie znam również nazwiska Claude'a. Z zawodu dewelopera nieruchomości, choć nieodnoszącego takich sukcesów jak większość. Do jego szczytowych osiągnięć należy krótkotrwały i lukratywny tytuł własności do wieżowca w Cardiff. Czy jest zamożny? Odziedziczył siedmiocyfrową sumkę, która stopniała, jak się zdaje, do jednej czwartej miliona. Wychodzi od nas koło dziesiątej, wraca po szóstej. Oto dwie przeciwstawne hipotezy – pierwsza: pod skorupą nijakości kryje się silniejsza osobowość. Bycie aż tak banalnym jest mało prawdopodobne. Czai się w nim ktoś sprytny, mroczny i wyrachowany. Ten facet to ciekawy model, autokonstrukt, stuprocentowy oszust spiskujący wraz z Trudy i w tym samym momencie spiskujący przeciwko niej. Druga: jest tym, kim się wydaje, ta muszla nie kryje w sobie małża, Claude jest równie prostodusznym spiskowcem jak ona, tyle że bardziej bezbarwnym. Co do niej, nie podejrzewa chyba o nic człowieka, który w niespełna trzy minuty rozwiera przed nią bramy raju. Ja tymczasem zachowuję otwarty umysł.

W nadziei, że odkryję więcej, czekam całą noc, by złapać ich na pieśni porannej, gdy nie będą tacy tajemniczy. Nietypowe dla Claude'a „możemy" kazało mi po raz pierwszy zwątpić w jego głupotę. Ale minęło od tego czasu pięć dni – i nic. Kopię, by zbudzić moją matkę, lecz ona nie chce przerywać snu kochankowi. Zamiast tego wciska do uszu słuchawki i otwiera się na cuda internetu. Słucha na chybił trafił. Słyszałem już wszystko. O hodowli czerwi w Utah. O pieszej wędrówce przez płaskowyż Burren. O podjętej przez Hitlera w Ardenach ofensywie ostatniej szansy. O seksualnych obyczajach Indian Janomamów. O tym, jak Poggio Bracciolini uratował Lukrecjusza od zapomnienia. O fizyce tenisa.

Nie śpię, słucham, uczę się. Dziś wczesnym rankiem, niespełna godzinę przed świtem, trafiła się materia cięższa niż zwykle. Poprzez kości matki nawiedził mnie zły sen w formie regularnego wykładu. Na temat stanu świata. Ekspertka stosunków międzynarodowych, rozsądna kobieta o głębokim, silnym głosie, powiadomiła mnie, że świat nie czuje się dobrze. Rozważała dwa stany umysłu: użalanie się nad sobą i agresję. Żaden nie służy jednostkom. Połączone, tworzą szkodliwy wywar dla grup i narodów, wywar, który zatruł ostatnio Rosjan na Ukrainie, podobnie jak to się działo wcześniej z ich przyjaciółmi, Serbami, w innej części świata. Byliśmy lekceważeni, teraz pokażemy, na co nas stać. Obecnie, gdy państwo rosyjskie stało się narzędziem zorganizowanej przestępczości, kolejna wojna w Europie nie jest już czymś niewyobrażalnym. Odkurzamy dywizje pancerne i rzucamy je na południową granicę Litwy i równiny północnych Niemiec. Ten sam dekokt rozpala barbarzyńskie obrzeża islamu. Wychylają do dna puchar, w niebo wznosi się ten sam krzyk: byliśmy upokarzani, teraz damy im za swoje.

Wykładowczyni nie była najlepszego zdania o naszym gatunku. Psychopaci stanowią w nim stały ułamek, ludzką stałą. Przyciągają ich zbrojne starcia, w słusznych i niesłusznych sprawach. Pomagają przeobrazić lokalne potyczki w szersze konflikty. Kiedy różne formy samolubnego nacjonalizmu skosztowały tego smakowitego wywaru, podzielona na frakcje, słaba Europa znalazła się, według ekspertki, w egzystencjalnym kryzysie. Zamieszanie wokół wartości, dojrzewający bakcyl antysemityzmu, rozżalone, znudzone i wściekłe populacje imigrantów. A gdzie indziej, wszędzie, nowe nierówności w podziale bogactwa, miliarderzy, którzy stają się oddzielną rasą panów. Pomysłowość wykorzystywana przez państwa do tworzenia nowych rodzajów inteligentnej broni, przez globalne korporacje do niepłacenia podatków, przez przekonane o swojej słuszności banki do napychania się bożonarodzeniowymi milionami. Chiny, zbyt wielkie, by potrzebować przyjaciół lub dobrej rady, cynicznie naruszające wybrzeża swoich sąsiadów, budujące wyspy z tropikalnego piasku, szykujące się do wojny, która ich zdaniem musi nadejść. Państwa z większością muzułmańską cierpiące na religijny purytanizm, chorą seksualność, zduszoną innowacyjność. Bliski Wschód, kolebka przyszłej światowej wojny. I wygodny przeciwnik: Stany Zjednoczone, już chyba nie nadzieja świata, winne torturom, bezradne w obliczu swojej świętej księgi poczętej w epoce pudrowanych peruk, konstytucji równie niepodważalnej jak Koran. Ich nerwowa ludność: otyła, zalękniona, dręczona przez niewypowiedziany gniew, gardząca rządem, mordująca sen każdą nową sztuką broni. Afryka, która musi się dopiero nauczyć triku partyjnej demokracji – pokojowego przekazania władzy. Jej dzieci, które co tydzień umierają tysiącami z braku prostych rzeczy – czystej wody, moskitier, tanich lekarstw. Nudne stare fakty – zmieniający się klimat, zanikające lasy, gatunki zwierząt i lodowe czapy na biegunach – jednoczące i zrównujące całą ludzkość. Opłacalne i toksyczne rolnictwo zabijające piękno przyrody. Oceany zmieniające się w słabo stężony kwas. Wysoko nad horyzontem szybko nadciągające zasikane tsunami coraz liczniejszych starców, chorych na raka i cierpiących na demencję, którzy domagają się opieki. I wkrótce, w piątej fazie rozwoju demograficznego, na odwrót, katastroficznie zanikające populacje. Wolność słowa, które nie jest już wolne, liberalna demokracja niebędąca już oczywistym uniwersalnym celem, roboty kradnące pracę, wolność w bezpośrednim starciu z bezpieczeństwem, socjalizm w niełasce, kapitalizm skorumpowany, destrukcyjny i również w niełasce, brak jakiejkolwiek alternatywy w zasięgu wzroku.

Podsumowując, stwierdziła ekspertka, katastrofy te są wynikiem naszej dwoistości. Jesteśmy sprytni i infantylni. Zbudowaliśmy świat zbyt skomplikowany i niebezpieczny, by przy naszej kłótliwej naturze dało się nim zarządzać. Wobec takiej beznadziei ludzie w swojej masie będą głosowali za nadprzyrodzonym. Nad drugą Erą Rozumu zachodzi słońce. Byliśmy wspaniali, lecz teraz czeka nas zguba.

Dwadzieścia minut. Klik.

Niespokojnie dotykam palcami pępowiny. Jest moim *komboloi*, koralikami, które poprawiają samopoczucie. Chwileczkę, myślę. Skoro i tak mnie to czeka, cóż złego jest w infantylności? Słyszałem już dość takich opowieści, by umieć wytoczyć kontrargumenty. Pesymizm jest zbyt łatwy, nawet apetyczny, to wizytówka i pióropusz intelektualistów na całym świecie. Uwalnia od wymyślania kategorii rozwiązań. Ekscytujemy się mrocznymi myślami w sztukach, wierszach, powieściach i filmach. A teraz w komentarzach. Dlaczego mam ufać tej relacji, skoro ludzie nigdy nie byli tacy bogaci, tacy zdrowi, tacy długowieczni? Skoro coraz mniej umiera w wojnach i przy narodzinach i nigdy wcześniej my wszyscy nie mieliśmy dostępu do większej wiedzy i prawdy w rozumieniu naukowym? Skoro codziennie budzą się pozytywne uczucia – do dzieci, zwierząt, obcych religii, nieznanych odległych cudzoziemców? Skoro setki milionów ludzi podniosły standard swojej nędznej egzystencji? Skoro na Zachodzie nawet ludzie relatywnie biedni rozsiadają się w fotelach i słuchają przyjemnej muzyki, pędząc gładkimi drogami z prędkością czterokrotnie przewyższającą tę konia w galopie? Skoro w tak wielu krajach zostały wyeliminowane ospa, polio, cholera, odra, wysoka śmiertelność noworodków, analfabetyzm, publiczne egzekucje i sankcjonowane przez państwo tortury? Nie tak dawno te plagi były wszędzie. Skoro panele słoneczne, farmy wiatrowe, energia nuklearna i inne, nieznane jeszcze wynalazki uchronią nas przed zanieczyszczeniem dwutlenkiem węgla, skoro genetycznie modyfikowana żywność uratuje biedaków przed głodem, a nas przed chemicznymi uprawami? Skoro globalna migracja do miast przywróci rozległe tereny naturze, obniży przyrost naturalny i uratuje kobiety przed niedouczonymi wiejskimi patriarchami? A co z cudami dnia powszedniego, dzięki którym Oktawian August mógłby pozazdrościć dzisiejszemu robotnikowi: bezbolesną stomatologią, światłem elektrycznym, możliwością natychmiastowego kontaktu z ludźmi, których kochamy, z najlepszą muzyką, którą zna świat, z kuchnią tuzina krajów? Jesteśmy zasypywani przywilejami i przyjemnościami, a także skargami, a ci, którzy nie są, będą już wkrótce. Co do Rosjan, to samo mówiło się o katolickiej Hiszpanii. Spodziewaliśmy się ich armii na naszych plażach. I jak dzieje się w większości przypadków, nic z tego nie wyszło. Sprawę załatwiło kilka branderów i sprzyjający sztorm, który zapędził ich okręty aż za Szkocję. Zawsze martwi nas stan rzeczy – tak to wygląda, gdy dysponuje się trudnym darem świadomości.

To po prostu jeden hymn na cześć złotego świata, który ma do mnie należeć. W swoim odosobnieniu stałem się koneserem zbiorowych snów. Kto wie, co jest prawdą? Nie mogę raczej sam gromadzić dowodów. Każdej hipotezie można przeciwstawić inną. Tak jak wszyscy, biorę to, co chcę, co mi pasuje.

Ale te rozważania mnie zdekoncentrowały i nie usłyszałem pierwszych słów

rozmowy, na którą czekałem całą noc. Pieśń poranna. Za kilka minut ma zadzwonić budzik. Claude mruknął coś, matka odpowiedziała, potem znów się odezwał. Odwracam się i przyciskam ucho do ściany. Czuję falowanie materaca. Noc była ciepła. Claude chyba usiadł i zdejmuje T-shirt, w którym kładzie się do łóżka. Słyszę, jak mówi, że po południu spotyka się z bratem. Wspominał już o tym bracie wcześniej. Powinienem bardziej uważać. Ale znudził mnie kontekst wypowiedzi – chodziło o pieniądze, konta, podatki, długi.

– Wszystkie nadzieje pokłada w tej poetce, z którą podpisał umowę – mówi Claude.

W poetce? Niewiele osób na tym świecie podpisuje umowy z poetami. Ja znam tylko jednego. To jego brat?

– A tak, z tą kobietą – potwierdza matka. – Zapomniałam, jak się nazywa. Pisze o sowach.

– O sowach! Rzeczywiście gorący temat! Ale powinienem się z nim spotkać dziś wieczór.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odpowiada matka. – Nie teraz.

– W takim razie znów tu przyjdzie. Nie chcę, żeby ci się naprzykrzał. Ale.

– Ja też nie chcę – mówi matka. – Ale trzeba to zrobić na mój sposób. Powoli.

Chwila ciszy. Claude bierze z nocnej szafki telefon i zawczasu wyłącza budzik.

– Jeśli pożyczę bratu pieniądze, to będzie dobra przykrywka – mówi w końcu.

– Ale nie za wiele. Raczej nie dostaniemy ich z powrotem.

Śmieją się. A potem Claude i jego gwizdanie przenoszą się do łazienki, matka odwraca się na drugi bok i zasypia, a ja, pozostawiony sam sobie, uświadamiam sobie szokujący fakt oraz własną głupotę.

Cztery

Kiedy słyszę przyjazny warkot przejeżdżających samochodów, lekki wietrzyk porusza liśćmi, jak mi się zdaje, kasztanowca zwyczajnego, gdzieś pode mną metalicznie brzęczy przenośne radio, a półcienisty koralowy blask, przedłużający się tropikalny zmierzch, oświetla niewyraźnie moje śródlądowe morze i unoszące się w nim tryliony cząsteczek, wiem, że matka opala się na balkonie przy bibliotece ojca. Wiem również, że kuta w żelazie ozdobna balustrada w dębowe liście i żołędzie trzyma się wyłącznie na historycznych warstwach czarnej farby i nie należy się o nią opierać. Podparta wspornikami krusząca się betonowa półka, na której siedzi matka, uznana została za niebezpieczną nawet przez robotników niezainteresowanych remontem. Ponieważ balkon jest wąski, leżak trzeba ustawić ukośnie, prawie równolegle do ściany domu. Trudy jest boso, w górze od bikini i króciutkich dżinsowych szortach, w których ledwo się mieszczę. Kreację wieńczą różowe okulary przeciwsłoneczne w kształcie serduszek i słomiany kapelusz. Wiem o tym, ponieważ mój stryj – mój stryj! – poprosił przez telefon, żeby opisała, jak jest ubrana. Kokieteryjnie spełniła jego życzenie.

Kilka minut temu w radiu odtrąbili czwartą. Sączymy na spółkę kieliszek, a może raczej butelkę Marlborough Sauvignon Blanc. Według mnie to nie jest najlepszy wybór i z tego samego szczepu wolałbym jakieś mniej trawiaste sancerre, najlepiej z Chavignol. Odrobina mineralnego, kamiennego tonu złagodziłaby frontalny atak słonecznego światła i fale żaru odbijające się od popękanej fasady domu.

Ale jesteśmy w Nowej Zelandii, Nowa Zelandia jest w nas i czuję się szczęśliwszy, niż byłem przez ostatnie dwa dni. Trudy chłodzi nasze wino plastikowymi kostkami mrożonego etanolu. Nie mam nic przeciwko temu. Po raz pierwszy zapoznaję się z kolorami i kształtami, bo brzuch matki skierowany jest ku słońcu i dzięki temu w czerwonawej poświacie, zupełnie jak w ciemni fotograficznej, spostrzegam przed sobą własne ręce i oplatającą mój brzuch i kolana pępowinę. Choć do porodu zostały mi jeszcze dwa tygodnie, widzę, że paznokcie wymagają przycięcia. Chciałbym wierzyć, że wyszła na balkon, by zsyntetyzować witaminę D, która sprzyja rozwojowi moich kości, że przyciszyła radio, by móc lepiej kontemplować moje istnienie, że dłoń pieszcząca miejsce, gdzie jej zdaniem znajduje się moja głowa, świadczy o czułości. Nie można jednak wykluczyć, że chce po prostu popracować nad swoją opalenizną, że jest zbyt gorąco, by słuchać audycji o władcy Mogołów Aurangzebie, i że masuje opuszkami palców brzuch, by złagodzić uciążliwości późnej ciąży. Mówiąc w skrócie, nie jestem pewien jej miłości.

Wino, po trzech kieliszkach, niczego nie rozwiązuje i wciąż boli mnie niedawne odkrycie. Mimo to doznaję przyjaznej dysocjacji: jestem już kilka

użytecznych kroków dalej i z wysokości jakichś pięciu metrów patrzę na samego siebie – jakbym był wspinaczem, który runął w przepaść i leży z rozrzuconymi rękami i nogami na skale. Mogę zacząć analizować swoją sytuację, mogę myśleć, nie tylko czuć. Oto czego może dokonać bezpretensjonalne białe wino z Nowego Świata. No więc tak. Matka wolała brata mego ojca, zdradziła męża, doprowadziła do ruiny syna. Mój stryj skradł żonę bratu, oszukał ojca swego bratanka, grubiańsko obszedł się z synem szwagierki. Mój ojciec jest bezbronny z natury, ja w wyniku okoliczności. Mój stryj – ćwiartka mojego genomu, połowa genomu ojca, ale nie bardziej do niego podobny niż ja do Wergiliusza albo Montaigne'a. Jaką nikczemną częścią mnie jest Claude i jak się o tym dowiem? Mógłbym być swoim własnym bratem i oszukać siebie, jak on oszukał swego. Kiedy się urodzę i pozwolą mi w końcu zostać samemu, jest pewna ćwiartka, którą będę chciał odkroić kuchennym nożem. Ale ten nóż będzie trzymał również mój stryj kwaterujący w moim genomie. Skoro tak, nóż się nie poruszy. A to spostrzeżenie jest w jakiś sposób także jego spostrzeżeniem. I to.

Moje stosunki z Trudy nie układają się dobrze. Sądziłem, że mogę traktować jej miłość jako coś oczywistego. Słyszałem jednak debatujących o świcie biologów. Ciężarne matki muszą walczyć z lokatorami swoich łon. Natura, sama będąc matką, chce, by trwał bój o zasoby, które mogą być potrzebne do wykarmienia moich przyszłych rywali – przyszłego rodzeństwa. Zawdzięczam Trudy swoje zdrowie, lecz ona musi się przede mną chronić. Dlaczegóż by miała się przejmować moimi uczuciami? Jeżeli w interesie jej i jakiegoś niepoczętego neptka jest, bym był niedożywiony, dlaczego miałaby się przejmować, że nie podoba mi się jej romans z moim stryjem? Biologowie sugerują również, że najmądrzejszym wyjściem dla mojego ojca byłoby podrzucenie swojego dziecka innemu mężczyźnie, by je wychowywał, podczas gdy on – mój ojciec! – będzie powielał swój wizerunek pośród innych kobiet. Jakie to smutne, jakie nieczułe. A zatem jesteśmy sami, my wszyscy, nawet ja, każdy wędruje pustą drogą, trzymając w tobołku na kiju schematy i algorytmy nieświadomego postępu.

To zbyt trudne do zniesienia, zbyt straszne, by było prawdziwe. Dlaczego świat miałby być ukształtowany w tak okrutny sposób? Ludzie, poza wieloma innymi zaletami, są towarzyscy i mili. Dojrzałość to nie wszystko. Moja matka jest kimś więcej niż tylko moją gospodynią. Ojcu zależy nie na jak najszerszym powielaniu samego siebie, lecz na żonie i oczywiście na jedynym synu. Nie wierzę przyrodniczym mędrcom. On musi mnie kochać, chce się z powrotem wprowadzić, będzie się mną opiekował – jeśli tylko da mu się szansę. A ona nigdy nie zapomniała mnie nakarmić i aż do dzisiaj ze względu na mnie odmawiała trzeciego kieliszka. To nie z jej miłością jest coś nie tak, lecz z moją. To moje resentymenty kładą się cieniem między nami. Nie powiem, żebym jej nienawidził. Ale żeby porzucić poetę, jakiegokolwiek poetę, dla Claude'a!

To bolesne i równie bolesne jest to, że ten poeta jest taki miękki. John Cairncross, wykurzony z nabytego przez jego dziadka rodzinnego gniazda w imię filozofii „rozwoju osobistego" – co jest frazą tak samo paradoksalną jak „łatwa muzyka". Rozejść się, by być razem, odwrócić się do siebie plecami, by móc się objąć, przestać kochać, by móc się zakochać. Kupił to. Co za oferma! Między jego słabością a jej oszukaństwem powstała cuchnąca szpara, w której spontanicznie zrodził się czerw-stryjek. A ja kucam tutaj, zamknięty w swym prywatnym życiu, w trwającym bez końca dusznym zmierzchu, niecierpliwie śniąc.

Czego mógłbym dokonać, gdybym był w kwiecie wieku. Powiedzmy, za dwadzieścia osiem lat od teraz. W spłowiałych obcisłych dżinsach, z napiętymi i rzeźbionymi mięśniami brzucha, poruszający się zwinnie jak pantera, chwilowo nieśmiertelny. Przywożący taksówką leciwego ojca z Shoreditch, by nie słuchając solennych protestów Trudy, zainstalować go w jego bibliotece, jego łóżku. Łapiący Stryjka Czerwia za kark i ciskający go do usłanego liśćmi rynsztoka Hamilton Terrace. Uciszający matkę niedbałym całusem w kark.

Lecz oto prawda, która w życiu najbardziej nas ogranicza – zawsze jest tu i teraz, nigdy tam i kiedyś. A tu i teraz smażymy się w londyńskim upale na niezbyt bezpiecznym balkonie. Słyszę, jak matka napełnia kieliszek, wrzuca do niego plastikowe kostki i cicho wzdycha, z niepokojem, nie z satysfakcją. A zatem czwarty kieliszek. Musiała dojść do wniosku, że jestem wystarczająco dorosły, by mi nie zaszkodził. I jestem. Upijamy się, bo dokładnie w tej samej chwili jej kochanek konferuje ze swoim bratem w pozbawionej okien kanciapie Cairncross Press.

Chcąc się rozerwać, wybiegam myślami w dal, by ich szpiegować. To czyste ćwiczenie wyobraźni. Nic tutaj nie jest prawdziwe.

Miękka pożyczka ląduje na zagraconym biurku.

– Ona cię naprawdę kocha, John, ale zwróciła się do mnie jako do zaufanego członka rodziny. Mam cię poprosić, żebyś jeszcze przez chwilę trzymał się z daleka. To dobrze zrobi waszemu małżeństwu. Ehem. W końcu wszystko się ułoży. Powinienem się domyślić, że masz zaległości w czynszu. Ale. Proszę, zgódź się, weź gotówkę i daj jej trochę luzu.

Pieniądze leżą między nimi na biurku, pięć tysięcy funtów w brudnych pięćdziesiątkach, pięć stert czerwonych banknotów o charakterystycznym zapachu. Obok tomiki poetyckie i luźno złożone maszynopisy, zatemperowane ołówki, dwie wypełnione po brzegi szklane popielniczki, butelka szkockiej, łagodnej Tomintoul, której zostało nie więcej niż na dwa palce, kryształowa szklaneczka, a w niej leżąca na grzbiecie martwa mucha, kilka aspiryn na nieużywanej serwetce. Bałagan świadczący o ciężkiej pracy.

Podejrzewam rzecz następującą. Mój ojciec nigdy nie starał się zrozumieć młodszego brata. Nigdy nie sądził, że to coś wartego zachodu. Poza tym nie lubi

konfrontacji. Omija wzrokiem leżące na biurku pieniądze. Nie wpada mu do głowy, by wyjaśnić, że wszystko, czego pragnie, to wrócić do domu i być razem z żoną i dzieckiem.

– To przyszło wczoraj – mówi zamiast tego. – Chcesz posłuchać wiersza o sowie?

Właśnie takich rzucanych bez związku uwag Claude nienawidził jako dziecko. Potrząsa głową, nie, proszę, oszczędź mi tego, ale jest już za późno.

Ojciec trzyma w łuszczących się dłoniach pojedynczy arkusz maszynopisu.

– *Łaknąca krwi, ta złowroga płaczka*… – zaczyna. Lubi trójstopowy trochej.

– Więc nie chcesz pieniędzy – przerywa mu nadąsany brat. – W porządku. – Szybkimi palcami bankiera zbiera banknoty, wyrównuje ich brzegi o blat biurka, nie wiadomo skąd wyciąga gumkę, w dwie sekundy chowa gotówkę do wewnętrznej kieszeni marynarki ze srebrnymi guzikami, po czym wstaje, spocony i zdegustowany.

Mój ojciec, nie przejmując się, czyta drugą linijkę.

– *Zachwyca nas okrutnym krzykiem*… – Nagle przerywa. – Musisz już iść? – pyta łagodnie.

Nikt obserwujący ich z bliska nie zdołałby rozszyfrować braterskiej stenografii, smutnego fatum, które zawisło nad tą wymianą zdań. Zasady i rangi zostały ustanowione zbyt dawno, by je korygować. Względna zamożność Claude'a musi zostać wzięta w nawias. Jest w dalszym ciągu młodszym bratem, niedoskonałym, skrępowanym, wściekłym. Najbliższy żyjący krewny wprawia w zadziwienie mego ojca, ale nie jest to zadziwienie zbyt głębokie. Nie zmieni swojego zachowania i dlatego może się wydawać, że z niego kpi. Choć wcale tego nie robi. To coś gorszego niż kpina: on ma to w nosie i nie zdaje sobie nawet sprawy, że ma to w nosie. Ma w nosie czynsz, pieniądze i propozycję Claude'a. Ponieważ jednak jest człowiekiem uprzejmym, wstaje, by odprowadzić gościa, i kiedy za tamtym zamkną się drzwi, siada z powrotem za biurkiem i zapomina o leżącej tu wcześniej gotówce i o samym bracie. Trzymając ponownie w jednej dłoni ołówek, a w drugiej papierosa, zabiera się do jedynej pracy, która się naprawdę liczy: przygotowywania wierszy do druku. Będzie tak siedział do szóstej, kiedy nadejdzie pora na whisky z wodą. Ale najpierw wyrzuci muchę ze szklanki.

Wracam do swego łona niczym z dalekiej podróży. Na balkonie nic się nie zmieniło poza tym, że jestem w sztok zalany. Trudy wlewa resztki wina do kieliszka, jakby chciała przywitać mnie z powrotem. Kostki zupełnie się rozmroziły, wino jest prawie ciepłe, ale ma rację, lepiej wypić je do końca. Nie przetrwa do jutra. Kasztanowce nadal szumią na wietrze, ruch uliczny się wzmaga. Słońce wędruje coraz niżej i robi się cieplej. Lecz upał mi nie przeszkadza. Sącząc ostatni kieliszek sauvignon blanc, koryguję swoje wyobrażenia. Byłem gdzie indziej, uciekłem przez ogrodzenie, bez sznura i bez drabiny, wolny jak ptak,

zostawiając za sobą moje tu i teraz. To nieprawda, że cokolwiek mnie ogranicza: mogę odejść, kiedy tylko chcę, mogę wyrzucić Claude'a z domu, odwiedzić ojca w jego biurze, mogę być kochającym niewidzialnym szpiclem. Czy tak właśnie wygląda to w filmach? Przekonam się. Można by zarabiać na życie, wymyślając takie wycieczki. Ale ta faktyczna, ograniczona rzeczywistość również jest absorbująca i niecierpliwie czekam na Claude'a, by wrócił i opowiedział nam, co się naprawdę wydarzyło. Moja wersja z pewnością okaże się błędna.

Matka też chce to wiedzieć. Gdybyśmy nie pili we dwoje, gdyby się ze mną nie dzieliła, leżałaby teraz jak długa na podłodze. Po dwudziestu minutach wracamy do środka, przechodzimy przez bibliotekę i wspinamy się na górę do sypialni. Chodząc na bosaka po tym domu, powinno się uważać. Nadepnąwszy na coś, matka krzyczy z bólu, po czym przechylamy się i zbaczamy z kursu, gdy łapie za balustradę. Po chwili przystajemy, prostujemy się i matka ogląda podeszwę stopy. Klnie pod nosem, ale spokojnie, więc skaleczenie nie jest zbyt poważne. Podskakując na jednej nodze, mija sypialnię, zostawiając pewnie plamy krwi na brudnym białym dywanie, na którym leżą porzucone ubrania, buty i rozpakowane do połowy walizki z podróży poprzedzających moje istnienie.

Docieramy do rozbrzmiewającej echem łazienki, która z tego, co wiem, jest duża i zagracona. Trudy otwiera szufladę, niecierpliwie przetrząsa jej grzechoczącą i szeleszczącą zawartość, otwiera kolejną i dopiero w trzeciej znajduje plaster. Siada na skraju wanny i opiera biedną stopę o kolano. Ciche pomruki i westchnienia wskazują, że skaleczenie musi być w trudno dostępnym miejscu. Szkoda, że nie mogę przed nią klęknąć i pomóc. Mimo że jest młoda i szczupła, niełatwo jej się pochylić do przodu, przeszkadza jej moja masa. Uznaje, że lepiej i bezpieczniej będzie uprzątnąć kawałek miejsca i usiąść na twardej, wyłożonej kafelkami podłodze. Ale tu też nie jest łatwo. Wszystko to moja wina.

Tu właśnie jesteśmy i tym się zajmujemy, kiedy dobiega nas z parteru głos Claude'a.

– Trudy! O mój Boże! Trudy!

Tupot szybkich kroków i znowu wykrzyczane głośno jej imię. W końcu jego ciężki oddech w łazience.

– Nadepnęłam na cholerny kawałek szkła.

– Krew jest wszędzie w sypialni. Myślałem… – Nie przyznaje się, że liczył na mój koniec. – Daj, ja to zrobię – mówi zamiast tego. – Czy nie powinniśmy najpierw oczyścić skaleczenia?

– Przylep to.

– Zaczekaj. – Teraz on z kolei mruczy i wzdycha. – Piłaś? – pyta po chwili.

– Pierdol się. Przylep to.

W końcu udaje się to zrobić i Claude pomaga jej wstać. Razem się zataczamy.

– Chryste! Ile ty wypiłaś?

– Jeden kieliszek.

Trudy siada ponownie na skraju wanny.

Claude wychodzi do sypialni i po minucie wraca.

– Nigdy nie zmyjemy krwi z tego dywanu.

– Spróbuj ją czymś zetrzeć.

– Mówię ci, nie zejdzie. Popatrz. Tu jest plama. Spróbuj sama zetrzeć.

Rzadko słyszę, by Claude był taki stanowczy. Przynajmniej od czasu „możemy".

Moja matka też to słyszy.

– Co się stało? – pyta.

W jego głosie pobrzmiewa teraz płaczliwa pretensja.

– Wziął pieniądze i nawet mi nie podziękował. I posłuchaj. Rozwiązał umowę na to mieszkanie w Shoreditch. Wprowadza się tu z powrotem. Twierdzi, że go potrzebujesz, choćbyś nie wiadomo ile razy mówiła coś przeciwnego.

W łazience cichnie echo ich głosów. Ale sądząc po oddechach, usilnie się nad czymś zastanawiają. Zgaduję, że na siebie patrzą, mierzą się długim wymownym spojrzeniem.

– No tak – mówi w końcu on, w typowy dla siebie sposób nie kończąc zdania. – I co? – pyta po chwili.

W tym momencie serce mojej matki zaczyna przyspieszać. Bije nie tylko szybciej, ale głośniej, jego głuchy dźwięk przypomina stukot zatykającej się kanalizacji. Coś dzieje się również w jej brzuchu. Jej kiszki rozluźniają się, wydając skrzypiący chroboczący odgłos, a wyżej, nad moimi stopami, soki płyną krętymi rurami gdzieś w nieznane. Przepona się unosi. Przyciskam jeszcze mocniej ucho do ściany. W tym potężniejącym hałasie łatwo może mi umknąć coś ważnego.

Ciało nie potrafi kłamać, ale umysł to inna kraina. Kiedy matka w końcu się odzywa, jej głos jest spokojny, w pełni nad nim panuje.

– Zgadzam się.

Claude podchodzi bliżej.

– Ale. Co myślisz? – pyta cicho, prawie szeptem.

Całują się i matka zaczyna drżeć. Czuję, jak jego ręce obejmują ją w pasie. Całują się ponownie bezszelestnymi językami.

– To straszne – mówi ona.

– Kosmate – odpowiada on, nawiązując do jakiegoś ich prywatnego żartu.

Ale się nie śmieją. Czuję, jak Claude przyciska do niej swoje krocze. Że też mogą odczuwać podniecenie w takiej chwili! Jak mało jeszcze wiem. Ona odnajduje jego rozporek, rozsuwa zamek błyskawiczny, zaczyna go pieścić, jego palec wskazujący wędruje pod jej szorty. Czuję, jak uciska mi czoło. Czy

pójdziemy na górę? Na szczęście nie. Claude, dzięki Bogu, wraca do swojego pytania.

– Zdecyduj.

– Boję się.

– Ale pamiętaj. Za sześć miesięcy. W moim domu, z siedmioma milionami w banku. A dziecko będzie już gdzieś oddane. Ale. Co to ma. Ehem. Być?

Własne praktyczne pytanie uspokaja go, powoduje, że cofa palec. Za to jej puls, który zaczął już zwalniać, skacze ponownie w górę. Nie seks, lecz zagrożenie. Jej krew płynie przeze mnie wysokimi falami, huczy niczym odległy ogień artyleryjski i wyczuwam, że matka nie może się zdecydować. Jestem organem w jej ciele, nic nie dzieli mnie od jej myśli. Biorę udział w tym, co ma zamiar zrobić. Kiedy decyzja zostaje w końcu podjęta, wypowiedziany szeptem rozkaz, pojedyncze zdradzieckie słowo, wydaje się padać z moich własnych dziewiczych warg. Gdy się znowu całują, mówi to prosto w usta kochanka. Pierwsze słowo dziecka.

– Trucizna.

Pięć

Jak solipsyzm staje się czymś nienarodzonym. Podczas gdy bosonoga Trudy odsypia pięć kieliszków na kozetce w salonie, a nasz zapuszczony dom odpływa na wschód w ciemną noc, ja dumam jednocześnie nad „oddanym" mojego stryja i „trucizną" mojej matki. Niczym pochylony nad talerzem didżej skreczuję te sample. „A… dziecko będzie już gdzieś oddane". Kiedy powtarzam te słowa, nie pozostawiają żadnych wątpliwości i zaplanowana dla mnie przyszłość staje się jasna. „Oddane" nie jest niczym innym jak oszukańczą wersją „porzuconego". „Gdzieś" to także kłamstwo. Okrutna matko! To oznacza moją zgubę, mój upadek, bo tylko w bajkach niechciane dzieci przygarniane są przez klasę wyższą. Nie adoptuje mnie księżna Cambridge. Rozżalony, widzę się gdzieś na trzynastym piętrze ponurego wieżowca, któremu matka, jak sama twierdzi, przygląda się czasami ze smutkiem z okna sypialni na piętrze. Przygląda mu się i myśli: takie bliskie, a mimo to odległe niczym dolina rzeki Swat. Zabawnie byłoby tam mieszkać.

Z pewnością. Wychowywany bezksiążkowo, na komputerowych zabawkach, cukrze, tłuszczu i pacnięciach w głowę. W rzeczy samej Swat3. Nie będzie rozwijających mój młody plastyczny umysł opowieści do poduszki. Pozbawiony ciekawości mentalny pejzaż współczesnego angielskiego chłopstwa. A co z hodowlą czerwi w Utah? Biedny ja, biedny ostrzyżony na zapałkę tęgi trzylatek w kamuflażowych spodniach, zagubiony w telewizyjnym zgiełku i oparach cudzego dymu papierosowego. Kołysząc się na spuchniętych łydkach, mija go wytatuowana przybrana matka, a za nią śmierdzący pies jej labilnego chłopaka. Ukochany ojcze, ocal mnie przed tą Doliną Rozpaczy. Zabierz mnie ze sobą do grobu. Wolę być otruty razem z tobą niż „gdzieś oddany".

Typowa dla trzeciego trymestru przesada. Wszystko, co mi wiadomo o angielskiej biedocie, dotarło do mnie za pośrednictwem telewizji i recenzji szyderczej prozy. Tak naprawdę nic nie wiem. Chyba jednak słusznie podejrzewam, że ubóstwo oznacza deprywację na wszystkich poziomach. Na trzynastym piętrze nie będzie nauki gry na harfie. Jeśli jedyną ceną ma być hipokryzja, wybieram życie burżuja i cieszę się, że tanio wyszło. Więcej, zbieram ziarnko do ziarnka, bogacę się i sprawiam sobie herb. NON SANZ DROICT, „Nie bez prawa", a ja mam absolutne prawo do miłości matki. Nie zgadzam się, by się mnie pozbyła. To nie ja będę wygnany, lecz ona. Związę ją tym śliskim sznurem, skaperuję w dniu narodzin jednym mętnym spojrzeniem noworodka, jednym krzykiem samotnej mewy, który przeszyje jej serce. A potem, zniewolona przez ciężkozbrojną miłość, stając się na zawsze moją mamką, wolną tylko w domowych pieleszach, Trudy będzie moja, nie Claude'a, i prędzej wyrwie sobie piersi z ciała i ciśnie je za burtę, niż zdoła się mnie pozbyć. Ja też potrafię być bezwzględny.

* * *

Tak oto nawijałem, jak przypuszczam po pijanemu, nie hamując się i bredząc, aż w końcu jęknęła kilka razy, obudziła się i zaczęła szukać sandałów pod kozetką. Utykając, schodzimy razem do dusznej kuchni, gdzie w półmroku, w którym prawie nie widać nieporządku, Trudy pochyla się i pociąga kilka długich łyków z kranu. Nadal w swojej plażowej kreacji. Zapala światło. Ani śladu po Claudzie, żadnego liściku. Podchodzimy do lodówki i z nadzieją do niej zagląda. Widzę – wyobrażam sobie, że widzę na swojej dziewiczej siatkówce – jej bladą niezdecydowaną rękę, skąpaną w zimnym świetle. Uwielbiam jej piękną rękę. Na dolnej półce coś kiedyś żywego, a teraz zgniłego, wydaje się poruszać w papierowej torbie. Trudy bierze gwałtowny wdech i zamyka drzwi. Idziemy do szafki z suchymi produktami i tutaj znajduje torebkę słonych orzeszków. Po chwili słyszę, jak wybiera numer kochanka.

– Jesteś jeszcze w domu?

Trudy tak głośno chrupie, że nie słyszę jego odpowiedzi.

– Dobrze – mówi, wysłuchawszy go. – Przywieź to. Musimy pogadać.

Po tym, jak delikatnie odkłada telefon, domyślam się, że Claude jest w drodze. Fatalnie. A ja mam swój pierwszy ból głowy, ściska mi czoło niczym jarmarczna bandana, płochy ból tańczący w rytmie jej pulsu. Jeśli matka też cierpi, sięgnie, być może, po tabletkę przeciwbólową. Z mocy prawa ból jest jej. Lecz ona, zebrawszy się na odwagę, otwiera znów lodówkę i znajduje na pleksiglasowej półce w drzwiach dwudziestocentymetrowy kawałek historycznego parmezanu, starego jak diabli, twardego jak diament. Jeśli zdoła wbić w niego zęby, czeka nas, po orzeszkach, drugi przypływ zabójczej soli zalewającej zatoczki estuarium, zmieniającej naszą krew w gęsty słony muł. Powinna pić wodę, więcej wody. Unoszę ręce do skroni. To monstrualna niesprawiedliwość cierpieć taki ból, zanim jeszcze zaczęło się moje życie.

Słyszałem teorie, że to ból zrodził dawno temu świadomość. Aby uniknąć poważnych szkód, proste stworzenie musi rozwinąć bicze i ościenie subiektywnej pętli, odczuwanych doznań. Nie tylko czerwone światełko w głowie – kto by je tam zobaczył? – ale ukłucie, żądło, coś, co boli. Przeciwności losu wymusiły na nas ostrożność i to działa, boli nas, gdy zbliżamy się do ognia lub gdy zbyt mocno kochamy. Te odczuwane wrażenia są początkiem odkrywania jaźni. Skoro to działa, dlaczego nie brzydzić się gównem, dlaczego nie obawiać się przepaści i obcych, nie pamiętać obelg i przysług, nie polubić seksu i jedzenia. Bóg powiedział: niech stanie się ból. I stała się poezja. Po jakimś czasie.

Jaki jest więc pożytek z bólu głowy, z bólu serca? Przed czym jestem ostrzegany albo do czego zachęcany? Nie pozwól żyjącym w cudzołożnym związku matce i stryjowi otruć twego ojca. Nie trać bezczynnie cennego czasu,

stojąc na głowie. Ródź się i działaj!

Trudy siada na kuchennym krześle, wydając zrodzony z kaca jęk, melodię fakultatywnej dolegliwości. Komuś, kto upił się po południu, pozostaje niewiele możliwości na resztę wieczoru. Faktycznie dwie: pokutować lub napić się ponownie i odłożyć pokutę na później. Wybrała tę pierwszą, ale jest jeszcze wcześnie. Zapomniany ser leży na stole. Claude wraca z miejsca, gdzie moja matka milionerka zamieszka, gdy się mnie pozbędzie. Jedzie przez Londyn taksówką, bo nigdy nie nauczył się prowadzić.

Staram się ją ujrzeć taką, jaka jest, jaką musi być, dojrzałą ciężarną dwudziestoośmiolatkę, młodo (upieram się przy tym przysłówku) rozpartą przy kuchennym stole, jasnowłosą, z warkoczykami niczym saksoński wojownik, piękną nie do opisania, gdyby nie ja całkiem szczupłą, prawie nagą, z zaróżowionymi od słońca ramionami, odnajdującą miejsce na łokcie pośród talerzy od miesiąca pokrytych zeszklonym żółtkiem, okruszkami grzanek i kryształkami cukru, na które codziennie wymiotują muchy, śmierdzących plastikowych kubków, lepiących się łyżeczek i kopert śmieciowej poczty, na których zaschły różne płyny. Staram się ją ujrzeć i kochać tak, jak muszę, a potem wyobrazić sobie, co jej leży na sercu: łajdak, którego wybrała na kochanka, święty, którego porzuciła, czyn, który zaplanowała, ukochane dziecko, które odda obcym. Nadal ją kochacie? Jeśli nie, już wam to nie grozi. Ale ja ją pokochałem. I nadal kocham.

Przypomina sobie o serze, sięga po leżące najbliżej narzędzie i mocno dźga. Od parmezanu odpada kawałek i ląduje w jej ustach – suchy kamień, który ssie, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Mija kilka minut. Jej sytuacja nie jest dobra, myślę, choć nasza krew ostatecznie nie zgęstnieje, bo soli, którą łyka, będzie potrzebowała do oczu, do policzków. Dziecko cierpi, słysząc, jak jego matka płacze. Trudy widzi przed sobą świat, który stworzyła, akceptując wszystko, co zaakceptowała. Widzi swoje nowe obowiązki, które muszę ponownie wyliczyć – zabić Johna Cairncrossa, sprzedać jego ojcowiznę, podzielić pieniądze, oddać dzieciaka. To ja powinienem płakać. Ale nienarodzeni są stoikami o nieruchomych twarzach, zanurzonymi w owodni buddami. W przeciwieństwie do naszych dalekich krewnych, kwilących niemowląt, zdajemy sobie sprawę, że łzy leżą w naturze rzeczy. *Sunt lacrimae rerum*. Dziecinne kwilenie całkowicie mija się z celem. Najważniejsze jest czekanie. I myślenie!

Kiedy słyszymy w holu jej kochanka, Trudy jest już spokojna. Claude klnie pod nosem, trącając śmieci swymi o numer za dużymi półbutami, które tak jej się podobają. (Ma własny klucz. To mój ojciec musi dzwonić do drzwi). Schodzi do kuchni w przyziemiu. Szelest, który słyszę, wydaje plastikowa torba z zakupami albo narzędziami zbrodni, albo jednym i drugim.

Claude natychmiast zauważa jej zmienioną twarz.

– Płakałaś – mówi.

To nie tyle wyraz troski, ile stwierdzenie faktu lub rozkaz. Trudy wzrusza ramionami i odwraca się. On wyjmuje z torby butelkę, stawia ją ciężko na stole, tak by zobaczyła etykietę.

– Cuvée Les Caillottes Sancerre Jean-Max Roger z dwa tysiące dziesiątego roku. Pamiętasz? Jego ojciec zginął w katastrofie samolotu.

Mówi o śmierci ojców.

– Jeśli jest zimne i białe, będzie mi smakować.

Zapomniała. Chodzi o restaurację, w której kelner spóźnił się z zapaleniem świecy. Wtedy bardzo jej smakowało, a mnie jeszcze bardziej. Słyszę wyciągany korek, brzęk kieliszków – mam nadzieję, że są czyste – i Claude nalewa. Na pewno nie odmówię.

– Zdrowie! – Jej ton szybko złagodniał.

Wychylają do dna.

– Powiedz, o co chodzi – prosi Claude.

Kiedy Trudy zaczyna mówić, ściska ją w gardle.

– Myślałam o naszym kocie. Miałam wtedy piętnaście lat. Nazywał się Hector, słodki staruszek, ulubieniec rodziny, starszy ode mnie o dwa lata. Czarny, z białymi skarpetkami i krawatem. Któregoś dnia wróciłam ze szkoły w paskudnym nastroju. Siedział na stole w kuchni, gdzie nie wolno mu było wchodzić. Szukał jedzenia. Walnęłam go, aż poleciał w górę. Aż chrupnęły mu stare kości, kiedy wylądował. Potem zniknął na parę dni. Rozlepialiśmy ogłoszenia na drzewach i latarniach. W końcu ktoś znalazł go leżącego przy murku, na stercie liści, na którą wpełzł, żeby zdechnąć. Biedny, biedny Hector, sztywny jak kamień. Nigdy nie mówiłam o tym, nigdy nie odważyłam się, ale wiem, że to ja go zabiłam.

A zatem nie chodzi jej o podłe plany, o utraconą niewinność, o dziecko, które porzuci. Zaczyna znowu płakać, bardziej niż poprzednio.

– Jego życie i tak dobiegało końca – mówi Claude. – Nie masz pewności, że to przez ciebie.

– Przeze mnie, przeze mnie – łka Trudy. – To przeze mnie. O Boże!

Wiem, wiem. Gdzie ja to słyszałem? *Zabija swoją matkę, ale nie może nosić szarych spodni*4. Ale bądźmy wielkoduszni. Młoda kobieta, której piersi i brzuch nabrzmiały tak, że o mało nie pękną, którą czekają przez Boga ustanowione bóle, a później kupki, karmienie i bezsenna wędrówka po nowo odkrytym lądzie przykrych obowiązków, gdzie brutalna miłość skradnie jej życie – i oto duch starego kota podąża za nią bezszelestnie w swoich skarpetkach, chcąc się zemścić za własne skradzione życie.

Tak czy owak. Żeby kobieta, która z zimną krwią planuje… zalewała się łzami z powodu… Nie mówmy tego głośno.

– Koty potrafią uprzykrzyć życie – mówi Claude, chyba żeby dodać jej otuchy. – Ostrzą pazury o meble. Ale.

Nie ma żadnej antytezy do dodania. Czekamy, aż Trudy się wypłacze. Wtedy będzie można znowu nalać. Czemu nie? Kilka łyków, neutralizująca pauza, po czym Claude znów szeleści w swojej torbie i w jego rękach pojawia się inny rocznik. Kiedy stawia go na stole, odgłos jest cichszy. Butelka jest plastikowa.

Tym razem Trudy czyta etykietę, ale nie na głos.

– W lecie?

– Płyn do chłodnic, zawiera glikol etylenowy, raczej skuteczny środek. Podałem go kiedyś psu sąsiada, przerośniętemu owczarkowi alzackiemu. Doprowadzał mnie do szału, szczekając przez całą noc. Nieważne. Bezbarwny, bezzapachowy, o przyjemnym smaku, raczej słodkim, dokładnie takim, jaki ma smoothie. Ehem. Rozwala nerki, powoduje straszliwy ból. Małe ostre kryształki tną komórki na strzępy. Będzie się zataczał i bełkotał jak pijany, ale nie wyczuje się od niego alkoholu. Mdłości, wymioty, hiperwentylacja, zawał serca, śpiączka, niewydolność nerek. Kurtyna. Trwa dość krótko, pod warunkiem że nie podejmie się natychmiast leczenia.

– Zostawia ślady?

– Wszystko zostawia ślady. Musisz rozważyć korzyści. Bez trudu można go zdobyć, nawet w lecie. Płyn do czyszczenia dywanów też jest skuteczny, ale nie tak smaczny. Bardzo łatwo go podać i jest niezawodny w działaniu. Musimy tylko zadbać, żeby kiedy to się stanie, nic cię z tym nie łączyło.

– Mnie? A co z tobą?

– O mnie się nie martw. Ja będę poza wszelkim podejrzeniem.

Matka nie to miała na myśli, lecz pomija to milczeniem.

Sześć

Trudy i ja znów się upijamy i czujemy się lepiej; Claude, który zaczął później i ma większą masę ciała, musi sporo nadrobić. Ja i ona pijemy dwa kieliszki sancerre, on resztę, po czym zagląda ponownie do swojej plastikowej torby i wyciąga burgunda. Szara plastikowa butelka z glikolem stoi obok pustej jak niemy świadek naszych hulanek. Albo memento mori. Po cierpkim białym pinot noir jest niczym kojąca dłoń matki. Och, żyć w czasach, gdy istnieją takie szczepy! Zakwitający bukiet spokoju i rozumu. Nikt nie ma ochoty przeczytać na głos, co jest na etykiecie, więc muszę zgadywać – moim zdaniem to Échézeaux Grand Cru. Gdybym pod przystawionym do głowy penisem Claude'a lub, co mniej stresujące, lufą pistoletu miał wymienić winnicę, optowałbym za la Romanée-Conti, choćby z powodu korzennego zapachu cassis i czeremchy. Fiolet i delikatne taniny sugerują leniwe, łagodne lato 2005, niezakłócane przez fale upałów, choć intensywny, dobiegający z sąsiedztwa aromat mokki, a także nieco bliższy, poczerniałych bananów, wskazywałby na winnicę Jean Grivot, rocznik 2009. Ale nigdy się tego nie dowiem. Kiedy przenika mnie stworzona u szczytu cywilizacji melancholijna kompozycja smaków, zdaję sobie sprawę, że w środku horroru wpadam w refleksyjny nastrój.

Zaczynam podejrzewać, że moja bezradność nie jest przejściowa. Zagwarantujcie mi wszystkie możliwości działania, jakie posiada człowiek, przywołajcie na powrót moje panterze wcielenie o rzeźbionych mięśniach i długim lodowatym spojrzeniu, pozwólcie mu rozwiązać problem w najbardziej ekstremalny sposób – zabić stryja, by ocalić ojca. Dajcie mu do ręki broń, klucz do kół, mrożony jagnięcy udziec, ustawcie za krzesłem stryja, gdzie będzie mógł zobaczyć glikol i wpaść w gniew. Zapytajcie sami siebie, czy on – czy ja – będzie w stanie to zrobić, roztrzaskać ten owłosiony kościsty czerep i zachlapać jego szarą zawartością brudny stół? A potem zamordować matkę jako jedynego świadka i pozbyć się dwóch ciał w piwnicznej kuchni, co udaje się tylko w snach? Później zaś wysprzątać tę kuchnię – kolejne niewykonalne zadanie? Dorzućcie do tego perspektywę więzienia, doprowadzającej do szaleństwa nudy i piekła innych ludzi – w dodatku niezbyt dobrych ludzi. Silniejszy od ciebie współlokator celi przez trzydzieści lat, dzień w dzień, chce oglądać telewizję śniadaniową. Czy masz odwagę mu się sprzeciwić? A potem patrzeć, jak wypełnia kamieniami zżółkłą poszewkę poduszki i zwraca powoli wzrok ku twojemu własnemu kościstemu czerepowi.

Albo wyobraźcie sobie najgorszą ewentualność, czyn został dokonany: krystaliczna trucizna rozerwała ostatnie komórki nerek ojca. Wyrzygał na kolana płuca i serce. Agonia, potem śpiączka, potem śmierć. Co z zemstą? Mój awatar wzrusza ramionami i sięga po płaszcz, mamrocząc w drodze do wyjścia, że we

współczesnym polis nie ma miejsca na honorowe zabójstwo. Zresztą niech mówi sam.

– Samodzielne wymierzanie sprawiedliwości to przeżytek, tak załatwiają spory starzy Albańczycy i pewne odłamy plemiennego islamu. Zemsta umarła. Hobbes miał rację, mój młody przyjacielu. Państwo musi mieć monopol na przemoc, powszechną władzę, która trzyma nas wszystkich w ryzach.

– W takim razie, mój miły awatarze, zadzwoń zaraz do Lewiatana, zawiadom policję, niech zarządzą śledztwo.

– Dokładnie w jakiej sprawie? Czarnego humoru Claude'a i Trudy?

Konstabl: „A ten glikol na stole, proszę pani?".

„Zaproponował go hydraulik, panie władzo, żeby nie zamarzły nam w zimie nasze przedpotopowe kaloryfery".

– Wobec tego, moje przyszłe optymalne wcielenie, pędź do Shoreditch, ostrzeż mojego ojca, powiedz mu wszystko, co wiesz.

– Że kobieta, którą kocha i szanuje, ma zamiar go zamordować? Jak wszedłem w posiadanie takiej informacji? Czy brałem udział w intymnej rozmowie, czy ukryłem się pod łóżkiem?

I to z ust idealnej, dysponującej wszelkimi możliwościami działania kompetentnej istoty. Jakie zatem są moje szanse, ślepego, niemego, odwróconego nogami do góry prawie dziecka, wciąż mieszkającego w matczynym domu, połączonego więzami tętniczej i żylnej krwi z przyszłą morderczynią?

Ale cicho sza! Spiskowcy rozmawiają.

– To nawet dobrze – mówi Claude – że chce się wprowadzić z powrotem. Udaj, że się na to nie godzisz, a potem pozwól mu przyjść.

– Och, tak – odpowiada Trudy chłodno i z kpiną. – I na powitanie poczęstuj słodkim koktajlem.

– Tego nie powiedziałem. Ale.

Ale moim zdaniem miał to na końcu języka.

Przez chwilę się namyślają. Matka sięga po kieliszek. Gdy pije, jej nagłośnia z kląskaniem podnosi się i opada, a wino płynie naturalnymi przewodami w dół, mijając – jak tyle innych rzeczy – okolice moich stóp i skręcając do środka, zmierzając w moją stronę. I jak tu jej nie lubić?

– Nie możemy pozwolić, by umarł tutaj – zauważa, odstawiając wino.

Tak łatwo mówi o jego śmierci.

– Masz rację. Lepiej to zrobić w Shoreditch. Mogłabyś go odwiedzić.

– I zabrać ze sobą butelkę glikolu z najlepszego rocznika, żeby powspominać stare czasy!

– Urządzisz mu piknik. Przyniesiesz wędzonego łososia, sałatkę coleslaw, czekoladowe paluszki. I… to co trzeba.

– Haaargh! – Naprawdę trudno precyzyjnie oddać ten wybuch sceptycyzmu

matki. – Rzuciłam go, wygnałam z domu, wzięłam sobie kochanka. I teraz urządzam mu piknik!

Nawet ja rozumiem żachnięcie się mego stryja, gdy słyszy „wzięłam sobie kochanka" – jakby był jednym z nienazwanych wielu, wielu, którzy się jeszcze pojawią. No i to „wzięłam", to „sobie". Biedaczek. Przecież chciał tylko pomóc. Siedzi w dusznej kuchni naprzeciwko pięknej młodej kobiety ze złotymi warkoczykami, w górze od bikini i króciutkich szortach, i widzi dojrzały wspaniały owoc, nagrodę, której nie może stracić.

– Nie – mówi bardzo ostrożnie. Afront, którego przed chwilą doznał, sprawia, że jego głos staje się bardziej piskliwy. – To ręka podana na zgodę. Próbujesz mu to wynagrodzić. Prosisz, żeby wrócił. Żebyście się pogodzili. Coś w rodzaju zawieszenia broni, okazji, którą trzeba uczcić, rozłożyć obrus. Radować się!

Zyskał tyle, że Trudy milczy. Zastanawia się. Podobnie jak ja. To samo stare pytanie. Czy Claude jest naprawdę taki głupi?

– Można też pomyśleć o sałatce owocowej – dodaje zachęcony.

W jego miałkości jest szczypta poezji, rodzaj nihilizmu ożywiającego banał. Albo odwrotnie, zwyczajność osłabiająca wrażenie łajdactwa. Tylko on sam może to przebić i robi to po trwającym pięć sekund namyśle.

– Lody są wykluczone.

Zdrowy rozsądek. Warto o tym wspomnieć. Kto by próbował albo kto zdołałby zrobić lody z płynu do chłodnic?

Trudy wzdycha.

– Pamiętaj, Claude, że go kiedyś kochałam – mówi szeptem.

Czy on widzi ją tak, jak ja ją sobie wyobrażam? Zielone oczy znów się zaszkliły i po raz kolejny wczesna łza sunie gładko po kości policzkowej. Jej skóra jest wilgotnie różowa, cienkie włosy wyzwoliły się z warkoczyków i podświetlone od tyłu lampą wyglądają jak żarniki żarówki.

– Byliśmy zbyt młodzi, kiedy się poznaliśmy. To znaczy zbyt wcześnie się poznaliśmy. Na boisku lekkoatletycznym. Rzucał oszczepem w barwach swojego klubu i pobił jakiś lokalny rekord. Kiedy patrzyłam, jak biegnie z tą dzidą, zmiękły mi kolana. Był niczym grecki bóg. Tydzień później zabrał mnie do Dubrownika. Nie mieliśmy nawet balkonu. Podobno to piękne miasto.

Słyszę niespokojne skrzypienie kuchennego krzesła. Claude wyobraża sobie piętrzące się przed drzwiami hotelowego pokoju tace, skotłowaną pościel w sypialni, prawie nagą dziewiętnastolatkę przy malowanej toaletce ze sklejki, jej idealną linię pleców, sprany hotelowy ręcznik na kolanach – pożegnalny ukłon w stronę przyzwoitości. Zazdrość wykreśla Johna Cairncrossa z obrazu, ale jest tam, wielki i też nagi.

Nie zważając na milczenie kochanka, Trudy kontynuuje coraz cieńszym

głosem, aż w końcu zaciska się jej gardło.

– Przez te wszystkie lata staraliśmy się o dziecko. I kiedy już, kiedy już…

Kiedy już! Nic niewarta okolicznikowa błyskotka! Gdy zmęczył ją mój ojciec i jego poezja, zdążyłem się zbyt dobrze zadomowić, by można było mnie eksmitować. Opłakuje teraz Johna, podobnie jak opłakiwała kota Hectora. Być może jest z natury niezdolna do drugiego zabójstwa.

– Ehem – odzywa się w końcu Claude, by zaoferować jej okruchy swoich myśli. – Nie czas płakać nad rozlanym mlekiem i tak dalej.

Mleko. Coś, co budzi odrazę w karmionym krwią nienarodzonym, zwłaszcza po winie, lecz, niestety, jest moją przyszłością.

Claude czeka cierpliwie, by przedstawić swój pomysł pikniku. Niezbyt miło słuchać, jak opłakiwany jest jego rywal. A może pomaga mu to się skoncentrować. Bębni cicho palcami po stole, co jest jednym z jego nawyków. Stojąc, pobrzękuje kluczami w kieszeni spodni albo bezproduktywnie chrząka. Te puste, zupełnie nieświadome gesty są złowrogie. Claude cuchnie siarką. Ale w tym momencie jesteśmy jak jeden mąż, bo ja również, w stanie chorej fascynacji, pragnę poznać jego plan, podobnie jak ktoś mógłby chcieć poznać zakończenie sztuki. Claude nie może go raczej przedstawić, kiedy ona płacze.

Minutę później Trudy wydmuchuje nos.

– Tak czy owak, dziś go nienawidzę – mówi chrapliwym głosem.

– Tak bardzo cię unieszczęśliwił.

Ona kiwa głową i ponownie wydmuchuje nos. Słuchamy teraz Claude'a, który prezentuje swoją ustną broszurę. Robi to niczym domokrążny ewangelista, pomagający jej kroczyć ku lepszemu życiu. Kluczowe jest to, mówi nam, żebyśmy – moja matka i ja – złożyli w Shoreditch przynajmniej jedną wizytę przed tą ostatnią, feralną. Nie uda się ukryć przed ekipą dochodzeniową, że Trudy tam była. Przydałoby się zasugerować, że ona i John znów nawiązali przyjazne stosunki.

To musi wyglądać na samobójstwo, mówi. Jakby Cairncross zrobił sobie koktajl, by poprawić smak trucizny. Dlatego po swojej ostatniej wizycie Trudy zostawi oryginalne puste butelki po glikolu i kupionym w sklepie smoothie. Nie może być na nich jej odcisków palców. Pokryje opuszki woskiem. On, Claude, ma odpowiedni preparat. Również cholernie dobry. Przed wyjściem z mieszkania Johna ma schować do lodówki pozostałości po pikniku. Na żadnych pojemnikach i opakowaniach też nie powinno być jej odcisków. Wszystko ma wskazywać, że jadł sam. Jako jego główna spadkobierczyni będzie podejrzewana i dokładnie sprawdzona. A zatem wszelkie ślady Claude'a, zwłaszcza w sypialni i łazience, muszą zostać zlikwidowane, wyplenione do ostatniego włosa i kawałka naskórka. A także, wyczuwam, jak myśli ona, do ostatniego niewierzgającego już ogonka i nieruchomej główki ostatniego plemnika. To może zabrać trochę czasu.

Claude mówi dalej. Nie da się ukryć, że do niego dzwoniła. Firma

telefoniczna ma te połączenia w swoim wykazie.

– Ale pamiętaj. Jestem tylko twoim znajomym.

Wypowiedzenie tych ostatnich czterech słów sporo go kosztuje, zwłaszcza gdy matka powtarza je niczym zdanie z katechizmu. Słowa, z czego zaczynam zdawać sobie sprawę, mogą powodować, że coś staje się prawdą.

– Jesteś tylko moim znajomym.

– Tak. Do którego dzwoniłaś od czasu do czasu. Żeby pogadać. Szwagier. Pomagający ci się oderwać. Nic więcej.

Jego relacja jest w szczególny sposób neutralna, jakby codziennie mordował braci i mężów, zarabiając w ten sposób na życie – uczciwy rzeźnik z głównej ulicy, którego zakrwawiony fartuch spotyka się w praniu z prześcieradłami i ręcznikami.

– Ale posłuchaj… – zaczyna Trudy, lecz Claude przerywa jej, bo coś sobie nagle przypomniał.

– Widziałaś? Dom przy naszej ulicy, po tej samej stronie, tej samej wielkości, w tym samym stanie… Poszedł za osiem milionów!

Matka przyjmuje to w milczeniu. Zwłaszcza „naszą ulicę".

I o to chodzi. Zarobiliśmy kolejny milion, nie zabijając mojego ojca wcześniej. Jakie to prawdziwe: dopomogliśmy własnemu szczęściu. Ale. (Jak powiedziałby Claude). Nadal niewiele wiem o samym morderstwie. Mimo to jego plan kojarzy się bardziej z piekarzem niż z rzeźnikiem. Jest niedopieczony. Brak odcisków palców na butelce glikolu będzie podejrzany. Kiedy mój ojciec gorzej się poczuje, co powstrzyma go przed wezwaniem pogotowia? Zrobią mu płukanie żołądka. Nic mu nie będzie. I co potem?

– Nie obchodzą mnie ceny domów – mówi Trudy. – To sprawa na później. Bardziej interesuje mnie coś innego. Co ty ryzykujesz, na co ty się narażasz, skoro chcesz się podzielić pieniędzmi? Jeśli coś się nie uda i pójdę na dno, gdzie będziesz ty, kiedy już usunę twoje ślady ze swojej sypialni?

Zaskakuje mnie jej bezpośredniość. A potem doświadczam może niekoniecznie radości, ale jej zapowiedzi, chłodu, który czuję w kiszkach. Złoczyńcy się pokłócą, bezużyteczna już intryga legnie w gruzach, mój ojciec przeżyje.

– Będę z tobą na każdym etapie, Trudy.

– Będziesz siedział bezpiecznie w domu. Z żelaznym alibi. Będziesz mógł się wszystkiego wyprzeć.

Przemyślała to sobie wcześniej. Bez mojej wiedzy. Co za tygrysica.

– Rzecz w tym… – zaczyna Claude.

– Chcę, żebyś był w to zaangażowany – mówi matka z gwałtownością, od której twardnieją otaczające mnie ściany. – I mam na myśli totalne zaangażowanie. Jeśli ja pójdę na dno, ty też. Jeśli ja…

Nagle rozlega się dzwonek do drzwi, raz, drugi, trzeci, i zastygamy

w bezruchu. Z tego, co pamiętam, nikt nas jeszcze tak późno nie odwiedził. Plan Claude'a jest tak beznadziejny, że spalił na panewce już teraz, bo pojawiła się policja. Nikt inny nie dzwoni z taką zaciekłą natarczywością. Kuchnia od dawna była na podsłuchu i wszystko usłyszeli. Trudy ma, czego chciała: wszyscy pójdziemy na dno. „Niemowlęta za kratami" – tak nazywała się długaśna audycja, której wysłuchałem pewnego popołudnia. W Stanach pozwolono skazanym za morderstwa karmiącym matkom odbywać karę razem z dziećmi. Było to przedstawione jako świadectwo postępu. Pamiętam jednak, że pomyślałem sobie: przecież te dzieci nie zrobiły nic złego. Uwolnijcie je! Cóż. Takie rzeczy dzieją się tylko w Ameryce.

– Ja otworzę.

Claude wstaje i podchodzi do wiszącego na ścianie w kuchni wideofonu. Spogląda na ekran.

– To twój mąż – mówi tępo.

– Jezu. – Matka zaczyna się zastanawiać. – Nie ma sensu udawać, że mnie tu nie ma. Lepiej się gdzieś schowaj. Może w pralni. On nigdy…

– Ktoś z nim jest. Kobieta. Młoda. Powiedziałbym, że raczej ładna.

Zapada milczenie. Dzwonek brzęczy ponownie. Dłużej.

Głos mojej matki jest stanowczy, choć słychać w nim napięcie.

– W takim razie idź i wpuść ich do środka. Ale Claude, kochanie. Bądź tak miły i odstaw gdzieś tę butelkę z glikolem.

Siedem

Pewni artyści pióra albo pędzla, podobnie jak mające się dopiero narodzić dzieci, kwitną w ograniczonej przestrzeni. Ich wąska specjalizacja może wielu wprawić w zmieszanie bądź rozczarować. Obyczaje miłosne osiemnastowiecznego ziemiaństwa, życie pod żaglami, gadające króliki, rzeźbione zające, tędzy ludzie w malarstwie olejnym, portrety psów, portrety koni, portrety arystokratów, akty półleżących kobiet, liczone w milionach narodzenia Chrystusa oraz jego ukrzyżowania i wniebowstąpienia, misy z owocami, kwiaty w wazonach. A także holenderski chleb i ser z leżącym obok nożem albo bez noża. Niektórzy oddają się w prozie wyłącznie sobie samym. W nauce również ktoś potrafi poświęcić całe życie ślimakowi albańskiemu, ktoś inny jakiemuś wirusowi. Darwin przez osiem lat badał pąkle. A w późniejszym, mądrzejszym, wieku dżdżownice. Tysiące starały się przez całe życie odkryć bozon Higgsa, małą rzecz, a może w ogóle nie rzecz. Być zamkniętym w skorupce orzecha, widzieć świat w pięciu centymetrach kości słoniowej, w ziarnku piasku. Czemu nie, skoro cała literatura, cała sztuka, cała ludzka działalność jest tylko drobinką we wszechświecie różnych możliwości. I nawet ów wszechświat to drobinka w wielości rzeczywistych i możliwych wszechświatów.

Dlaczegóż więc nie zostać poetką piszącą o sowach?

Poznaję ich po krokach. Schodami idzie do kuchni najpierw Claude, potem mój ojciec, a za nim jego przyjaciółka, z którą niedawno podpisał umowę, na wysokich obcasach, prawdopodobnie w botkach, niezbyt odpowiednich do przedzierania się przez leśne ostępy. Ponieważ kojarzy się z nocą, ubieram ją w mocno dopasowaną czarną skórzaną kurtkę i dżinsy; niech będzie młoda, blada, ładna, pewna siebie. Moje łożysko niczym rozgałęziona antena radiowa odbiera sygnały świadczące o tym, że matka natychmiast zaczyna jej nienawidzić. Tętno Trudy zakłócają nierozsądne myśli; nowy, złowrogi rytm bębnów, dobiegający jakby z odległej wioski w środku dżungli, mówi o zaborczości, gniewie, zazdrości. Mogą nas czekać kłopoty.

Ze względu na ojca czuję się zobligowany bronić naszego gościa: tematyka jej wierszy nie jest aż tak bardzo ograniczona – sowy są większe od bozonów i pąkli, jest ich dwieście gatunków, często występują w folklorze. Na ogół jako zły omen. W przeciwieństwie do Trudy z jej instynktowną, osadzoną w trzewiach pewnością, ja mam pewne wątpliwości. Być może ojciec, który nie jest, jak się okazuje, ani ofermą, ani świętym, przyszedł, by przedstawić swoją kochankę, pokazać matce, gdzie jej miejsce (w jego przeszłości), i zademonstrować, jak mało go obchodzi niegodziwość brata. Albo jest jeszcze większą, niż myślałem, ofermą, jeszcze większym świętym, i wpadł niewinnie z jedną ze swoich autorek, w nadziei że zapewni mu rodzaj towarzyskiego immunitetu, dzięki któremu nacieszy się

obecnością Trudy tak długo, jak ona będzie go tolerować. Lub też chodzi o coś zupełnie innego, zbyt mrocznego, by to odgadnąć. Prościej będzie, przynajmniej na razie, pójść w ślady matki i przyjąć, że przyjaciółka ojca jest zarazem jego kochanką.

Żadne dziecko, a tym bardziej płód, nie opanowało sztuki luźnej pogawędki i nigdy nie miało takich ambicji. To wynalazek dorosłych, sojusznik nudy i oszustwa. W tym wypadku głównie tego drugiego. Słychać niepewne szuranie krzeseł, propozycję napicia się wina, odgłos wyciąganego korka. Uwagę Claude'a na temat upałów ojciec kwituje neutralnym akceptującym pomrukiem. Krótka wymiana słów między braćmi ma podbudować kłamstwo, że nasi goście przechodzili tędy przypadkowo. Trudy milczy, nawet kiedy poetka zostaje przedstawiona jako Elodie. Nikt nie komentuje eleganckiej towarzyskiej geometrii małżonków siedzących razem ze swymi kochankami przy stole i unoszących w toaście kieliszki, *tableau vivant* pokręconej współczesności.

Ojciec nie wydaje się wcale wytrącony z równowagi tym, że zastał w kuchni brata, otwierającego wino i grającego rolę gospodarza. A zatem John Cairncross nigdy nie był frajerem, nieświadomym niczego rogaczem. Mój niedoceniany ojciec sączy obojętnie wino i pyta Trudy, jak się czuje. Ma nadzieję, że nie jest zbyt zmęczona. Co może być albo i nie łagodnym prztyczkiem, seksualną aluzją. Zniknął gdzieś jego płaczliwy ton. Zamiast niego pojawiły się dystans i ironia. Wyzwolić go mogło tylko zaspokojone pożądanie. Trudy i Claude muszą się zastanawiać, po co się tu zjawiła i czego chce ich przyszła ofiara, jednak nie wypada o to pytać.

Zamiast tego Claude zagaduje Elodie, czy mieszka gdzieś w pobliżu. Otóż nie. Mówi, że mieszka w Devon, w domku na farmie, przy rzece, przez co, być może, daje Trudy do zrozumienia, że tu, w Londynie, przenocuje w łóżku Johna w Shoreditch. Zgłasza roszczenie. Podoba mi się tembr jej głosu, ludzki odpowiednik, powiedziałbym, oboju, lekko trzeszczący, z kwaknięciem przy samogłoskach. A kończąc frazy, wydaje niski frykatywny dźwięk, któremu amerykańscy lingwiści nadali nazwę *vocal fry*. Coraz bardziej popularny na Zachodzie, będący przedmiotem wielu dyskusji w radiu, o nieznanej etiologii, mający, jak się zdaje, świadczyć o wyrafinowaniu i występujący głównie u młodych wykształconych kobiet. Miła zagadka. Z takim głosem może stawić czoło mojej matce.

Nic w zachowaniu mego ojca nie wskazuje, że dziś po południu brat wręczył mu pięć tysięcy gotówką. Żadnej wdzięczności, to samo stare braterskie lekceważenie. To musi wzbudzać w Claudzie zadawnioną nienawiść. A we mnie coś bardziej hipotetycznego, potencjalną urazę. Nawet obsadzając ojca w roli zakochanego głupca, zawsze zakładałem, że jeśli sytuacja z Claude'em stanie się nie do zniesienia i nie uda mi się pojednać rodziców, mogę przecież zamieszkać

u ojca, przynajmniej na jakiś czas. Dopóki nie stanę na nogi. Nie wydaje się jednak, by zaakceptowała mnie poetka – obcisłe czarne dżinsy i kurtka raczej nie kojarzą się z macierzyństwem. Blade piękno i przybrany kaczy głos nie są moimi sprzymierzeńcami. Być może jednak tych dwojga nic nie łączy i lubię ją.

– Domek? – zapytał przed chwilą Claude. – Na farmie? Jakie to urocze.

Elodie opisuje, ze swoją wyrafinowaną miejską dykcją, drewnianą chatę na brzegu pieniącej się wokół granitowych głazów mrocznej, rwącej rzeki, chwiejną kładkę prowadzącą na drugi brzeg, bukowy zagajnik i brzezinę, i jasną polanę upstrzoną zawilcami, jaskółczym zielem, dzwoneczkami i wilczomleczem.

– Idealne otoczenie dla poety natury – mówi Claude. Jest to tak prawdziwe i oczywiste, że Elodie zaczyna się łamać. – Jak daleko to wszystko leży od Londynu? – nie daje za wygraną Claude.

Przez „wszystko" rozumie bezsensowną rzekę, głazy, drzewa i kwiaty. Stropiona Elodie traci swą frykatywną wymowę.

– Jakieś trzysta kilometrów.

Domyśliła się, że zapyta ją o najbliższą stację kolejową i jak długo trwa podróż, informacje, które i tak wylecą mu wkrótce z głowy. Ale on chce je poznać, ona odpowiada i słuchamy tego we trójkę, niezaskoczeni i w najmniejszym stopniu nieznudzeni. Wszyscy, każde z innego punktu widzenia, zastanawiamy się nad tym, co nie zostało powiedziane. Kochankowie, jeśli Elodie jest kochanką, dwie zewnętrzne wobec tego małżeństwa strony, są podwójnym ładunkiem, który wysadzi ten dom w powietrze. I pośle mnie w górę, do piekła, na moje trzynaste piętro.

Przychodząc w sukurs poetce, John Cairncross oznajmia łagodnym tonem, że wino jest przednie, co ma skłonić Claude'a do ponownego napełnienia kieliszków. Kiedy do tego dochodzi, spowija nas cisza. Wyobrażam sobie napiętą fortepianową strunę czekającą na uderzenie obciągniętego filcem młoteczka. Trudy ma zamiar się odezwać. Zanim jeszcze padnie pierwsze słowo, poznaję to po synkopowym rytmie jej tętna.

– Te sowy... Są prawdziwe czy raczej coś symbolizują?

– O nie – spieszy z wyjaśnieniem Elodie. – Są prawdziwe. Piszę z życia. Ale czytelnik, rozumiesz, zapożycza symbole i skojarzenia. Nie mogę temu zapobiec. Tak działa poezja.

– Sowy zawsze wydawały mi się mądre – mówi Claude.

Poetka zwleka chwilę, starając się wyczuć sarkazm.

– Właśnie na tym to polega – odpowiada, dostosowując się do jego tonu. – Nie mogę na to nic poradzić.

– Sowy są złośliwe – mówi Trudy.

Elodie: „Podobnie jak drozdy. Jak cała natura".

Trudy: „I chyba niejadalne".

Elodie: „A sowa znosząca jaja jest trująca”.

Trudy: „Tak, taka sowa może cię zabić”.

Elodie: „Nie sądzę. Najwyżej możesz się pochorować”.

Trudy: „Miałam na myśli, kiedy wbije ci szpony w twarz”.

Elodie: „To się nigdy nie zdarza. Jest zbyt płochliwa”.

Trudy: „Chyba że ktoś ją sprowokuje”.

Ich dialog jest swobodny, prowadzony lekkim tonem. To luźna pogawędka czy wymiana gróźb i obelg? Brakuje mi towarzyskiej ogłady, by się zorientować. Jeśli jestem pijany, to samo można powiedzieć o Trudy, ale nic w jej zachowaniu tego nie sugeruje. Nienawiść do Elodie, postrzeganej teraz jako rywalka, może być eliksirem trzeźwości.

John Cairncross najwyraźniej chętnie przekazuje żonę Claude’owi Cairncrossowi. To wzburza moją matkę, która uważa, że decyzje o porzucaniu i przekazywaniu kogokolwiek należą wyłącznie do niej. Może odebrać mojemu ojcu Elodie. Może mu nawet odebrać życie. Niewykluczone jednak, że się mylę. Ojciec recytujący w bibliotece, cieszący się każdą chwilą spędzoną w jej obecności, pozwalający się wypchnąć na ulicę. („No, idź już!”). Nie potrafię ocenić sytuacji. Nic tu nie pasuje.

Nie ma jednak czasu na zastanowienie. John Cairncross wstaje z krzesła, w ogóle się nie chwiejąc, góruje nad nami, z winem w dłoni, i szykuje się do wygłoszenia mowy. Cicho, wszyscy.

– Trudy, Claude, Elodie, będę mówił krótko albo długo. Kto by się tym przejmował? Chcę powiedzieć, co następuje. Kiedy umiera miłość i małżeństwo wali się w gruzy, pierwszą ofiarą pada uczciwa pamięć, szczery i bezstronny obraz przeszłości. Jest zbyt niestosowny, w zbyt niekorzystnym świetle stawia teraźniejszość. To upiór dawnego szczęścia na uczcie klęski i rozpaczy. Przeciwstawiając się wichrom zapomnienia, chcę więc zapalić świeczkę prawdzie i zobaczyć, jak daleko pada jej światło. Przed niespełna dziesięciu laty, na dalmatyńskim wybrzeżu, w tanim hoteliku bez widoku na Adriatyk, w pokoju osiem razy mniejszym od tej kuchni, w szerokim zaledwie na metr łóżku, Trudy i ja rzuciliśmy się w otchłań miłości, ekstazy i zaufania, szczęścia i spokoju. Bez horyzontu, bez czasu, poza słowami. Odwróciliśmy się plecami do świata, by wymyślić i zbudować swój własny. Ekscytowaliśmy się udawaną przemocą, ale też rozpieszczaliśmy się i hołubiliśmy nawzajem, nadawaliśmy sobie imiona, stworzyliśmy prywatny język. Nie wiedzieliśmy, co to wstyd. Dawaliśmy i braliśmy, i pozwalaliśmy sobie na wszystko. Byliśmy heroiczni. Wierzyliśmy, że stoimy na szczycie, na który nikt inny w życiu i w całej poezji nigdy się nie wdrapał. Nasza miłość była tak piękna i wspaniała, że wydawała się nam uniwersalną zasadą. To był system etyczny, sposób odnoszenia się do innych tak fundamentalny, że świat jakoś go przegapił. Leżąc twarzą w twarz na tym wąskim

łóżku, spoglądając sobie głęboko w oczy i rozmawiając, powoływaliśmy się wzajemnie do życia. Ona brała moje ręce i je całowała, a ja po raz pierwszy w życiu się ich nie wstydziłem. Nasze rodziny, które szczegółowo sobie opisaliśmy, wreszcie nabrały dla nas sensu. Pokochaliśmy je nagłą miłością, mimo wszystkich problemów z przeszłości. To samo dotyczyło naszych najlepszych, najważniejszych przyjaciół. Mogliśmy ich wszystkich odzyskać. Nasze kochanie się było kontynuacją rozmowy, rozmowa kontynuacją kochania się… Kiedy ten tydzień się skończył i wróciliśmy, i zamieszkaliśmy tu razem w moim domu, miłość trwała dalej, miesiące, a potem lata. Wydawało się, że nic nie może nam nigdy stanąć na drodze. Zatem nim przejdę dalej, wznoszę toast za tę miłość. Niechaj nigdy nie zostanie podważona, zapomniana, zniekształcona albo odrzucona jako złudzenie. Za naszą miłość. Zdarzyła się nam. Była prawdziwa.

Słyszę szuranie krzeseł i niechętny pomruk zgody, a bliżej, jak moja matka przełyka z trudem ślinę, zanim uda, że spełnia toast. Nie spodobało jej się chyba zdanie o „moim domu".

– A teraz – podejmuje ojciec, ściszając głos, jakby wszedł do domu pogrzebowego – ta miłość dobiegła końca. Nigdy nie zmieniła się w zwykłą rutynę albo zabezpieczenie przed starością. Zmarła szybko, tragicznie, tak jak musi się dziać z miłością na wielką skalę. Kurtyna opadła. Jest już po wszystkim i cieszę się. Trudy też się cieszy. Wszyscy, którzy nas znają, cieszą się i odczuwają ulgę. Ufaliśmy sobie, teraz już nie ufamy. Kochaliśmy się, teraz nie znoszę jej tak samo, jak ona nie znosi mnie. Trudy, kochanie, ledwie mogę na ciebie patrzeć. Bywały chwile, kiedy potrafiłbym cię zadusić. Śniło mi się, i były to przyjemne sny, że zaciskam kciuki na twojej tętnicy szyjnej. Wiem, że żywisz podobne uczucia do mnie. Ale to nie powód, żeby narzekać. Zamiast tego cieszmy się. To tylko złe emocje, których powinniśmy się pozbyć, by narodzić się na nowo, odnaleźć nowe życie i nową miłość. Elodie i ja znaleźliśmy taką miłość i zwiąże nas ona do końca życia.

– Zaczekaj – mówi Elodie. Obawia się chyba skłonności ojca do niedyskrecji.

Lecz on nie pozwala sobie przerwać.

– Trudy i Claude, raduje mnie wasze szczęście. Zeszliście się w idealnym momencie. Nikt nie zaprzeczy, że naprawdę na siebie zasługujecie.

To klątwa, choć ojciec wydaje się w nieprzenikniony sposób szczery. Związek z mężczyzną tak nieciekawym, lecz zarazem seksualnie nienasyconym jak Claude to ciężki los. Jego brat wie o tym. Ale cicho sza. Nie skończył jeszcze mówić.

– Trzeba będzie załatwić szereg spraw. Czekają nas kłótnie i stresy. Generalnie jednak rzecz jest prosta i z tego względu powinniśmy się cieszyć. Ty, Claude, masz duży przyjemny dom w Primrose Hill i ty, Trudy, możesz się tam

wprowadzić. Jutro przywiozę tutaj z powrotem trochę moich rzeczy. Kiedy tylko się stąd wyniesiesz i skończy pracę ekipa remontowa, Elodie zamieszka tu wraz ze mną. Proponuję, byśmy nie widywali się przez rok lub coś koło tego, a potem się zastanowili. Rozwód nie powinien być skomplikowany. Najważniejsze, żebyśmy przez cały czas zachowywali się racjonalnie i kulturalnie i pamiętali, jakie to szczęście, że znów znaleźliśmy w życiu miłość. Prawda? No dobrze. Nie, nie, nie wstawajcie. Sami znajdziemy drogę do wyjścia. Jeśli cię tu zastanę, Trudy, zobaczymy się jutro koło dziesiątej. Wpadnę tylko na chwilę… zaraz potem muszę jechać do St Albans. A nawiasem mówiąc, znalazłem swój klucz.

Słychać szuranie krzesła, z którego podnosi się Elodie.

– Zaczekaj. To znaczy… czy mogłabym teraz coś powiedzieć?

Ojciec jest przemiły i stanowczy.

– To w żadnym wypadku nie byłoby na miejscu.

– Ale…

– Daj spokój. Pora iść. Dzięki za wino.

Chwila na odchrząknięcie, a potem ich kroki w kuchni i na schodach.

Moja matka i jej kochanek siedzą w milczeniu, kiedy słuchamy, jak odchodzą. Słyszymy, jak frontowe drzwi na górze nieodwracalnie i ostatecznie się zamykają. Koniec kropka. Trudy i Claude osłupieli. Ja jestem w rozterce. Czym byłem w tyradzie mojego ojca? Trupem. Pogrzebanym głową do przodu w brzuchu jego znienawidzonej ekszony. Nawet najmniejszej wzmianki, choćby w przypisie zarezerwowanym dla czegoś mniej ważnego. Zanim mój zbawca mnie zobaczy, musi minąć rok „lub coś koło tego”. Oddał hołd uczciwej pamięci i zapomniał o mnie. Spiesząc ku własnym ponownym narodzinom, wypiął się na moje. Ojcowie i synowie. Usłyszałem to kiedyś i nigdy nie zapomnę. *Cóż ich łączy w przyrodzie? Chwila ślepej rui*5.

Pomyślcie tylko. Przeniósł się do Shoreditch, by móc się spotykać z Elodie. Wyprowadził się z domu przy Hamilton Terrace, by mógł się tam wprowadzić Claude i dać mu pretekst do zerwania z Trudy. Nerwowe wizyty, poezja, nawet zgubiony klucz były zmyłkami, które uśpiły czujność matki i zbliżyły ją do Claude’a.

Mój stryj nalewa ponownie wina. W tych okolicznościach to prawdziwa pociecha, kiedy z tępą precyzją sięga po swoją najbardziej pustą odzywkę.

– Nie do wiary.

Trudy milczy przez pół minuty. Kiedy się w końcu odzywa, plącze jej się trochę język, lecz widać, że jest zdeterminowana.

– Chcę, żeby zdechł. I to musi być jutro.

Osiem

Za tymi ciepłymi, żywymi ścianami mrożąca krew w żyłach historia zmierza ku swemu makabrycznemu zakończeniu. Letnia noc jest pochmurna i bezksiężycowa, nie wieje nawet najlżejszy wietrzyk. Ale w głosach mojej matki i stryja słychać śnieżną zamieć. Otwierana jest kolejna butelka, a potem, zbyt szybko, jeszcze jedna. Nurzam się głęboko w odmętach pijaństwa, padające z ich ust słowa zlewają się w bełkot, ale słyszę w nich zapowiedź swej zguby. Cienie postaci zmagają się na krwawym tle, tocząc beznadziejną walkę z przeznaczeniem. Głosy unoszą się i opadają. Kiedy przestają się oskarżać i spierać, zaczynają spiskować. To, co powiedzieli, wisi w powietrzu niczym pekiński smog.

To się źle skończy i dom też wyczuwa grożącą mu ruinę. W pełni lata lutowa wichura wykręca i łamie zwisające z rynien sople, szoruje pozbawione zaprawy cegły szczytowych ścian, zdziera dachówki z pochyłych dachów. Mróz wkrada się do środka przez zmurszały kit w niemytych oknach, przez syfon kuchennego zlewozmywaka. Trzęsę się z zimna. Ale na tym nie koniec, zło będzie trwało tak długo, aż złe zakończenie wyda się błogosławieństwem. Nic nie zostanie zapomniane, spuszczone z wodą w toalecie. Cuchnący brud zalega w niewidocznych kolankach, do których nie ma dostępu hydraulik, i w szafach z zimowymi paltami Trudy. Zbyt silny smród przyciąga nieśmiałe myszy za listwami podłogowymi i zmienia je w szczury. Słyszymy ich chrupanie i gniewne przekleństwa, ale nikt nie jest zaskoczony. Co jakiś czas matka i ja wychodzimy, by mogła przykucnąć, wysikać się obficie i pojęczeć. Jej pęcherz, który przylega do mojej czaszki, kurczy się wtedy i odczuwam ulgę. A potem wraca do stołu, by znowu knuć i złorzeczyć. Okazuje się, że klął mój stryj, nie szczury. Chrupała matka, gryząc solone orzeszki. Je bez ustanku, ze względu na mnie.

Tu w środku roję o tym, co mi przysługuje – bezpieczeństwo, ulotny spokój, żadnych zadań, żadnej zbrodni ani winy. Myślę o tym, czym powinienem się cieszyć w moim odosobnieniu. Nie dają mi spokoju dwa przeciwstawne spostrzeżenia. Słyszałem o nich w podcaście, którego matka nie wyłączyła, rozmawiając przez telefon. Leżeliśmy na kozetce w bibliotece ojca, za otwartymi oknami trwało kolejne duszne popołudnie. Nuda, oświadczył niejaki monsieur Barthes, nie jest czymś odległym od błogostanu; odczuwa się ją od strony przyjemności. Dokładnie tak. Taka jest sytuacja współczesnego płodu. Pomyślcie tylko: nic do roboty, tylko być i rosnąć, przy czym rośnięcie nie jest raczej świadomym działaniem. Radość czystej egzystencji, monotonia dni, które niczym nie różnią się od siebie. Przedłużony błogostan jest egzystencjalnego rodzaju nudą. Moje odosobnienie nie powinno być więzieniem. Tu w środku należy mi się przywilej i luksus samotności. Mówię jako ktoś niewinny, ale wyobrażam sobie orgazm wydłużony do nieskończoności – w sferze sublimacji czeka cię nuda.

Takie było moje dziedzictwo, dopóki matka nie zapragnęła śmierci ojca. Teraz znalazłem się w środku opowieści i martwię się, jaki będzie jej koniec. Gdzie tu nuda albo błogostan?

Mój stryj wstaje od kuchennego stołu i podchodzi do ściany, by zgasić światło i odkryć, że już świta. Gdyby był moim ojcem, mógłby wyrecytować pieśń poranną. Lecz teraz liczą się tylko sprawy praktyczne: czas iść do łóżka. Jaka to ulga, że są zbyt pijani na seks. Trudy wstaje, razem się zataczamy. Gdybym mógł przez chwilę zachować pozycję pionową, nie byłoby mi tak niedobrze. Jak bardzo tęsknię za przestronnym czasem, gdy fikałem w oceanie.

Postawiwszy stopę na pierwszym schodku, matka staje, by ocenić czekającą ją wspinaczkę. Jest stroma i długa, jak na księżyc. Czuję, że zaciska, ze względu na mnie, dłoń na balustradzie. Nadal ją kocham, chciałbym, żeby to wiedziała, ale jeśli upadnie do tyłu, zginę. Teraz przemieszczamy się przeważnie w górę. Claude jest przeważnie przed nami. Powinniśmy być złączeni liną. Ściskaj mocniej, matko! Wysiłek jest kolosalny i nikt się nie odzywa. Po wielu minutach, wielu westchnieniach i jękach docieramy na podest drugiego piętra, a końcówka, ostatnie cztery metry, choć po równym, też nie jest łatwa.

Matka siada na skraju łóżka, by zdjąć sandał, po czym, trzymając go w ręce, przewraca się na bok i zasypia. Claude potrząsa nią. Razem przeczesują łazienkę i wysuwają szuflady w poszukiwaniu dwugramowych dawek paracetamolu, który ma ich uchronić przed kacem.

– Jutro będzie pracowity dzień – zauważa Claude.

Ma na myśli dzisiaj. Ojciec zapowiedział się na dziesiątą, a już dochodzi szósta. W końcu wszyscy lądujemy w łóżku. Matka skarży się, że świat, jej świat, wiruje, kiedy zamknie oczy. Myślałem, że Claude zachowa bardziej stoicką postawę, że jest ulepiony, jak sam mógłby rzec, z twardszej gliny. Bynajmniej. Po kilku minutach biegnie do sąsiedniego pomieszczenia, by uklęknąć i objąć rękami sedes.

– Podnieś deskę! – krzyczy Trudy.

Chwila ciszy, a potem Claude rzyga, z trudem wymuszonymi strugami. Ależ on hałasuje. Długi urwany krzyk, jakby kibica piłki nożnej w trakcie skandowania dźgnięto w plecy.

O siódmej już śpią. Ja nie. Moje myśli wirują wraz ze światem matki. Dumam o odrzuceniu mnie przez ojca, o jego ewentualnym losie, mojej za to odpowiedzialności, moim własnym losie, mojej niemożności, by ostrzec i działać. I o tych, z którymi dzielę łoże. Czy są tak sponiewierani, że nie podejmą próby? Albo, co gorsza, wszystko spartolą, zostaną ujęci i wylądują za kratkami? Stąd widmo więzienia, które mnie ostatnio prześladuje. Boję się, że zacznę życie w celi, gdzie błogostan jest czymś nieznanym, a nuda wywalczonym przywilejem. A jeśli im się uda – wtedy czeka mnie dolina rzeki Swat. Nie widzę żadnego pomysłu,

żadnej drogi ku jakiemukolwiek możliwemu do wyobrażenia szczęściu. Wolałbym się nigdy nie urodzić.

* * *

Zaspałem. Budzi mnie krzyk i gwałtowne, arytmiczne hołubce. Moja matka w beczce śmierci. Ale nie. Lub nie w tej. Schodzi zbyt szybko po stopniach, jej nieostrożna dłoń prawie nie dotyka balustrady. Tak właśnie mogłoby się to skończyć, na obluzowanym pręcie schodowym albo zawiniętym wytartym skraju chodnika: upadek głową w dół i moja osobista melancholia ginie w wiecznym mroku. Mogę się tylko czepiać nadziei. Krzyczał mój stryj. Odzywa się ponownie.

– Wyszedłem po napój. Mamy dwadzieścia minut. Zrób kawę. Ja zajmę się resztą.

Jego luźne plany związane z Shoreditch wzięły w łeb, bo matka chce przyspieszenia. Jej John Cairncross nie okazał się aż takim głupcem. Zamierza ją stąd wykopsać, i to wkrótce. Trudy musi działać już dzisiaj. Nie ma czasu zapleść warkoczy. Ugościła kochankę męża – porzucona, nim sama zdążyła porzucić, jak to ujmują w popołudniowych programach ciotki dobre rady. (Nastolatki dzwonią tam z problemami, których nie rozstrzygnęliby Platon ani Kant). Gniew Trudy jest oceaniczny – rozległy i głęboki, to jej pożywka, to cała ona. Poznaję to po odmienionej krwi, która przeze mnie płynie, po nieprzyjemnym uczuciu ziarnistości tam, gdzie zgniatane są i miażdżone krwinki, łamane i kruszone płytki. Moje serce walczy z gniewną krwią matki.

Jesteśmy bezpieczni na parterze, pośród porannych rojów much, które brzęczą nad śmieciami w holu. Niezawiązane plastikowe torby są dla nich niczym szklane wieżowce z ogrodami na dachach. Lecą tam, by się nażreć i wyrzygać do woli. Ich rozdęte lenistwo przypomina społeczeństwo łagodnej rekreacji, wspólnego celu, wzajemnej tolerancji. Ta senna, nienapinająca się drużyna jest w zgodzie ze światem, uwielbia bogactwo życia w całym jego rozkładzie. Podczas gdy my jesteśmy gorszym sortem, bojaźliwym, stale z czegoś niezadowolonym. Przechodzą nas dreszcze, zasuwamy zbyt szybko.

Wędrująca dłoń Trudy łapie słupek balustrady i zakręcamy o sto osiemdziesiąt stopni. Po dziesięciu krokach jesteśmy u szczytu kuchennych schodów. Żadna poręcz nie poprowadzi nas stąd na dół. Słyszałem, że odpadła od ściany w tumanie pyłu i końskiego włosia jeszcze przed moim czasem, jeśli teraz jest mój czas. Zostały tylko nieregularne dziury. Stopnie są z nieheblowanego sosnowego drewna, ze śliskimi i brudnymi słojami, palimpsestami i zapomnianymi plamami, wdeptanymi włóknami mięsa i stopionym masłem kapiącym z grzanek, które ojciec nosił do biblioteki bez talerza. Matka znów się spieszy i to może być ten moment, ta chwila, gdy zlecimy na łeb, na szyję. Ta myśl nie zdąży nawet wzbudzić we mnie lęku, gdy wyczuwam nagłe poślizgnięcie się jej stopy do tyłu

i szarpnięcie w przód, pragnienie wzbicia się w powietrze, skontrowane natychmiast przez paniczne napięcie mięśni w dolnej części pleców. Za ramieniem słyszę skrzypienie ścięgien, które rozciągają się i zatrzymują na zaczepach w kości.

– Moje plecy – jęczy matka. – Moje pierdolone plecy.

Ale warto było znieść ten ból, bo odzyskała równowagę i pokonała ostrożnie pozostałe stopnie. Claude, zajęty przy kuchennym zlewie, przerywa na chwilę, by wydać współczujący pomruk, i wraca do swoich zadań. Nie ma czasu do stracenia, mógłby rzec.

Matka staje obok niego.

– Moja głowa – szepcze.

– Mnie też boli – odpowiada Claude i pokazuje jej, co kupił. – To chyba jego ulubiony. Banany, ananas, jabłko, mięta i zarodki pszenicy.

– Tropical Dawn?

– Tak jest. A to nasza niespodzianka. Dość, by powalić dziesięciu wołów.

– Dziesięć wołów.

Claude nalewa dwa płyny do blendera i włącza go.

– Wsadź to do lodówki – mówi Trudy, kiedy cichnie hałas. – Ja zrobię kawę. Schowaj te tekturowe kubki. Nie dotykaj ich bez rękawiczek.

Stajemy przy ekspresie do kawy. Matka znajduje filtr, sypie ziarna, nalewa wody. Dobrze sobie radzi.

– Umyj kilka kubków! – woła. – I rozstaw je. Przygotuj rzeczy do samochodu. Rękawiczki Johna są w przybudówce. Trzeba je otrzepać z kurzu. I gdzieś tu jest plastikowa torba.

– Dobrze, dobrze.

Claude, który wstał z łóżka o wiele wcześniej od niej, wydaje się rozdrażniony, gdy matka przejmuje kontrolę. Staram się zrozumieć, o czym mówią.

– Moja robótka i wyciąg z konta są na stole.

– Wiem.

– Nie zapomnij o paragonie.

– Nie zapomnę.

– Zgnieć go trochę.

– Zrobiłem to.

– W swoich rękawiczkach. Nie w jego.

– Tak!

– Na Judd Street byłeś w kapeluszu?

– Oczywiście.

– Połóż go tam, gdzie John go zobaczy.

– Zrobiłem to!

Ale staje przy zlewie, szoruje zaskorupiałe kubki, wykonuje polecenia. Trudy nie zwraca uwagi na jego ton.

– Powinniśmy tu posprzątać – dodaje.

Claude chrząka. Beznadziejny pomysł. Dobra żonka Trudy chce przywitać męża w czystej kuchni.

Ale przecież nic z tego nie może się udać. Elodie wie, że spodziewają się mojego ojca. Wie o tym chyba z pół tuzina ich znajomych. Cały Londyn, od północy po wschód, wskaże na nich palcem nad zwłokami ofiary. Mamy do czynienia z przypadkiem paranoi indukowanej. Czy moja matka, która nigdy nigdzie nie pracowała, poradzi sobie w roli morderczyni? To trudna profesja, nie tylko na etapie planowania i wykonania, ale i później, gdy zacznie się na serio jej kariera. Nawet niezależnie od etyki – chcę jej powiedzieć – weź pod uwagę niedogodności: więzienie lub poczucie winy albo jedno i drugie, wydłużone godziny pracy, także w weekendy i wszystkie noce. I tak przez całe życie. Żadnej zapłaty, żadnych bonusów i emerytury, wyłącznie wyrzuty sumienia. Popełnia błąd.

Ale kochankowie są ślepi na wszystko, jak tylko potrafią być kochankowie. Kuchenne obowiązki utrzymują ich w pionie. Sprzątają ze stołu bałagan po wczorajszej nocy, zmiatają z podłogi resztki jedzenia, a potem łykają kolejne proszki przeciwbólowe, popijając je kawą. To całe śniadanie, na jakie mogę liczyć. Zgadzają się, że w okolicy zlewu nie da się nic zrobić. Matka mamrocze instrukcje lub wskazówki. Claude jest w dalszym ciągu zjeżony. Za każdym razem jej przerywa. Być może zaczyna mieć wątpliwości.

– Bądź pogodny, jasne? Jakbyśmy przemyśleli to, co powiedział wczoraj wieczorem, i doszli do wniosku…

– Jasne.

Po kilku minutach milczenia:

– I nie wyjeżdżaj zbyt wcześnie z propozycją poczęstunku. Musimy…

– Nie zrobię tego.

I znowu:

– Dwa puste kieliszki, żeby pokazać, że już dzisiaj piliśmy. I kubek po Smoothie Heaven…

– Zrobione. Stoją za tobą.

Kiedy Claude to mówi, zaskakuje nas dobiegający z góry schodów głos ojca. Oczywiście, ma swój klucz. Wszedł do domu.

– Rozładuję tylko samochód i zaraz do was idę – zapowiada.

Mówi to szorstkim, rzeczowym tonem. Nieziemska miłość sprawiła, że stąpa teraz twardo po ziemi.

– Co będzie, jak zamknie samochód? – szepcze Claude.

Jestem blisko serca matki i znam jego rytmy i nagłe drgnięcia. A teraz! Na głos męża przyspiesza i słychać dodatkowy dźwięk, jakieś zakłócenia w komorach, podobne do odległego grzechotu marakasów albo kamyków potrząsanych

w puszce. Tu z dołu wydaje mi się, że to zastawka pnia płucnego, której płatki półksiężycowate zamykają się zbyt mocno i sklejają ze sobą. Mogą to być też jej zęby.

Lecz na zewnątrz matka nie traci spokoju. Pozostaje panią swego głosu, który jest równy i nie zniża się do szeptu.

– To poeta. Nigdy nie zamyka samochodu. Kiedy dam ci znak, wyjdziesz stąd z rzeczami.

Dziewięć

Drogi ojcze!

Zanim umrzesz, chciałbym z tobą zamienić słówko. Nie mamy dużo czasu. O wiele mniej, niż sądzisz, więc wybacz, że przejdę od razu do rzeczy. Muszę odświeżyć twoją pamięć. Myślę o pewnym niedzielnym ranku w twojej bibliotece, kiedy letni deszcz choć raz oczyścił z kurzu powietrze. Okna były otwarte, słyszeliśmy szelest liści. Ty i matka przypominaliście niemal szczęśliwą parę. Recytowałeś wówczas pewien wiersz, zbyt dobry, byś to ty mógł być jego autorem, co chyba sam przyznasz. Krótki i gęsty, gorzki i pełen rezygnacji, trudny do zrozumienia. Taki, który uderza i boli, zanim zrozumie się dokładnie, o czym mówi. Zwracał się do niefrasobliwego, obojętnego czytelnika, utraconego kochanka, moim zdaniem, rzeczywistej osoby. W czternastu linijkach opowiadał o beznadziejnym przywiązaniu, żałosnej trosce, niezaspokojonej i niedocenionej tęsknocie. Przywoływał postać utalentowanego, poważanego rywala i giął się w pokłonach. Czas wyrówna kiedyś rachunki, ale nikt się tym nie przejmie ani nie będzie pamiętał, chyba że przez przypadek przeczyta te linijki.

Osoba, do której skierowany był ten wiersz, przypomina mi świat, który mam poznać. Już teraz zbyt mocno go kocham. Nie wiem, jak mnie potraktuje, czy o mnie zadba, czy w ogóle mnie zauważy. Stąd wydaje się nieczuły, niedbający o jedno życie i życie wielu ludzi. Wiadomości są brutalne, nierealne, są koszmarem, z którego nie sposób się obudzić. Słucham ich z moją matką, urzeczony i przerażony. Wzięte w niewolę nastoletnie dziewczyny, o które się modlono, po czym zostały zgwałcone. Beczki, których używa się jako bomb nad miastami, dzieci, których używa się jako bomb na bazarach. Z Austrii dowiadujemy się o zamkniętej, stojącej na poboczu ciężarówce i siedemdziesięciu jeden uchodźcach, których porzucono, by spanikowani zadusili się i zgnili. Tylko ktoś odważny potrafi sobie wyobrazić ich ostatnie chwile. Nastały nowe czasy. Być może, są stare. Ale ten wiersz sprawia również, że myślę o tobie, o twojej przemowie wczoraj wieczorem i o tym, jak nie odwzajemniłeś i nie mogłeś odwzajemnić mojej miłości. Z miejsca, w którym się znajduję, ty, moja matka i świat jesteście jednością. Wiem, to hiperbola. Świat jest również pełen cudów i dlatego właśnie tak głupio się w nim zakochałem. I kocham i podziwiam was oboje. Chcę przez to powiedzieć, że boję się odrzucenia.

Dlatego wyrecytuj mi go ponownie, ten wiersz, na gasnącym oddechu, a ja ci go powtórzę. Niech to będzie ostatnia rzecz, jaką w życiu usłyszysz. Wtedy dowiesz się, o co mi chodzi. Albo wybierz łagodniejsze rozwiązanie, nie umieraj, lecz żyj, zaakceptuj syna, weź mnie w ramiona, uznaj za swojego. W zamian dam ci pewną radę. Nie schodź do kuchni. Pożegnaj się zdawkowo, wsiądź do samochodu i jedź. A jeśli musisz zejść, nie pij napoju owocowego, zostań tyle, ile trzeba, by się pożegnać. Wyjaśnię ci później. Tymczasem pozostaję twym posłusznym synem…

Siedzimy przy kuchennym stole, w milczeniu słuchając rozlegających się co jakiś czas na górze kroków ojca, który wnosi kartony z książkami i stawia je w salonie. Mordercom, nim popełnią zbrodnię, trudno zdobyć się na beztroską pogawędkę. Suchość w ustach, nitkowate tętno, zamęt w głowie. Nawet Claude jest zbity z tropu. Oboje z Trudy znowu piją czarną kawę. Po każdym łyku odstawiają bezgłośnie filiżanki. Nie używają spodeczków. Zegar, którego wcześniej nie zauważyłem, tyka w jambicznym rytmie. Ulicą zbliża się i niknie z niewyraźnym efektem Dopplera grająca w furgonetce muzyka pop; posępna melodia podnosi się i obniża o mikroton, ale nie wpada w fałsz. Jest w tym dla mnie jakieś ulotne przesłanie. Proszki zaczynają działać, ale rozjaśnia mi się dzięki nim w głowie, a ja wolałbym popaść w odrętwienie. Przećwiczyli to dwa razy i wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Kubki, napój, „robótka", coś z banku, kapelusz, rękawiczki i paragon, plastikowa torba. Jestem skonsternowany. Powinienem był ich pilniej słuchać zeszłego wieczoru. Nie będę wiedział, czy wszystko idzie zgodnie z planem, czy spełza na niczym.

– Mógłbym pójść na górę i mu pomóc – mówi w końcu Claude. – No wiesz, co dwie głowy, to…

– Dobrze, dobrze. Poczekaj. – Matka nie chce, by dokończył zdanie. Przynajmniej to nas łączy.

Słyszymy, jak zamykają się frontowe drzwi, i kilka sekund później te same buty – ze skórzanymi staroświeckimi podeszwami – wydają dźwięk, który słyszeliśmy wczoraj, gdy schodził tu ze swoją kochanką i przypieczętował swój los. Idąc, pogwizduje niemelodyjnie, bardziej w stylu Schoenberga niż Schuberta, raczej udając luz, niż go rzeczywiście odczuwając. A zatem, mimo wczorajszej wyniosłej mowy, jest spięty. Niełatwo wyrzucić z ukochanego domu brata i kobietę, której się nienawidzi i która nosi w łonie twoje dziecko. Jest teraz bliżej. Ponownie przyciskam ucho do lepkiej ściany. Nie chcę, by umknęła mi jakakolwiek zmiana tonu, pauza albo słowo.

Moja słynąca z bezpośredniości rodzina nie traci czasu na powitania.

– Miałem nadzieję zobaczyć przy drzwiach twoją walizkę. – Ojciec mówi to z humorem i jak zawsze ignoruje brata.

– Nie ma mowy – odpowiada gładko matka. – Usiądź i napij się kawy.

Ojciec siada. Odgłos nalewania i brzęk łyżeczki.

– Przyjeżdża firma, żeby usunąć ten przeraźliwy śmietnik w holu – mówi.

– To nie śmietnik. To deklaracja.

– Czego?

– Protestu.

– Ach tak?

– Przeciwko zaniedbywaniu przez ciebie…

– Ha!

– Mnie. I naszego dziecka.

To może być ukłon w stronę realizmu, tego, co prawdopodobne. Przymilne powitanie mogłoby wzbudzić jego nieufność. A przypominanie mu o ojcowskich obowiązkach – tylko przyklasnąć!

– Będą tutaj o dwunastej. Przyjeżdża również ekipa deratyzacyjna. Żeby odkazić dom.

– Nie zrobią tego, kiedy tu jesteśmy.

– To zależy od ciebie. Zaczynają w południe.

– Będą musieli zaczekać miesiąc albo dwa.

– Zapłaciłem im podwójnie, żeby cię zignorowali. I mają klucz.

– Och – odpowiada Trudy tonem autentycznego ubolewania. – Przykro mi, że zmarnowałeś tyle pieniędzy. W dodatku należących do poety.

Claude wtrąca się, zdecydowanie zbyt wcześnie jak dla Trudy.

– Zrobiłem ten przepyszny…

– Kochanie, wszyscy chcą więcej kawy.

Mężczyzna, który unicestwia w łóżku moją matkę, jest posłuszny niczym pies. Zaczynam rozumieć, że seks jest własnym niezależnym górskim królestwem, tajemnym i niezbadanym. My w dolinach znamy tylko plotki.

– Skoro już o tym mowa – odzywa się miłym głosem matka, kiedy Claude pochyla się nad ekspresem w drugiej części kuchni – słyszałam, że twój brat był wobec ciebie bardzo miły. Pięć tysięcy funtów! Szczęściarz z ciebie. Podziękowałeś mu?

– Zwrócę mu je, jeśli o to ci chodzi.

– Tak samo jak poprzednią pożyczkę.

– Ją też zwrócę.

– Przykro mi, że trwonisz te pieniądze na odkażanie.

Ojciec śmieje się z autentyczną radością.

– Trudy! Przypominam sobie niemal, za co cię pokochałem. Swoją drogą, wyglądasz pięknie.

– Jestem trochę rozmamłana. Ale dziękuję. – Matka ścisza teatralnie głos, jakby chciała wykluczyć Claude'a z ich rozmowy. – Po twoim wyjściu

balowaliśmy. Przez całą noc.

– Świętowaliście twoją eksmisję.

– Można tak powiedzieć.

Pochylamy się oboje, ja stopami do przodu, i mam wrażenie, że położyła dłoń na jego dłoni. Ojciec jest teraz bliżej jej słodkich potarganych warkoczyków, szeroko otwartych zielonych oczu, idealnej różowej skóry skropionej perfumami, takimi samymi jak te, które kupił jej dawno temu w Dubrowniku, w bezcłowym sklepie. Jak ona o wszystkim myśli.

– Wypiliśmy parę kieliszków i rozmawialiśmy. Podjęliśmy decyzję. Masz rację. Czas, by każde z nas poszło swoją drogą. Claude ma ładny dom, a St John's Wood to zadupie w porównaniu z Primrose Hill. No i tak się cieszę, że masz nową przyjaciółkę. Elegię.

– Elodie. Jest urocza. Strasznie się pokłóciliśmy, kiedy stąd wczoraj wyszliśmy.

– A wydawaliście się razem tacy szczęśliwi. – Zauważam, że ton głosu matki lekko się podniósł.

– Uznała, że wciąż jestem w tobie zakochany.

To też wywiera pewien wpływ na Trudy.

– Ale przecież sam powiedziałeś, że się nienawidzimy.

– No właśnie. Ona sądzi, że zbyt stanowczo o tym zapewniam.

– John! Czy mam do niej zadzwonić? Powiedzieć jej, jak bardzo cię nie znoszę?

W jego śmiechu słychać nutkę niepewności.

– Nie, to jest droga ku zatraceniu!

Przypominają mi o mojej misji: świętym, wyimaginowanym obowiązkiem dziecka rodziców w separacji jest próba ich pogodzenia. Zatracenie. Słowo poety. Zagubionego i skazanego na zagładę. Głupio robię, pozwalając, by moje nadzieje urosły o kilka punktów niczym ceny na rynku futures zaraz po jednym krachu, a jeszcze przed następnym. Moi rodzice po prostu się wygłupiają, łaskoczą się w różnych miejscach ciała. Elodie się myli. Między małżonkami pozostała tylko obronna ironia.

A oto Claude z tacą, nadąsany i proponujący więcej kawy.

– Dolać wam?

– Boże, nie – odpowiada ojciec prostym lekceważącym tonem, który rezerwuje dla brata.

– Mamy również przepyszny…

– Ja wypiję jeszcze jedną filiżankę, kochanie. Dużą. Twój braciszek – mówi matka do mojego stryja – poprztykał się z Elegią.

– Elegia to pieśń żałobna – definiuje ojciec z przesadną starannością, na jej użytek.

– Jak *Candle in the Wind* – mówi Claude, znowu ożywiony.

– Na litość boską.

– Tak czy inaczej, to jest małżeński dom – stwierdza Trudy, robiąc kilka kroków wstecz w ich rozmowie. – Wyprowadzę się, kiedy będę gotowa, i to nie będzie w tym tygodniu.

– Daj spokój. Wiesz, że z tym odkażaniem tylko żartowałem. Ale nie możesz zaprzeczyć, że dom zmienił się w bajzel.

– Jeśli będziesz mnie cisnął, John, mogę zdecydować, że zostaję. I zobaczymy się w sądzie.

– Punkt dla ciebie. Ale nie będzie ci przeszkadzało, jeśli usunę ten syf z holu.

– Trochę będzie. – Po chwili zastanowienia Trudy kiwa w końcu głową.

Słyszę, że Claude podnosi plastikową torbę. Jego niefrasobliwy ton nie przekonałby nawet najgłupszego dzieciaka.

– Musicie mi na chwilę wybaczyć. Robota czeka. Niektórzy muszą tyrać od świtu do nocy!

Dziesięć

Był czas, gdy ostatnie słowa Claude'a mogły przywołać na moją twarz uśmiech. Ale teraz, nie pytajcie dlaczego, nie gustuję w komedii, nie jestem skłonny ćwiczyć, nawet gdybym miał gdzie, nie cieszy mnie ogień ani ziemia, nie cieszą słowa, które kiedyś odkrywały złoty świat majestatycznych gwiazd, piękno poetyckiego pojmowania, nieskończone radości rozumu. Te wspaniałe radiowe audycje i wiadomości, doskonałe podcasty, które mnie poruszały, wydają się w najlepszym razie pustosłowiem, w najgorszym – śmierdzącymi bzdurami. Dzielne społeczeństwo, do którego wkrótce dołączę, szlachetne zgromadzenie istot ludzkich, jego zwyczaje, bogowie i anioły, jego żarliwe idee i lśniący ferment nie budzą już we mnie dreszczu emocji. Na baldachimie, który spowija moje wątłe ciało, spoczywa wielki ciężar. Nie starczy mnie, by uformować jedno małe zwierzę, a co dopiero wyrazić człowieka. Mam ochotę urodzić się martwy, a potem obrócić się w proch.

Te dołujące niskie myśli, które pragnę z siebie gdzieś samotnie wyrzucić, wracają do mnie, kiedy Claude znika u szczytu schodów. Moi rodzice siedzą w milczeniu. Słyszymy, jak frontowe drzwi otwierają się i zamykają. Na próżno wytężam słuch, by usłyszeć, jak Claude otwiera drzwi samochodu brata. Trudy znów pochyla się do przodu i John bierze ją za rękę. Leciutki wzrost naszego ciśnienia krwi może sugerować, że ścisnął łuszczącymi się palcami jej dłoń. Opadającym tonem czułego wyrzutu matka wymawia cicho jego imię. On nie odzywa się, ale zgaduję, że kręci głową i zaciska wargi w niewyraźnym uśmiechu, jakby chciał powiedzieć: „Popatrz, na co nam przyszło".

– Miałeś rację, to koniec – mówi Trudy. – Ale możemy to zrobić kulturalnie.

– Owszem, tak będzie najlepiej – przyznaje ojciec swoim sympatycznym, dudniącym głosem. – Ale przez wzgląd na dawne czasy, Trudy. Mogę ci powiedzieć wiersz?

Trudy niczym małe dziecko zawzięcie potrząsa głową, wskutek czego cały łagodnie się kołyszę, ale wiem równie dobrze jak ona, że gdy idzie o poezję, Johnowi Cairncrossowi po prostu się nie odmawia.

– Proszę, John, na litość boską, przestań.

Lecz on zaczerpnął już powietrza. Słyszałem wcześniej ten utwór, ale wtedy nie znaczył tak wiele.

– *Skoro więc nie ma rady, daj ust i bądź zdrowa…*

Niepotrzebnie, myślę, wymawia pewne frazy z takim zadowoleniem. *Żegnaj na zawsze; wolny od tej chwili, takeśmy się gładko rozłączyli, nie ma w nas śladu dawnego kochania*6. A na samym końcu, kiedy Miłość leży na łożu śmierci i pojawia się szansa jej wskrzeszenia – gdyby tylko Trudy tego sobie życzyła – ojciec unieważnia to wszystko zgryźliwą, kpiącą intonacją.

Lecz ona też sobie tego nie życzy i wchodzi mu w słowo.

– Do końca życia nie chcę już słyszeć żadnego wiersza – wtrąca, gdy on recytuje ostatnią linijkę.

– Nie usłyszysz – zapewnia ją przyjaźnie ojciec. – Z Claude'em na pewno ci to nie grozi.

W tej rozsądnej wymianie zdań nie ma w ogóle mowy o zabezpieczeniu mojego bytu. Fakt, że była żona nie negocjuje wysokości comiesięcznych świadczeń, które jej się należą jako matce jego dziecka, musiałby wzbudzić podejrzenia innego mężczyzny. Inna kobieta, gdyby nie knuła podstępu, z pewnością by się ich domagała. Jestem jednak wystarczająco dojrzały, by wziąć za siebie odpowiedzialność, stać się panem swojego losu. Niczym kościelna mysz mam jeszcze na podorędziu resztki żelaznego prowiantu, moją jedyną możliwość działania. Korzystałem już z niej w środku nocy, by wywołać bezsenność i wysłuchać audycji radiowej. Dwa silne, dobrze wymierzone uderzenia w ścianę, piętą, a nie prawie bezkostnymi palcami stóp. To mój pojedynczy puls tęsknoty, wyraz pragnienia, by choć raz o mnie napomknięto.

– Ach – wzdycha matka. – Kopie.

– W takim razie będę już szedł – mruczy ojciec. – Można ci dać, powiedzmy, dwa tygodnie na wyprowadzkę?

W gruncie rzeczy macham do niego i co dostaję w odpowiedzi? W takim razie, a zatem, skoro tak, wobec tego – on odchodzi.

– Dwa miesiące. Ale zaczekaj, aż wróci Claude.

– Tylko jeśli się pospieszy.

Kilkaset metrów nad naszymi głowami schodzący do lądowania na Heathrow samolot wykonuje powietrzne glissando – ten dźwięk zawsze wydawał mi się złowieszczy. John Cairncross zastanawia się, być może, nad ostatnim wierszem. Mógłby wyrecytować *Waletę, żalu zabraniającą*, co zwykle robił przed podróżą. Te kojące tetrametry, ten dojrzały, dodający otuchy ton mógłby mnie wprowadzić w nostalgiczny nastrój, przypomnieć jego dawne smutne wizyty. Lecz on bębni tylko palcami po stole, chrząka i po prostu czeka.

– Kupiliśmy sobie rano smoothies na Judd Street. Ale nie sądzę, żebyśmy ci jakiś zostawili.

Tymi słowami zaczyna się wreszcie właściwa intryga.

– Nie, odłożyłem dla niego kubek. To przecież on powiedział nam o tym miejscu. Pamiętasz? – Bezbarwny głos ze szczytu schodów brzmi, jakby dobiegał ze sceny, na której wystawiana jest skazana na klapę inscenizacja fatalnej sztuki.

Claude schodzi do kuchni. Trudno uwierzyć, że to utrafione w sam raz wejście, te nieporadne, trącące fałszem kwestie zostały zaplanowane o świcie przez dwójkę pijanych ludzi.

Styropianowy kubek z plastikową pokrywką i słomką jest w lodówce. Jej

drzwi otwierają się teraz i zamykają. Claude stawia go przed moim ojcem ze schrypniętym, matczynym: „Proszę”.

– Dzięki. Ale nie wiem, czy dam teraz radę.

Błąd już na samym początku. Dlaczego to lekceważony brat, a nie zmysłowa żona podaje mężczyźnie jego napój? Powinni podtrzymywać rozmowę – miejmy nadzieję, że w pewnym momencie zmieni zdanie. Miejmy nadzieję? Tak to jest, na tym polega magia opowieści, kiedy wiemy o morderstwach od samego początku. Nie możemy się oprzeć, by nie stanąć po stronie sprawców i ich spisków, machamy z nabrzeża, gdy ich mały statek złych intencji podnosi żagle. *Bon voyage*! To nie lada sztuka zabić kogoś i nie ponieść konsekwencji. Miarą sukcesu jest „morderstwo doskonałe”. A człowiekowi trudno osiągnąć doskonałość. Na pokładzie coś może pójść nie tak, ktoś potknie się o niezwiniętą linę, statek podryfuje za daleko na południe. Trudne zadanie, cały czas na morzu.

Claude siada przy stole, bierze głęboki oddech, sięga po swoją atutową kartę. Luźna pogawędka. Albo to, co uważa za luźną pogawędkę.

– Ci imigranci, nie? Co za historia. Jak oni nam zazdroszczą, ci z tego Calais! Dżungla! Dziękujmy Bogu za kanał La Manche.

Ojciec nie może się oprzeć.

– *Anglia owita w triumfalne morze, odpychająca swych brzegów granitem zazdrosne fale mściwego Neptuna*…7. – Te słowa poprawiają mu humor. Słyszę chyba, jak przysuwa do siebie kubek. – Ale ja mówię, zaproście ich tu wszystkich. Czemu nie! Afgańska restauracja w St John’s Wood.

– I meczet – dodaje Claude. – Albo trzy meczety. I tysiące damskich bokserów i gwałcicieli dziewcząt.

– Opowiadałem wam kiedyś o meczecie Goharshad w Iranie? Widziałem go kiedyś o świcie. Stałem jak urzeczony. We łzach. Nie wyobrażasz sobie tych kolorów, Claude. Kobalt, turkus, oberżyna, szafran, najjaśniejsza zieleń, krystaliczna biel i wszystko, co jest pomiędzy.

Nigdy dotąd nie słyszałem, by zwracał się po imieniu do brata. Jest w dziwnie podniosłym nastroju. Popisuje się przed moją matką, pokazuje jej, ile ona traci, w porównaniu.

Bądź też odcina się od obleśnych rozważań brata, który oświadcza teraz tonem ostrożnego kompromisu:

– Nigdy nie myślałem o Iranie. Ale hotel Plaza w Szarm el-Szejk… Znakomity. Mają wszystko co trzeba. Prawie zbyt upalnie, żeby plażować.

– Zgadzam się z Johnem – wtrąca matka. – Syryjczycy, Erytrejczycy, Irakijczycy. Nawet Macedończycy. Potrzebujemy ich młodości. I daj mi, kochanie, kieliszek wody.

Claude w ułamku sekundy jest już przy zlewie.

– Potrzebujemy? Ja nie potrzebuję, żeby mnie zaszlachtowali na ulicy. Tak

jak w Woolwich. – Wraca do stołu z dwoma kieliszkami, jednym dla siebie. Chyba domyślam się, do czego to zmierza. – Nie byłem w metrze od siedemdziesiątego siódmego – dodaje.

– Ktoś to kiedyś policzył – mówi ojciec tonem, którego używa, by pominąć Claude'a. – Jeśli stosunki płciowe między różnymi rasami będą się odbywać tak jak teraz, za pięć tysięcy lat wszyscy na ziemi będą tego samego koloru jasnej kawy.

– Wypiję za to – oznajmia matka.

– Tak naprawdę nie mam nic przeciwko – mówi Claude. – Zdrowie!

– Za koniec rasy – proponuje zgodnie ojciec. Nie sądzę jednak, by wziął do ręki swój kubek. Zamiast tego nawiązuje do spraw bieżących. – Jeśli nie będzie ci przeszkadzać, wpadłbym w piątek z Elodie. Chce wziąć miarę na zasłony.

Wyobrażam sobie spichlerz, w którym stukilowy worek z ziarnem zrzucany jest ze strychu na podłogę. A potem kolejny i jeszcze jeden. Tak głośno wali serce matki.

– Oczywiście, proszę bardzo – odpowiada rozsądnym tonem. – Moglibyśmy was zaprosić na lunch.

– Dzięki, ale będziemy bardzo zalatani. Teraz też muszę już iść. Na mieście jest duży ruch.

Szuranie nóg krzesła – jak głośno, mimo śliskich płytek terakoty, brzmią tu na dole, niczym szczekanie psa. John Cairncross wstaje. W jego głosie znów słychać przyjazną nutę.

– Trudy, to było naprawdę…

Lecz ona też wstaje i ostro kombinuje. Czuję to po jej ścięgnach, po sztywniejących blaszkach sieci mniejszej i większej. Została jej tylko jedna szansa i wszystko zależy od tego, jak bardzo będzie bezpośrednia i naturalna.

– Zanim pójdziesz, John, chciałabym coś powiedzieć. Wiem, że jestem trudna, czasami nawet bywam suką. To ja ponoszę większą część winy za to wszystko. Zdaję sobie z tego sprawę. I przepraszam, że w domu jest taki chlew. Ale to, o czym wczoraj mówiłeś. O Dubrowniku.

– A tak – potwierdza ojciec. – Dubrownik. – Ale oddalił się już o metr albo dwa.

– To, co mówiłeś, jest prawdą. Wszystko to sobie ponownie uświadomiłam i przeszyło mi serce. To, co stworzyliśmy, John, było arcydziełem. I to, co zdarzyło się później, wcale tego nie zmienia. Byłeś taki mądry, mówiąc to. Nic, co zdarzy się w przyszłości, tego nie unieważni. I choć w kieliszku mam tylko wodę, chcę wypić za ciebie, za nas. Dziękuję, że mi przypomniałeś. Nie ma znaczenia, czy miłość przetrwa. Ważne jest, że istnieje. Więc. Za miłość. Naszą miłość. Taką, jaka była. I za Elodie.

Trudy przytyka kieliszek do ust. Jej podnosząca się i opadająca nagłośnia

oraz perystaltyka jelit na chwilę mnie ogłuszają. Nigdy, odkąd ją znam, nie słyszałem, by matka wygłosiła mowę. To nie w jej stylu. Ale dziwnie działa na wyobraźnię. Co przywodzi na myśl? Podenerwowaną uczennicę, nową prymuskę, która drżącym głosem i wypowiadanymi z naciskiem frazesami robi wrażenie na dyrektorze, ciele pedagogicznym i całej szkole.

Toast za miłość, a zatem i za śmierć, za Erosa i Tanatosa. W życiu intelektualnym wydaje się oczywistością, że gdy dwa pojęcia są od siebie bardzo odległe lub stanowią swoje przeciwieństwo, uważa się je za głęboko związane. Ponieważ śmierć jest zaprzeczeniem wszystkiego, co żywe, proponuje się różne połączenia. Sztuka i śmierć. Natura i śmierć. Z pewną obawą, narodziny i śmierć. I powtarzane z radością, miłość i śmierć. Co do tej ostatniej pary, z mojej perspektywy nie ma dwóch pojęć, które miałyby ze sobą mniej wspólnego. Umarły nie kocha nikogo i niczego. Gdy tylko wyjdę na zewnątrz i trochę się ogarnę, spróbuję machnąć na ten temat monografię. Świat nie może się doczekać świeżo upieczonych empiryków.

Kiedy ojciec się odzywa, stoi chyba bliżej. Podchodzi z powrotem do stołu.

– No, no, to mi się podoba – mówi prawie wesoło.

Przysiągłbym, że trzyma w ręce śmiertelny miłosny puchar.

Ponownie kopię po wielokroć piętami, by odwrócić przeznaczenie.

– Och, mój mały robaczek! – woła Trudy słodkim matczynym głosem. – Budzi się.

– Zapomniałaś wymienić mojego brata – oświadcza ojciec. W jego męskiej poetyckiej naturze leży uzupełnienie, wzbogacenie cudzego toastu. – Za naszych przyszłych ukochanych, Claude'a i Elodie.

– W takim razie za nas wszystkich – mówi Claude.

Cisza. Kieliszek matki jest już pusty.

I zaraz potem dobiega mnie przeciągłe, pełne satysfakcji westchnienie ojca. Z grzeczności nieco przesadzone.

– Słodsze niż zwykle. Ale całkiem dobre.

Postawiony przez niego na stole styropianowy kubek wydaje głuchy dźwięk.

Nagle to do mnie wraca, jakby w głowie zapaliła się komiksowa żarówka. Kiedy pewnego deszczowego ranka Trudy myła zęby po śniadaniu, w audycji na temat zwierząt domowych wyliczano zagrożenia, które czyhają na naszych podopiecznych. Pies, który zliże zielony słodki płyn z podłogi garażu, nie ma żadnych szans. Zdechnie w ciągu kilku godzin. Dokładnie tak, jak to przepowiedział Claude. Chemia nie wie, co to litość, sensowność i wyrzuty sumienia. Szczoteczka elektryczna matki zagłuszyła resztę. Rządzą nami te same prawa, które uprzykrzają życie naszym pupilom. Wielki łańcuch niebytu wisi i na naszych szyjach.

– No dobrze – mówi ojciec, co znaczy więcej, niż może sobie wyobrazić. –

Pójdę już.

Claude i Trudy wstają. Na tym polegają emocje profesji truciciela. Substancja połknięta, akt jeszcze się nie dokonał. W promieniu trzech kilometrów stąd jest wiele szpitali i sond żołądkowych. Ale granica przestępstwa została przekroczona. Nie można cofnąć czynu. Mogą tylko siedzieć i czekać na antytezę, na to, by rozmrażacz uczynił z niego zimnego trupa.

– To twój kapelusz? – pyta Claude.

– Ach tak. Wezmę go.

Czy po raz ostatni słyszę głos swojego ojca?

Idziemy w stronę schodów, potem na górę, poeta prowadzi. Mam płuca, ale brakuje w nich powietrza, by wykrzyczeć ostrzeżenie albo zapłakać ze wstydu nad własną niemocą. Jestem wciąż stworzeniem morskim, nie człowiekiem jak inni. Mijamy teraz śmietnik w holu. Otwierają się frontowe drzwi. Ojciec odwraca się, by cmoknąć w policzek moją matkę i czule szturchnąć w ramię brata. Być może, po raz pierwszy w życiu.

– Miejmy nadzieję, że ten cholerny rzęch zapali – rzuca na odchodnym.

Jedenaście

Zasiana o świcie przez dwójkę pijanych ludzi blada wątła roślinka walczy o promyk sukcesu. Oto plan. Za kierownicą zostaje znaleziony martwy mężczyzna. Na podłodze jego samochodu, za przednim siedzeniem, leży prawie niewidoczny styropianowy kubek z nadrukiem baru przy Judd Street, niedaleko Camden Town Hall. W kubku resztki zmiksowanego napoju owocowego ochrzczonego glikolem. Obok kubka pusta butelka tej samej śmiertelnej substancji. Obok butelki wyrzucony paragon za napój, z bieżącą datą. Pod fotelem kierowcy kilka wyciągów bankowych, niektóre z konta małego wydawnictwa, inne z osobistego. Na wszystkich widać zadłużenie idące w dziesiątki tysięcy. Na jednym z wyciągów słowo: „Dosyć!", nakreślone ręką zmarłego („robótka" Trudy). Przy wyciągach rękawiczki, które zmarły nosił od czasu do czasu, by ukryć łuszczycę. Częściowo zasłaniają zwiniętą w kulkę stronę gazety z nieprzyjazną recenzją wydanego niedawno tomiku poezji. Na przednim fotelu pasażera czarny kapelusz.

Londyńska policja cierpi na braki kadrowe i ma za dużo pracy. Młodsi detektywi – tak przynajmniej twierdzą starsi – prowadzą śledztwa zza ekranu komputera, nie chce im się zdzierać obcasów i biegać po mieście. Są inne, bardziej drastyczne sprawy, a tutaj wszystko wydaje się jasne. Substancja jest niezwykła, lecz nie rzadka, ogólnie dostępna, łatwa w spożyciu, śmiertelna w dużych dawkach i dobrze znana wśród autorów kryminałów. Śledztwo wykaże, że oprócz długów doszło do kryzysu w małżeństwie, a żona mieszka obecnie z bratem zmarłego mężczyzny, będącego od kilku miesięcy w depresji. Łuszczyca podkopała jego pewność siebie. Rękawiczki, które nosił, by ją ukryć, tłumaczą brak odcisków palców na kubku i butelce z płynem do chłodnic. Taśmy monitoringu pokazują go w kapeluszu przy barze Smoothie Heaven. Tego ranka wybierał się do St John's Wood. Najwyraźniej przytłoczyło go, że miał zostać ojcem lub że zbankrutowała jego firma, lub że poniósł klęskę jako poeta, lub że mieszka samotnie w Shoreditch, gdzie wynajmował mieszkanie. Po kłótni z żoną wyszedł pogrążony w rozpaczy. Żonę dręczy poczucie winy. Jej przesłuchanie trzeba było kilka razy przełożyć. Brat zmarłego również w nim uczestniczył i starał się w miarę swoich możliwości pomóc.

Czy można tak łatwo, tak dokładnie zaaranżować z wyprzedzeniem rzeczywistość? Matka, Claude i ja w napięciu czekamy w otwartych drzwiach. Między zalążkiem planu a jego realizacją leży cały szereg koszmarnych komplikacji. Za pierwszym razem starter obraca się, ale silnik nie zapala. Nic dziwnego. Pojazd należy do bujającego w obłokach autora sonetów. Za drugim razem ta sama rzężąca porażka, podobnie jak za trzecim. Rozrusznik brzmi jak starzec, któremu zabrakło sił, by odchrząknąć. Jeśli John Cairncross skona na naszych rękach, wszyscy pójdziemy siedzieć. Tak samo, jeśli przeżyje na naszych

rękach. Przed kolejną próbą robi przerwę w nadziei, że teraz dopisze mu szczęście. Czwarty raz jest słabszy od trzeciego. Wyobrażam sobie ojca, jak patrząc na nas, wzrusza ze zdziwieniem ramionami. Jego twarz zasłaniają odbijające się w przedniej szybie letnie chmury.

– O rany – mówi Claude, człowiek praktyczny. – Zaraz zaleje gaźnik.

Jelita matki ilustrują muzycznie jej desperackie nadzieje. Ale za piątym razem zmiana. Z powolnym, przeciągłym i komicznym łoskotem silnik zapala. Walcząca o przetrwanie roślinka Trudy i Claude'a wypuszcza pączek nadziei. Kiedy samochód wyjeżdża tyłem na ulicę, matka zanosi się kaszlem, spowodowanym, jak sądzę, przez chmurę sunących w naszą stronę sinych spalin. Wchodzimy do środka, drzwi się zatrzaskują.

Nie wracamy do kuchni, lecz idziemy po schodach na górę. Nie pada żadne słowo, ale jakość ciszy – gęstej jak śmietana – wskazuje, że nie tylko zmęczenie i kac gnają nas do sypialni. Biada mi nieszczęsnemu. To rażąca niesprawiedliwość.

Pięć minut później. Jesteśmy w sypialni i już się zaczęło. Claude kuca obok mojej matki i chyba jest nagi. Słyszę jego oddech na jej szyi. Rozbiera ją, wspinając się na niezdobyte przez niego szczyty zmysłowej wielkoduszności.

– Ostrożnie – mówi Trudy. – To perłowe guziki.

Claude mruczy w odpowiedzi. Jego palce są niewprawne, zaspokajają wyłącznie jego własne potrzeby. Coś należącego do niego lub do niej spada na podłogę. But albo spodnie z ciężkim paskiem. Matka dziwnie się wije. Niecierpliwość. On wydaje polecenie w formie następnego pomruku. Kulę się. Wygląda to nieciekawie, na pewno źle się skończy, ciąża jest zbyt późna. Powtarzam to od tygodni. Na pewno ucierpię.

Trudy posłusznie opada na czworaki. To *coitus a posteriori*, na pieska, ale nie ze względu na mnie. On przykleja się do jej pleców niczym kopulująca ropucha. Na niej, teraz w niej, i to głęboko. Tak mało moja zdradziecka matka chroni mnie przed przyszłym mordercą ojca. Nic nie jest takie samo w to sobotnie południe w St John's Wood. To nie jest typowy szybki i gorączkowy numerek, który mógłby zagrozić integralności mej nowiutkiej czaszki. To raczej tonięcie w kleju. Jakby coś pedantycznego pełzło przez bagno. Błony śluzowe szorują o siebie, skrzypiąc niewyraźnie przy nawrocie. Godziny spiskowania wprowadziły konspiratorów w tajniki uważnego seksu. Ale to stało się przypadkiem i niczego sobie nie przekazują. Poruszają się mechanicznie, w zwolnionym tempie, w ślepym przemysłowym procesie na pół gwizdka. Chcą sobie tylko ulżyć, odbić kartę zegarową, przez kilka sekund odpocząć od siebie samych. Kiedy ta chwila przychodzi, matka otwiera usta, przerażona. Tym, do czego musi wrócić i co może jeszcze zobaczyć. Jej kochanek wydaje trzeci pomruk podczas tej szychty. Odrywają się od siebie, by lec na prześcieradle. I zaraz potem wszyscy zasypiamy.

Śpimy przez całe popołudnie i wtedy właśnie, w trakcie tych długich

płaskich godzin, śnię swój pierwszy sen, w pełnym kolorze, ze wspaniałą głębią obrazu. Ustanowiona granica między jawą a snem jest nieokreślona. Nie ma ogrodzeń ani przecinki w lesie. Tylko puste budki strażnicze świadczą, że się ją przekracza. W tej nowej krainie zaczynam, jak każdy nowicjusz, od bezkształtnej masy albo chaotycznego rozchwiania, od tonących w mroku cieni, znikających miejsc i ludzi, od niewyraźnych, śpiewających lub przemawiających w sklepionych komnatach głosów. Idąc dalej, czuję nienazwane, niewytłumaczalne wyrzuty sumienia, przeświadczenie, że kogoś lub coś porzuciłem, że zdradziłem miłość lub obowiązek. A potem wszystko staje się przepięknie jasne. Zimna mgła w dniu mojej dezercji, trzy dni w siodle, długie kolumny posępnej angielskiej biedoty na porytych koleinami drogach, olbrzymie wiązy górujące nad zalanymi łąkami na brzegach Tamizy i w końcu znajome atrakcje i zgiełk miasta. Na ulicach odór ludzkich odchodów, równie mocny jak ściany domów i ustępujący za rogiem aromatowi pieczonego mięsa i rozmarynu, obskurna brama, przez którą przechodzę, i oto widzę w półmroku pod powałą przystojnego mężczyznę w moim wieku, nalewającego wina z glinianego dzbana, pochylającego się nad brudnym dębowym stołem i pytającego mnie o opowieść, która go absorbuje, o coś, co napisał on albo ja i na temat czego chciałby usłyszeć lub wygłosić opinię, skorygować coś albo coś wskazać. A może chce, bym powiedział mu, jak kontynuować. Ta nieokreśloność jest jednym z aspektów miłości, jaką do niego odczuwam, niwelującej niemal poczucie winy, o którym chcę zapomnieć. Na ulicy słychać bicie dzwonu. Wychodzimy na zewnątrz, by zaczekać na kondukt pogrzebowy. Wiemy, że zmarł ktoś ważny. Kondukt się nie pojawia, ale dzwon bije dalej.

* * *

To matka słyszy w końcu dzwonek do drzwi. Zanim wynurzę się z nowej dla mnie logiki snu, jest już w szlafroku i schodzimy po schodach. Kiedy docieramy na parter, wydaje okrzyk zdumienia. Przypuszczam, że kiedy spaliśmy, uprzątnięty został cały syf. Dzwonek odzywa się ponownie, głośno, twardo, gniewnie.

– Na litość boską! – krzyczy Trudy, otwierając drzwi. – Upiłeś się? Schodzę tak szybko, jak…

Nagle urywa. Jeśli w siebie wierzy, nie powinna się dziwić, widząc to, co ja, zdjęty strachem, widziałem już wcześniej oczyma wyobraźni: policjanta, nie, dwóch policjantów, którzy zdejmują z głów czapki.

– Czy mówię z panią Cairncross, żoną Johna? – odzywa się miły, ojcowski głos.

Trudy kiwa głową.

– Sierżant Crowley. Obawiam się, że mamy bardzo złą wiadomość. Możemy wejść?

– O Boże – pamięta, by wyszeptać, matka.

Idą w ślad za nami do salonu, rzadko używanego i prawie czystego. Podejrzewam, że gdyby hol nie został posprzątany, pierwsze podejrzenia padłyby natychmiast na matkę. Policyjna robota opiera się na intuicji. Stary smród unosi się chyba jeszcze w powietrzu, ale łatwo go pomylić z zapachem egzotycznej kuchni.

– Może lepiej będzie, jeśli pani usiądzie – mówi z braterską troską drugi głos.

Wiadomość przedstawia sierżant. Zgłoszono, że na pasie awaryjnym autostrady M1 w kierunku północnym, trzydzieści kilometrów od Londynu, stoi samochód pana Cairncrossa. Drzwi były otwarte, a nieopodal, na trawiastym nasypie, leżał twarzą do ziemi sam pan Cairncross. Wezwano karetkę, w drodze do szpitala zastosowano resuscytację, ale pacjent zmarł, nim tam dojechali.

W mojej matce wzbiera, niczym bańka powietrza w głębokiej wodzie, szloch, przechodzi przeze mnie i wyrywa się z jej ust prosto w twarze uważnej policji.

– O Boże! – krzyczy. – Mieliśmy okropną sprzeczkę dziś rano.

Pochyla się do przodu. Czuję, że zakrywa dłońmi twarz i zaczyna drżeć.

– Muszę dodać… – kontynuuje ten sam policjant i przerywa, uświadamiając sobie, że powinien z wyjątkową delikatnością traktować zrozpaczoną kobietę w zaawansowanej ciąży. – Po południu próbowaliśmy się z panią skontaktować. Ciało zidentyfikowała jego przyjaciółka. Obawiam się, że wstępne oględziny wskazują na samobójstwo.

Kiedy matka prostuje plecy i wydaje krzyk, zalewa mnie miłość do niej, do wszystkiego, co zostało utracone – Dubrownika, poezji, codziennego życia. Kiedyś go kochała, podobnie jak on ją. Przypomnienie sobie tego faktu i wykreślenie innych pomaga jej wspiąć się na aktorskie wyżyny.

– Powinnam była… powinnam go była tu zatrzymać. O mój Boże, to wszystko moja wina.

Jakie to sprytne, ukrywanie się na widoku, za szczerą prawdą.

– Ludzie często tak mówią – stwierdza sierżant. – Ale nie wolno pani, nie może pani. Nie należy się winić.

Głęboki wdech i westchnienie. Trudy jakby chciała coś powiedzieć, waha się, znowu wzdycha, bierze się w garść.

– Powinnam coś wyjaśnić. Nie układało nam się zbyt dobrze. Widywał się z kimś, wyprowadził się. A ja zaczęłam… wprowadził się do mnie jego brat. John źle to zniósł. Dlatego powiedziałam…

Pierwsza wspomina o Claudzie, mówi im to, co i tak muszą odkryć. Jeśli teraz, w duchu otwartości, powie: „Zabiłam go”, nic jej nie grozi.

Słyszę odgłos rzepu, szelest kartek notesu, skrzypienie ołówka. Trudy opowiada im stłumionym głosem wszystko, co sobie przygotowała, pod koniec

wracając do kwestii własnej winy. Nie powinna pozwolić mu stąd odjechać w takim stanie.

– Nie mogła pani wiedzieć, pani Cairncross – mówi z rewerencją młodszy mężczyzna.

W tym momencie Trudy zmienia taktykę, wydaje się niemal wściekła.

– Chyba nie za bardzo mieści mi się to w głowie. Nie jestem nawet pewna, czy wam wierzę.

– To zrozumiałe. – To mówi ojcowski sierżant. Odkaszlnąwszy grzecznie, on i jego kolega wstają, szykują się do wyjścia. – Czy jest ktoś, do kogo może pani zadzwonić? Ktoś, kto może z panią zostać?

Matka zastanawia się nad odpowiedzią. Znowu się pochyla, kryje twarz w dłoniach.

– Jest tu teraz mój szwagier – mówi matowym głosem przez palce. – Śpi na górze.

Strażnicy prawa i porządku, być może, wymieniają lubieżne spojrzenia. Pomógłby mi każdy przejaw ich sceptycyzmu.

– W odpowiednim momencie z nim również chcielibyśmy porozmawiać – mówi młodszy.

– Ta wiadomość chyba go zabije.

– Rozumiem, że wolelibyście zostać teraz sami.

Znów wyczuwam nikły cień insynuacji, który budzi we mnie tchórzliwą nadzieję, że to Władza – Lewiatan, nie ja – dokona zemsty.

Muszę pobyć przez chwilę sam, poza zasięgiem ich głosów. Byłem zbyt zaabsorbowany, zbyt zaimponował mi artyzm Trudy, bym mógł spojrzeć w otchłań własnej rozpaczy. A poza nią na zagadkę, jak to jest, że miłość do matki rośnie razem z moją do niej nienawiścią. Uczyniła się moim jedynym rodzicem. Nie przetrwam bez niej, nie przetrwam bez tego proszącego się o uśmiech, otulającego zielonego spojrzenia, bez szepczącego do ucha słodkie słówka kochanego głosu, bez chłodnych dłoni dbających o moje intymne części ciała.

Policja wychodzi. Matka wspina się po schodach ciężkim krokiem. Dłoń ściska mocno balustradę. Raz, dwa i pauza, raz, dwa i pauza. Nuci przez nos powtarzające się, urywane dźwięki, jęk smutku i żalu, wydmuchując powietrze przez nozdrza. Nnng… nnng. Znam ją. Coś w niej wzbiera, coś, co jest wstępem do oceny sytuacji. Wymyśliła intrygę, czysty fortel, złośliwą bajeczkę. Teraz jej sprytna historyjka opuszcza ją, pokonuje granicę, którą ja przekroczyłem po południu, tyle że w odwrotną stronę, mija opuszczone budki strażnicze i obraca się przeciwko niej, by stanąć po stronie społecznej rzeczywistości, nudnej rutyny codziennego świata, ludzkich kontaktów, spotkań, zobowiązań, kamer wideo, komputerów o nieludzkiej pamięci. Jednym słowem, konsekwencji. Bajeczka dała nogę.

Umęczona alkoholem i niewyspana, dźwigając mnie na górę, zmierza do sypialni. „To się nigdy nie miało urzeczywistnić – mówi sobie. – To była tylko moja głupia złość. Jestem winna wyłącznie pomyłki”.

Następny krok jest blisko, ale jeszcze go nie robi.

Dwanaście

Zbliżamy się do śpiącego Claude'a, jego zwalistego ciała, krzywej dzwonowej stłumionego przez pościel dźwięku. Przy wydechu długi zduszony jęk, którego zbliżający się finał zapowiadają elektryzujące sybilanty. Następnie przydługa pauza, która, jeśli go kochacie, może was zaniepokoić. Czy wydał ostatnie tchnienie? Jeśli go nie kochacie, budzi się nadzieja, że tak. W końcu jednak słychać krótszy łapczywy wdech, urozmaicony terkotem wyschniętej na wietrze śluzówki, i na samym szczycie triumfalny pomruk podniebienia miękkiego. Rosnąca głośność sugeruje, że jesteśmy bardzo blisko. Trudy wymawia jego imię. W trakcie opadania ku sybilantom czuję, jak wyciąga do niego rękę. Jest zniecierpliwiona, chce go zawiadomić o ich sukcesie i niezbyt delikatnie dotyka jego ramienia. Claude, zachłystując się niczym samochód jego brata, wraca do rzeczywistości i przez kilka sekund szuka słów, by ubrać w nie swoje pytanie.

– Co jest, kurwa?

– On nie żyje.

– Kto?

– Jezu! Obudź się.

Wyrwany z najgłębszej fazy snu, musi usiąść na skraju łóżka, co słychać po skrzypieniu materaca, i czeka, aż obwody neuronalne przypomną mu historię jego życia. Jestem dość młody, by nie traktować tego oprzyrządowania jako czegoś oczywistego. Więc na czym stanęliśmy? A tak, na próbie zamordowania brata. Naprawdę nie żyje? Nareszcie jest znowu Claude'em.

– Niech mnie kule!

Dopiero teraz ma ochotę wstać. Zauważa, że jest szósta po południu. Ożywiony wstaje, z trzaskiem kości i chrząstek rozprostowuje ramiona, po czym zaczyna krążyć między sypialnią i łazienką, pogwizdując wesoło w technice vibrato. Nasłuchawszy się trochę muzyki popularnej, wiem, że to temat przewodni z filmu *Exodus*. Monumentalny, w zepsutym, jak na moje świeżo uformowane ucho, romantycznym stylu, Claude'owi wydaje się zbawienną muzyczną poezją. Jest szczęśliwy. Tymczasem Trudy siedzi w milczeniu na łóżku. Coś w niej buzuje. W końcu stłumionym matowym głosem opowiada mu o wizycie, o uprzejmości policji, odkryciu ciała, wstępnych ustaleniach co do przyczyny śmierci. Na każdą z tych informacji, podanych jakby były fatalne, Claude reaguje entuzjastycznym: „Cudownie". Pochyla się z jękiem, by zawiązać sznurowadła.

– Co zrobiłeś z kapeluszem? – pyta ona.

Ma na myśli należącą do mego ojca fedorę z szerokim rondem.

– Nie widziałaś? Dałem mu go.

– Co z nim zrobił?

– Wychodząc, miał go w ręce. Nie martw się. Ty się martwisz?

Trudy wzdycha i przez chwilę się zastanawia.

– Policjanci byli tacy mili.

– Pogrążona w smutku żona i tak dalej.

– Nie ufam im.

– Zachowaj spokój.

– Jeszcze tu wrócą.

– Zachowaj… spokój.

Claude wypowiada te dwa słowa z naciskiem i złowieszczą pauzą między nimi. Złowieszczą lub urągliwą.

Teraz jest znowu w łazience, szczotkuje włosy i już nie gwiżdże. Atmosfera się zmienia.

– Chcą z tobą porozmawiać – mówi Trudy.

– To oczywiste. Jestem jego bratem.

– Powiedziałam im o nas.

– To trochę głupie – stwierdza po chwili milczenia Claude.

Trudy chrząka. Ma suchy język.

– Wcale nie.

– Lepiej byłoby, gdyby sami to odkryli. A tak pomyślą, że coś ukrywasz, że próbujesz ich o jeden krok wyprzedzać.

– Powiedziałam im, że John wpadł z naszego powodu w depresję. To był dla niego kolejny powód, żeby…

– W porządku. W porządku. Nieźle. Może nawet to prawda. Ale.

Claude milknie, nie będąc pewien, co jego zdaniem powinna wiedzieć.

Że gdyby go wcześniej nie zabiła, John Cairncross mógł się zabić z miłości do niej – w tej rekurencyjnej myśli jest zarówno tragizm, jak poczucie winy. Trudy nie podoba się chyba jego obojętny, nawet lekceważący ton. Takie odnoszę wrażenie. Niezależnie od tego, jak bardzo zbliżamy się do innej osoby, nigdy nie będziemy w niej w środku, nawet jeśli w nią wejdziemy. Trudy czuje się chyba zraniona. Na razie jednak nic nie mówi. Oboje wiemy, że wkrótce to nastąpi.

Powraca stare pytanie. Jak głupi jest naprawdę Claude? Stojąc przed lustrem w łazience, śledzi tok jej myśli. Wie, jak dać odpór sentymentom w odniesieniu do Johna Cairncrossa.

– Będą chcieli porozmawiać z tą poetką! – woła.

Wzmianka o niej jest balsamem. Każda cząsteczka ciała Trudy uznaje, że mąż zasłużył na śmierć. Nienawidzi Elodie bardziej, niż kocha Johna. Elodie będzie cierpiała. Zalewa mnie zrodzony z krwi błogostan i czuję się natychmiast podniesiony na duchu, ciśnięty w przód wymarzoną przez surfera falą wybaczenia i miłości. Wysoką, stromą, gładko zakręconą falą, która sprawi być może, że zacznę myśleć z sympatią o Claudzie. Ale opieram się jej. Jakie to upokarzające przyjmować z drugiej ręki każdy poryw uczucia matki i być jeszcze bardziej

uwikłanym w jej zbrodnię. Trudno się jednak od niej oddzielić, skoro jej potrzebuję. Przy takim spiętrzeniu emocji potrzeba zmienia się w miłość, podobnie jak mleko w masło.

– O tak, będą musieli pogadać z Elodie – mówi matka słodkim, rozmarzonym tonem. – Wiesz, Claude, że cię kocham.

Lecz on nie bierze sobie tego do serca. Zbyt często to słyszał.

– Chciałbym być tą przysłowiową muchą na ścianie – rzuca.

Jaką przysłowiową muchą, na jakiej ścianie? Kiedy nauczy się mówić tak, by mnie nie torturować? Mówienie to po prostu forma myślenia i musi być dokładnie taki głupi, jak się wydaje.

– Być może znalazłem nam kupca – oznajmia, wychodząc z rozbrzmiewającej echem łazienki i zmieniając temat. – To daleki strzał. Ale opowiem ci później. Czy policjanci zostawili wizytówki? Chciałbym zobaczyć, jak się nazywają.

Ani ja, ani Trudy tego nie pamiętamy. Jej nastrój znowu się zmienia.

– On nie żyje – mówi, utkwiwszy, jak mi się zdaje, wzrok w Claudzie.

To w istocie zadziwiający fakt, wręcz niewiarygodny, przełomowy, jakby wypowiedziana została wojna światowa, premier przemówił do narodu, rodziny zebrały się razem, a światła przygasły z przyczyn, których władze nie chcą ujawnić.

Claude staje blisko niej, kładzie jej rękę na udzie i przyciąga ją do siebie. Całują się długo i głęboko, łącząc języki i oddech.

– Martwy jak kłoda – mruczy jej w usta. Czuję na plecach jego twardego penisa. – Zrobiliśmy to – dodaje szeptem. – Razem. Razem jesteśmy wspaniali.

– Tak – odpowiada Trudy między pocałunkami.

Trudno coś usłyszeć z powodu szelestu ubrań. Jej entuzjazm nie jest chyba tak duży jak jego.

– Kocham cię, Trudy.

– Ja też cię kocham.

Jest coś nieprzekonującego w tym „też”. Kiedy ona nacierała, on się cofał, teraz jest odwrotnie. Na tym polega ich taniec.

– Dotknij mnie.

To niezupełnie rozkaz, bo jego prośba jest cicha. Ona otwiera rozporek. Zbrodnia i seks, seks i poczucie winy. Kolejne dwoistości. Posuwiste ruchy jej palców sprawiają mu przyjemność. Ale niewystarczającą. Claude naciska jej ramiona, ona klęka, pochyla się, „bierze go”, jak słyszałem, że mówią, w usta. Nie wyobrażam sobie, bym sam chciał robić coś takiego. Ale to wielka ulga, że Claude’a udaje się zaspokoić w tak bezpiecznie dużej odległości. Niepokoi mnie tylko, że to, co ona łyka, dotrze do mnie jako składnik odżywczy i trochę mnie do niego upodobni. Z jakiego innego powodu kanibale unikaliby zjadania idiotów?

Kończy się to bardzo szybko, zaledwie głośniejszym sapnięciem. On daje krok w tył i zapina rozporek. Matka przełyka dwa razy. Claude nie oferuje nic w zamian i odnoszę wrażenie, że ona tego nie chce. Mija go, przechodzi przez sypialnię i staje w oknie, plecami do łóżka. Spogląda chyba w stronę mieszkalnych wieżowców. Smutny sen o czekającej mnie tam przyszłości wydaje się bardziej realny.

– On nie żyje… nie żyje – powtarza cicho matka, bardziej do siebie, bo Claude ponownie pluska się w łazience. Nie wydaje się przekonana. – O Boże – mruczy po kilku sekundach.

Drżą jej nogi. Zaraz się rozpłacze, ale nie, sprawa jest zbyt poważna na łzy. Musi dopiero pojąć to, co się stało. Bliźniacze fakty są kolosalne i stoi zbyt blisko, by dostrzec cały podwójny horror: jego śmierć i swój w niej udział.

Nienawidzę jej i jej żalu. Jak mogła odejść od Johna do Claude'a, od poezji do śliniącego się banału? Zejść do wstrętnego chlewu, by tarzać się w brudzie ze swym kochankiem idiotą, leżeć w gównie i ekstazie, zaplanować kradzież domu, zadać potworny ból i upokarzającą śmierć miłemu człowiekowi. A teraz jęczeć i drżeć na myśl o tym, co zrobiła, jakby morderczynią był ktoś inny – jakaś smutna siostra, która uciekła z oddziału zamkniętego, o zatrutym i niezrównoważonym umyśle, brzydka, paląca papierosa za papierosem siostra z ponurymi nawykami, od dawien dawna czarna owca w rodzinie, nad którą będzie teraz wzdychać: „O Boże" i szeptać z rewerencją imię mojego ojca. Tak właśnie gładko przechodzi, tego samego dnia i bez rumieńca wstydu, od rzezi do użalania się nad sobą.

Claude staje za nią. Dłonie, które ponownie kładzie jej na ramionach, są dłońmi mężczyzny dopiero co wyzwolonego przez orgazm, mężczyzny pragnącego zająć się sprawami praktycznymi i spekulacjami trudnymi do ogarnięcia, gdy ma się umysł zamroczony erekcją.

– Wiesz co? Czytałem o tym kilka dni temu. I teraz sobie uświadomiłem. To jest to, czego powinniśmy użyć. Difenhydramina. Rodzaj leku przeciwhistaminowego. Mówią, że Rosjanie użyli jej wobec tego szpiega, którego schowali w sportowej torbie. Wlali mu to do ucha. Przed wyjściem podkręcili kaloryfery, żeby chemikalia rozpuściły się bez śladu w jego tkankach. Zostawili torbę w wannie, nie chcieli, żeby płyny przeciekły do sąsiadów piętro niżej…

– Przestań. – Trudy nie mówi tego ostrym tonem. Raczej zrezygnowanym.

– Święta racja. Co za dużo, to niezdrowo. Zresztą i tak nam się udało. – Claude nuci urywek piosenki: – *Mówili mu, że spartaczył, że takie byle co, ale się uuudało*.

Klepki podłogi uginają się pod stopami Trudy. Claude wykonuje krótki taniec.

Matka nie obraca się, stoi zupełnie nieruchomo. Nienawidzi go tak samo mocno, jak ja jej przed chwilą nienawidziłem. Claude staje obok niej, chcąc

zobaczyć to, co ona widzi, i próbując wziąć ją za rękę.

– Chodzi o to – mówi z namaszczeniem. – Będą z nami rozmawiać oddzielnie. Powinniśmy uzgodnić nasze wersje. Więc. Przyszedł dziś rano. Na kawę. Bardzo przygnębiony.

– Powiedziałam, że się pokłóciliśmy.

– Dobrze. Kiedy?

– Tuż przed jego wyjściem.

– O co?

– Chciał, żebym się wyprowadziła.

– Dobrze. Więc. Przyszedł dziś rano. Na kawę. Bardzo przygnębiony i…

Trudy wzdycha, ja też bym to zrobił.

– Słuchaj. Opowiedz wszystko, jak było, minus smoothies, plus kłótnia. Nie trzeba tego przerabiać.

– Dobrze. Dziś wieczór. Dziś wieczór wyrzucę kubki i resztę. W trzech różnych miejscach. Jeszcze jedno. Przez cały czas miał na dłoniach rękawiczki.

– Wiem.

– I kiedy będziesz sprzątała kuchnię, nie może zostać ani jeden atom po smoo…

– Wiem.

Claude odwraca się i zaczyna chodzić po pokoju. Ma poczucie sukcesu, jest niespokojny, podminowany, podniecony. To, że ona nie podziela jego uczuć, niecierpliwi go. Są rzeczy do zrobienia, a jeśli nie, to rzeczy do zaplanowania. Chce wyjść. Ale dokąd? Na pół mruczy, na pół śpiewa coś nowego: *Mała, mała, kocham cię*... Nie dodaje mi to otuchy. Znowu do nas wraca. Matka stoi dalej sztywno przy oknie, lecz on nie wyczuwa niebezpieczeństwa.

– Co do sprzedaży – mówi, przestając nucić. – W głębi serca zawsze wiedziałem, że jeśli będziemy chcieli szybko ją sfinalizować, możemy dostać cenę niższą od rynkowej…

– Claude.

Matka dzieli jego imię na dwa półtony, drugi niższy od pierwszego. To ostrzeżenie.

Lecz on wcale nie przerywa. Nigdy nie widziałem go szczęśliwszego i bardziej antypatycznego.

– Ten facet to budowlaniec, deweloper. Nie musi nawet oglądać domu. Najważniejsza jest dla niego powierzchnia mieszkalna. Mieszkania, rozumiesz. I płaci gotówką.

Matka odwraca się.

– Czy ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy?

– Z czego?

– Jesteś naprawdę taki niewiarygodnie głupi?

Celne pytanie. Ale nastrój Claude'a też się zmienia. Czasami w jego głosie brzmi groźba.

– No więc słucham.

– To umknęło twojej uwadze.

– Najwyraźniej.

– Dzisiaj, zaledwie kilka godzin temu.

– Tak?

– Straciłam męża…

– Nie mów!

– Mężczyznę, którego kiedyś kochałam i który kochał mnie. Który ukształtował moje życie, nadał mu znaczenie… – Zwierające się w gardle ścięgna nie pozwalają jej powiedzieć nic więcej.

Ale Claude nie zamierza tak tego zostawić.

– Moja kochana mała myszko, to straszne. Straciłaś go, powiadasz. Gdzie go ostatnio położyłaś? Gdzie go ostatnio widziałaś? Musiał się gdzieś zachachmęcić.

– Przestań!

– Straciłaś! Daj mi pomyśleć. Już wiem! Przypomniałem sobie. Zostawiłaś go na M1, na skraju jezdni, leżącego na trawie i naszpikowanego trucizną. Zabawne, że o tym zapomnieliśmy.

Mógłby tak długo perorować, ale Trudy odwraca się i wali go w twarz. To nie jest policzek wymierzony przez damę, ale cios zaciśniętą pięścią, od którego głowa podskakuje mi do góry.

– Jest w tobie sama złość – mówi ze zdumiewającym spokojem. – Zawsze byłeś o niego zazdrosny.

– No, no – odpowiada Claude trochę tylko schrypniętym głosem. – Oto naga prawda.

– Nienawidziłeś brata, bo nigdy nie mogłeś stać się mężczyzną, jakim on był.

– Podczas gdy ty kochałaś go do samego końca. – Claude znów udaje zdziwienie. – A cóż to była za niesamowicie cwana rzecz, którą ktoś powiedział mi wczoraj, a może to było przedwczoraj? „Chcę, żeby zdechł. I to musi być jutro". Chyba nie kochająca żona mojego brata, który ukształtował jej życie.

– Upiłeś mnie. Tylko to potrafisz robić.

– A nazajutrz rano któż to zaproponował toast za miłość, mamiąc człowieka, który ukształtował jej życie, żeby wychylił puchar z trucizną? Na pewno nie kochająca żona mojego brata. I na pewno nie moja kochana myszka.

Rozumiem matkę, znam jej serce. Mierzy się z faktami tak, jak je widzi. Zbrodnia, niegdyś sekwencja planów i ich realizacji, jawi jej się teraz jako obiekt, nieruchomy, oskarżycielski posąg z zimnego kamienia, stojący na leśnej polanie. Jest surowa zimowa noc, księżyc w nowiu, i Trudy oddala się zaszronioną leśną ścieżką. Odwraca się, by spojrzeć na przesłoniętą gołymi konarami i strzępami

mgły daleką postać, i widzi, że zbrodnia, o której myśli, nie jest wcale zbrodnią. To pomyłka. To zawsze była pomyłka. Podejrzewała to od początku. Im bardziej się oddala, tym wyraźniej to widzi. Po prostu się pomyliła, nie jest zła i nie jest kryminalistką. Zbrodnia musi być gdzie indziej w lesie, musi należeć do kogoś innego. Nie sposób zaprzeczyć faktom, które wskazują na zasadniczą winę Claude'a. Drwiący ton nic mu nie pomoże. Stanowi dowód jego winy.

A mimo to. Mimo to. Mimo to rozpaczliwie go potrzebuje. Za każdym razem, gdy nazywa ją swoją myszką, w jej krocze wkrada się zygzak dreszczu, zimny skurcz, haczykowaty sopel ciągnący ją w dół, na wąską półkę skalną, i przypominający o otchłaniach, w które osuwała się już wcześniej, o beczkach śmierci, które zbyt często udawało jej się przeżyć. Jego myszka! Cóż za upokorzenie. Mieszcząca się na jego dłoni. Zwierzątko. Bezsilne. Przestraszone. Godne pogardy. Łatwe do zastąpienia. Och, być jego myszką! Tak trudno się temu oprzeć. Czy zdoła z tym walczyć?

Jest kobietą czy myszką?

Trzynaście

Po drwinach Claude'a następuje cisza, której nie potrafię rozgryźć. Może pożałował swojego sarkazmu, a może wścieka się, że tak twardo został sprowadzony na ziemię. Ona też może być wściekła, ale może też chcieć stać się z powrotem jego myszką. Rozważam te możliwości, kiedy odchodzi od niej, siada na skraju rozbebeszonego łóżka i zaczyna stukać w telefon. Ona zostaje przy oknie, odwrócona plecami do pokoju, mając przed sobą swój kawałek Londynu, zamierający wieczorny ruch, rozproszone ćwierkanie ptaków, romby letnich chmur i chaos dachów.

Kiedy się w końcu odzywa, jej ton jest nadąsany i kategoryczny.

– Nie sprzedam tego domu, żebyś ty mógł się wzbogacić.

Jego odpowiedź pada natychmiast. Tym samym uszczypliwym drwiącym głosem.

– Nie, nie. Będziemy bogaci razem. Albo, jeśli wolisz, biedni w dwóch różnych więzieniach.

To zawoalowana groźba. Czy Trudy może uwierzyć, że on pogrąży ich oboje? Negatywny altruizm. Na złość matuli niech mi uszy zmarzną. Jaka będzie jej odpowiedź? Mam czas to przemyśleć, bo jeszcze jej nie udzieliła. Rzekłbym, że jest lekko zszokowana próbą szantażu. Logiczne byłoby, gdyby zasugerowała to samo. W teorii mają nad sobą równą władzę. Wyjdź z tego domu i nigdy nie wracaj. Albo doniosę na nas oboje policji. Lecz nawet ja wiem, że miłość nie kieruje się logiką; i że władza nigdy nie jest równo podzielona. Kochankowie przybywają na pierwszą schadzkę z bliznami, a także z pragnieniami. Nie zawsze szukają przewagi. Niektórzy potrzebują schronienia, innym zależy na hiperrealności ekstazy, w imię czego gotowi są opowiadać najgorsze kłamstwa lub irracjonalnie się poświęcać. Ale rzadko pytają się wzajemnie, czego potrzebują lub chcą. Nie pamiętają zbyt dobrze minionych klęsk. Przez dorosłą skórę prześwituje dzieciństwo, co może być przydatne, ale nie musi. Podobnie jak prawa dziedziczenia, które krępują osobowość. Kochankowie nie wiedzą, że nie istnieje wolna wola. Nie wysłuchałem dość wykładów, by wiedzieć coś więcej, jednak piosenki nauczyły mnie, że w grudniu nie czują tego, co czuli w maju, że posiadanie łona może być czymś niepojętym dla tych, co go nie mają, i że równie prawdziwa jest odwrotna sytuacja.

Trudy obraca się twarzą do pokoju. Jej cichy nieobecny głos przejmuje mnie lękiem.

– Boję się.

Zdaje już sobie sprawę, że mimo pierwszych oznak sukcesu ich plany spaliły na panewce. Drży. Przekonywanie się o własnej niewinności nie odniosło skutku. Możliwość konfliktu z Claude'em uświadomiła jej, jak bardzo samotna może się

okazać jej niezależność. Jego upodobanie do sarkazmu jest dla niej nowe, przeraża ją i dezorientuje. Poza tym pragnie go, chociaż jego głos, jego dotyk i jego pocałunki są skażone tym, co zrobili. Śmierć mojego ojca nie będzie czymś zamkniętym, wyrwała się z kostnicy, gdzie leżał na stole sekcyjnym lub w szufladzie z nierdzewnej stali, i unosi się w wieczornym powietrzu nad północną obwodnicą i tymi samymi dachami północnego Londynu. Jest teraz w pokoju, na jej włosach, jej rękach i na twarzy Claude'a – podświetlonej masce obojętności, którą zwrócił ku trzymanej w dłoni komórce.

– Posłuchaj tego – mówi w poetyce niedzielnego śniadania. – Z lokalnej gazety. Jutrzejszej. Na twardym poboczu M1, między węzłami takim a takim, zauważono ciało mężczyzny. Służby awaryjne otrzymały tysiąc dwieście telefonów od przejeżdżających kierowców. I tak dalej. Mężczyznę, po przywiezieniu do szpitala, uznano za zmarłego, potwierdza rzeczniczka policji. I tak dalej. Nie znamy jeszcze jego nazwiska… I tu jest najważniejsze: „Na tym etapie policja nie podejrzewa, by zgon był wynikiem przestępstwa".

– Na tym etapie – mruczy Trudy i nagle podnosi głos. – Ale ty nadal nie rozumiesz, co chcę…

– To znaczy?

– On nie żyje. Nie żyje. To takie… I… – Teraz zaczyna płakać. – I to boli.

Claude stara się zachować rozsądek.

– Rozumiem więc, że najpierw chciałaś jego śmierci, a teraz…

– O, John! – woła Trudy.

– Wystarczy, że napniemy tylko cięciwę odwagi czy jak to leci u Szekspira. I będziemy się tego trzymać.

– Zrobiliśmy… zrobiliśmy… straszną rzecz – mówi ona, zapominając, że traci w ten sposób swoją niewinność.

– Zwykli ludzie nie mieliby jaj, żeby zrobić to, co zrobiliśmy. O, tu jest kolejny kawałek. Z „Luton Herald and Post". „Wczoraj rano…"

– Nie! Przestań!

– Dobrze. Dobrze. Zresztą i tak piszą to samo.

Teraz wzbiera w niej oburzenie.

– Piszą „martwy mężczyzna" i to dla nich puste słowa. Wystukane na komputerze. Nie mają pojęcia, co to znaczy.

– Ale mają rację. Tak się składa, że to wiem. W ciągu jednej minuty na całym świecie umiera sto pięć osób. Prawie dwie na sekundę. Mówię to, żebyś spojrzała z szerszej perspektywy.

Mijają dwie sekundy, w trakcie których Trudy to przetrawia. A potem zaczyna się śmiać, niechcianym, pozbawionym wesołości śmiechem, który zmienia się w łkanie.

– Nienawidzę cię – udaje jej się w końcu wykrztusić.

Claude podchodzi bliżej, kładzie jej rękę na ramieniu i mruczy do ucha:

– Nienawidzisz? Nie podniecaj mnie, bo znów mi stanie.

Właściwie to się już dzieje.

– Proszę. Nie. Claude – mówi przez łzy Trudy między jego pocałunkami. Nie odwraca się ani go nie odpycha. Jego palce są pod moją głową i powoli się poruszają. – O, nie – szepcze, przysuwając się do niego bliżej. – O, nie.

Smutek i seks? Mogę tylko teoretyzować. Systemy obronne słabną, tkanki miękkie miękną jeszcze bardziej, emocjonalny opór w słonym osamotnieniu ustępuje dziecinnej ufności. Mam nadzieję, że nigdy nie przekonam się o tym na własnej skórze.

Claude zaciąga ją do łóżka, rozpina sandały, rozbiera z bawełnianej letniej sukienki i znowu nazywa swoją myszką, choć tylko raz. Kładzie ją na plecach. Zgodę nie jest łatwo rozpoznać. Czy pogrążona w żalu kobieta udziela jej, kiedy podnosi pupę, żeby można było jej zdjąć majtki? Moim zdaniem nie. Obróciła się na bok – to jedno zrobiła z własnej inicjatywy. Ja tymczasem zaczynam realizować plan, który jest moim gestem rozpaczy, ostatnią deską ratunku.

On klęczy przy niej, prawdopodobnie nagi. Co może być gorszego w tej sytuacji? Claude szybko prezentuje odpowiedź: wysokie ryzyko medyczne, na tym etapie ciąży, pozycji misjonarskiej. Wydając stłumionym głosem rozkaz, obraca ją na plecy, rozchyla jej nogi obojętnym trzepnięciem dłoni i ma zamiar, co poznaję po jęku materaca, przygnieść mnie swoim ciężarem.

Jaki mam plan? Claude przebija się ku mnie i muszę się pospieszyć. Kołyszemy się i dygoczemy pod wielkim naciskiem. W uszach wyje mi wysoki elektroniczny dźwięk, oczy wychodzą z orbit i szczypią. Muszę użyć rąk i dłoni, ale mam tak mało miejsca. Powiem wprost: zamierzam się zabić. Śmierć dziecka, właściwie zabójstwo, będące skutkiem bezwzględnej napaści mego stryja na kobietę w końcowej fazie trzeciego trymestru ciąży. Jego aresztowanie, proces, wyrok, wtrącenie do celi. Śmierć mego ojca choć w części zostanie pomszczona. W części, bo w łagodnej Wielkiej Brytanii nie wieszają morderców. Dam Claude'owi właściwą lekcję negatywnego altruizmu. Żeby odebrać sobie życie, będę potrzebował pępowiny, którą owinę trzy razy wokół szyi w śmiertelnym uścisku. Słyszę dobiegające z daleka sapanie matki. Zmyślone samobójstwo ojca zainspiruje mnie do własnej próby samobójczej. Życie imituje sztukę. Urodzić się martwym – to ma w sobie prosty powab. Tymczasem zaczyna się walenie o moją czaszkę. Claude rozpędza się, teraz przechodzi w galop, chrapliwie łapiąc powietrze. Mój świat trzęsie się w posadach, ale stryczek jest już na miejscu, zaciskam na nim obie ręce, ciągnę mocno w dół, wygięty do tyłu, z zawziętością dzwonnika. Jakie to łatwe. Śliski węzeł zaciska się na tętnicy szyjnej wspólnej, głównej arterii ukochanej przez podrzynaczy gardeł. Jestem w stanie to zrobić. Mocniej! Wrażenie chwiania się i wywracania, dźwięku stającego się smakiem,

dotyku stającego się dźwiękiem. Ogarnia mnie czerń, czarniejsza od wszystkiego, co dotąd widziałem. Matka mruczy słowa pożegnania.

Lecz, oczywiście, zabijając umysł, zabijamy wolę zabicia umysłu. Kiedy tylko zaczynam tracić przytomność, słabną mi ręce i wraca życie. I natychmiast słyszę odgłosy krzepkiego życia dookoła – intymne dźwięki niczym zza ściany taniego hotelu. Coraz głośniejsze i głośniejsze. To moja matka. Teraz jej kolej, teraz ona funduje sobie szybką jazdę.

Ale ściany mojej własnej więziennej beczki śmierci są zbyt wysokie. Spadam z powrotem na spacerniak kretyńskiej egzystencji.

Claude unosi w końcu swój odrażający ciężar – jestem mu wdzięczny za brutalną zwięzłość – a ja odzyskuję należne mi miejsce, choć ścierpły mi nogi i czuję na nich mrówki. Dochodzę do siebie, a Trudy pada na łóżko, nieprzytomna z wyczerpania, nękana tymi samymi co zawsze wyrzutami sumienia.

* * *

To nie tematycznych parków Paradiso i Inferno obawiam się najbardziej – niebiańskich przejażdżek, piekielnych tabunów – i przeżyłbym pewnie afront wiecznego zapomnienia. Czego się boję? Że coś mnie ominie. Ze zdrowego pożądania albo zwykłej chciwości chcę najpierw zakosztować życia, tego, co mi się należy, mojego nieskończenie małego kawałka czasu i jedynej uczciwej szansy na świadomość. Mam prawo do kilku dekad, by spróbować szczęścia na wirującej swobodnie planecie. To jest moja jazda – moja beczka życia. Chcę swojej kolejki. Chcę się stać. Innymi słowy, jest pewna książka, którą chcę przeczytać, jeszcze niewydana, jeszcze nienapisana, choć początek został nakreślony. Chcę doczytać do końca *Moją historię dwudziestego pierwszego wieku*. Chcę tam być, na ostatniej stronie, osiemdziesięcioparoletni, wątły, ale dziarski, tańczący gigę w wieczór trzydziestego pierwszego grudnia 2099 roku.

Może się to skończyć przed tą datą, więc jest to swego rodzaju thriller, sensacyjny, obfitujący w przemoc, bardzo komercyjny. Kompendium snów z elementami horroru. Ale musi to być również love story i heroiczna opowieść o genialnej inwencji. Dla przedsmaku przyjrzyjcie się prequelowi, obejmującemu poprzednie stulecie. Ponura lektura, przynajmniej do połowy, ale też wciągająca. Kilka rozdziałów, które ratują całość, na temat, powiedzmy, Einsteina i Strawińskiego. W tej nowej książce jednym z wielu nierozstrzygniętych wątków jest na przykład to, czy jej dziewięć miliardów bohaterów przetrwa bez wymiany nuklearnych uderzeń. Wyobraźcie to sobie jako sport kontaktowy. Ustawcie drużyny. Indie przeciwko Pakistanowi, Iran przeciwko Arabii Saudyjskiej, Izrael przeciwko Iranowi, Stany Zjednoczone przeciwko Chinom, Rosja przeciwko Stanom Zjednoczonym, Korea Północna przeciwko całej reszcie. Żeby podnieść stawkę, dodajcie kolejne drużyny: graczy pozapaństwowych.

Jak bardzo zdeterminowani są nasi bohaterowie, by doprowadzić do przegrzania domowego ogniska? Miły wzrost o 1,6 stopnia, prognoza lub nadzieja nielicznych sceptyków, ozłoci tundrę łanami pszenicy, na bałtyckich plażach wyczaruje tawerny, na Terytoriach Północno-Zachodnich barwne motyle. Wydarte wichrem pesymistyczne cztery stopnie zapowiadają klęski powodzi i suszy oraz mroczny polityczny klimat powszechnego zamętu. A także kolejne narracyjne napięcia w lokalnych wątkach pobocznych: czy Bliski Wschód nadal będzie trawiony gorączką czy też przeniesie się do Europy i na dobre ją odmieni? Czy islamowi uda się zanurzyć zajadły ekstremizm w stygnącej sadzawce reformacji? Czy Izrael odda kilka centymetrów pustyni tym, których wysiedlił? W obliczu starych nienawiści, miniaturowego nacjonalizmu, finansowej katastrofy i niezgody mogą lec w gruzach świeckie marzenia Europy o unii. Albo też utrzyma się na kursie. Muszę to wiedzieć. Czy Stany Zjednoczone upadną w ciszy i spokoju? Mało prawdopodobne. Czy w Chinach zbudzi się sumienie, czy zbudzi się w Rosji? W globalnych finansach i korporacjach? Dołączmy do tego ponętne ludzkie wartości stałe: cały seks i sztukę, wino i naukę, katedry, krajobraz, wyższe poszukiwanie sensu. Na koniec prywatny ocean pragnień – w moich widzę się boso na plaży, przy muzyce, płonącym ognisku, grillowanej rybie z sokiem z cytryny, w towarzystwie przyjaciół, kogoś, nie Trudy, kto by mnie kochał. Prawa, które przysługują mi z urodzenia, zawarte w książce.

Dlatego wstydzę się swojej próby i czuję ulgę, że mi się nie udało. Claude'a (który nuci teraz głośno w rozbrzmiewającej echem łazience) trzeba będzie załatwić w inny sposób.

Od chwili, gdy rozebrał moją matkę, minęło zaledwie piętnaście minut. Wyczuwam, że wchodzimy w nową fazę wieczoru. Przez dźwięk płynącej wody słychać jego wołanie. Jest głodny. Wierzę, że teraz, gdy uspokoił się jej puls i ma za sobą poniżający epizod, Trudy wróci do tematu swojej niewinności. Gadanie Claude'a o obiedzie musi jej się wydać niestosowne. Nawet bezduszne. Siada, naciąga sukienkę, znajduje w pościeli swoje majtki, zakłada sandały i podchodzi do lustra przy toaletce. Zaczyna zaplatać włosy, nieuczesane teraz i opadające w puklach, które opiewał kiedyś w wierszu jej mąż. To daje jej czas, by dojść do siebie i zastanowić się. Skorzysta z łazienki, kiedy Claude już stamtąd wyjdzie. Myśl, że znajdzie się obok niego, teraz ją mierzi.

Odraza przywraca jej poczucie czystości i celowości. Wiele godzin temu to ona rządziła. Może znów zacząć rządzić, jeśli tylko oprze się kolejnej mdlącej fali uległości. Czuje się teraz dobrze, jest odświeżona, zaspokojona i uodporniona, ale ta mała bestyjka, która może ponownie przeobrazić się w bestię, czeka na nią, gotowa w każdej chwili zakłócić tok jej myśli, zdegradować ją – i znów będzie należeć do Claude'a. Jeśli jednak obejmie dowodzenie… Myślę o tym, co dzieje się w tej ślicznej główce, kiedy przechyla ją przed lustrem, by zapleść kolejny

warkoczyk. Wydawanie poleceń tak, jak to robiła rano w kuchni, wymyślanie następnego kroku będzie przyznaniem się do przestępstwa. Gdyby tylko mogła się ograniczyć do przykładnego smutku dotkniętej nieszczęściem wdowy.

Na razie czekają ją praktyczne zadania. Wszystkie skażone utensylia, plastikowe kubki i sam blender muszą być wyrzucone daleko od domu. Z kuchni muszą zniknąć wszelkie ślady. Na stole mogą pozostać tylko nieumyte kubki po kawie. Te banalne czynności przez godzinę oddalą od niej cały horror. Może dlatego opiera krzepiącą dłoń na wzgórku, w którym jestem, niedaleko moich pośladków. To pełen miłości gest nadziei na wspólną przyszłość. Jak mogła myśleć o tym, by mnie oddać? Będę jej potrzebny. Rozjaśnię półcienie niewinności i tragizmu, którymi chce się otoczyć. Matka z dzieckiem – pewna wielka religia wysnuła swoje najlepsze opowieści z tego potężnego symbolu. Siedząc na jej kolanie i wskazując niebo, nie pozwolę jej oskarżyć. Z drugiej strony – jak ja nienawidzę tej frazy – nie poczyniono żadnych przygotowań na moje przyjście, nie ma żadnych ubranek, żadnych mebli, żadnego kompulsywnego wicia gniazda. Nigdy świadomie nie byłem w żadnym sklepie z moją matką. Przepojona miłością przyszłość jest ułudą.

Claude wyłania się z łazienki i zmierza w stronę telefonu. Myśli o jedzeniu, o hinduskich daniach na wynos, tak przynajmniej mruczy. Trudy obchodzi go szerokim łukiem i zaczyna własne ablucje. Kiedy wracamy, on nadal pochyla się nad telefonem. Zrezygnował z dań hinduskich na rzecz duńskich – kanapek z marynowanym śledziem i pieczenią. Zamawia zbyt dużo, co jest czymś naturalnym po dokonaniu morderstwa. Kiedy się w końcu rozłącza, Trudy jest gotowa, z zaplecionymi warkoczykami, umyta, w czystej bieliźnie, nowej sukience, butach zamiast sandałków, skropiona perfumami. Przejmuje dowodzenie.

– W składziku pod schodami jest stara brezentowa torba.

– Najpierw coś zjem. Konam z głodu.

– Zrób to teraz. Mogą się zjawić w każdej chwili.

– Zrobię to po swojemu.

– Zrobisz, co ci…

Czy naprawdę miała zamiar powiedzieć „każę”? Jaki dystans pokonała, traktując go niczym dziecko, podczas gdy jeszcze przed chwilą była jego zwierzątkiem. Mógłby ją zignorować. Mogłoby dojść do kłótni. Zamiast tego jednak on podnosi słuchawkę. To nie są Duńczycy potwierdzający przyjęcie zamówienia, to nie jest nawet ten sam aparat. Matka podchodzi, żeby zerknąć. To nie telefon stacjonarny, lecz wideofon. Wpatrują się ze zdumieniem w ekran. Dobiegający z głośnika głos jest zniekształcony, pozbawiony niższych rejestrów. Słyszymy piskliwą, przeszywającą prośbę.

– Proszę. Muszę się z wami zobaczyć!

– O Boże – mówi z oczywistym niesmakiem matka. – Nie teraz.

Lecz Claude, nadal poirytowany tym, że mu rozkazywała, ma okazję potwierdzić swoją autonomię. Wciska guzik, odwiesza słuchawkę i na moment zapada cisza. Nie mają sobie nic do powiedzenia. Albo mają za dużo.

A potem ruszamy wszyscy na dół, by powitać sowią poetkę.

Czternaście

Kiedy schodzimy po schodach, mam czas zadumać się znowu nad swym jakże fortunnym brakiem zdecydowania, nad samorozluźniającą się pętlą samodusiciela. Pewne przedsięwzięcia są skazane na porażkę od samego początku, nie przez tchórzostwo, lecz z samej ich natury. W 1912 roku Franz Reichelt, Latający Krawiec, zabił się, skacząc z wieży Eiffla w płaszczu-spadochronie, pewien, że jego wynalazek uratuje życie wielu lotnikom. Przez czterdzieści sekund zwlekał, nim skoczył. Kiedy w końcu pochylił się do przodu i dał krok w otchłań, podmuch z dołu owinął go ciasno tkaniną i Franz runął w dół niczym kamień. Fakty i matematyka były przeciwko niemu. Uderzając u stóp wieży w zmarzniętą paryską ziemię, wykopał sobie w niej głęboki na piętnaście centymetrów grób.

Co poprzez śmierć prowadzi mnie – podczas gdy Trudy powoli zawraca na podeście pierwszego piętra – do tematu zemsty. Rzecz się rozjaśnia i odczuwam ulgę. Zemsta: impuls, który jest instynktowny, potężny… i wybaczalny. Ktoś, kogo obrażono, wystawiono do wiatru, okaleczono, nie może się oprzeć powabowi mściwych myśli. A tutaj, w tej ekstremalnej sytuacji, gdy zamordowano kogoś bliskiego, fantazje są nieokiełznane. Jesteśmy uspołecznieni; kiedyś trzymaliśmy się wzajemnie w szachu, stosując przemoc albo jej groźbę, niczym psy w stadzie. Zrodziliśmy się, by napawać się tym oczekiwaniem. Po cóż nam wyobraźnia jak nie po to, by odgrywać, powtarzać i hołubić w sobie krwawe możliwości? Zemstę można wyegzekwować po stokroć w ciągu jednej bezsennej nocy. Ten impuls, ta marzycielska intencja jest ludzka, normalna, i powinniśmy ją sobie wybaczyć.

Ale podniesiona ręka, rzeczywisty akt przemocy, wiedzie do zguby. Wynika to z czystej matematyki. Nie będzie powrotu do status quo ante, nie będzie balsamu ani słodkiej ulgi, w każdym razie takiej, która potrwałaby dłużej. Będzie wyłącznie druga zbrodnia. Zanim wkroczysz na drogę zemsty, wykop dwa groby, powiedział Konfucjusz. Zemsta rozpruwa cywilizację. To powrót do ciągłego, instynktownego strachu. Spójrzcie na nieszczęsnych Albańczyków, chronicznie zastraszanych przez *kanun*, ich idiotyczny kult krwawych porachunków.

Dlatego, zanim jeszcze dotarliśmy na podest przy bibliotece mojego drogiego ojca, rozgrzeszyłem się, nie z myśli, lecz z czynów, którymi miałbym pomścić jego śmierć w tym lub następnym, postnatalnym życiu. I rozgrzeszam się z tchórzostwa. Eliminacja Claude'a nie przywróci życia mojemu ojcu. Wydłużam czterdziestosekundowe wahanie Reichelta na całe życie. Żadnego pochopnego działania. Gdyby udało mi się z pępowiną, to ją, nie Claude'a, uznałby za przyczynę każdy patolog. Nieszczęśliwy wypadek, zanotowałby, i wcale nie taki rzadki. Matka i stryj niezasłużenie odetchnęliby z ulgą.

Jeśli zejście po kilkunastu stopniach pozwala na tak długie rozważania, to dlatego, że Trudy pokonuje je w tempie najwolniejszego leniwca. Choć raz jej dłoń

ściska mocno balustradę. Schodzi po jednym stopniu, na niektórych przystaje, zastanawia się, wzdycha. Wiem, jak się sprawy mają. Gość opóźni niezbędne domowe porządki. Może wrócić policja. Trudy nie jest w nastroju na sceny zazdrości. Jest też kwestia pierwszeństwa. Została pominięta przy identyfikacji ciała – to boli. Elodie to tylko niedawna kochanka. Choć może nie tak niedawna. Mogła się pojawić jeszcze przed wyprowadzką do Shoreditch. To kolejna otwarta rana, którą trzeba opatrzyć. Ale po co tutaj przyszła? Nie żeby szukać bądź udzielić pociechy. Może o czymś wie albo posiada jakiś obciążający dowód. Mogłaby rzucić Trudy i Claude'a na pożarcie psom. Albo chodzi o szantaż. Lub chce omówić szczegóły pogrzebu. Nie, nic z tych rzeczy. Nie, nie! Matka musi się uporać z tyloma zaprzeczeniami. Jakie to dla niej wyczerpujące, żeby na domiar wszystkiego (kaca, morderstwa, wycieńczającego seksu, zaawansowanej ciąży) musiała jeszcze zmobilizować się i potraktować gościa ze stosowną nienawiścią.

Lecz jest zdeterminowana. Warkoczyki skrywają szczelnie jej myśli przed wszystkimi oprócz mnie i ma na sobie świeżą bieliznę – jak wyczuwam, bawełnianą, nie jedwabną – oraz krótką letnią sukienkę, odpowiednio luźną, ale nie nazbyt obszerną. Jej gołe różowe ramiona i nogi, pomalowane na fioletowo paznokcie stóp i pełna, niepodważalna uroda mają budzić i budzą onieśmielenie. Wygląda niczym okręt liniowy w pełnym, choć oszczędnym ożaglowaniu, z opuszczonymi klapami dział. Wojenna fregata, w której ja jestem sterczącą dumnie figurą dziobową. Płynąca powoli, lecz nieubłaganie. Stawi czoło wszystkiemu, co ją czeka.

Kiedy docieramy do holu, już się zaczęło. I to źle. Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły. Elodie jest w środku, w ramionach Claude'a.

– Tak, tak. No już, no już – pomrukuje ten między jej łzawymi, urwanymi zdaniami.

– Nie powinnam. To niewłaściwe. Ale ja. Tak mi przykro. Czym to musi być. Dla ciebie. Nie mogę. Twój brat. Nie mogę na to nic poradzić.

Matka staje u stóp schodów, sztywniejąc nieufnie nie tylko na widok gościa. A więc poetka jest w rozpaczy.

Elodie nie zdaje sobie jeszcze sprawy z naszej obecności. Twarz musi mieć zwróconą ku drzwiom. Wiadomość, którą chce przekazać, dociera do nas w rozszlochanym rytmie staccato.

– Jutro wieczorem. Pięćdziesięciu poetów. Z całego. Och, jak my go kochaliśmy! Wieczór poezji. W Bethnal Green. W bibliotece. Albo na zewnątrz. Przy świecach. Każdy przeczyta jeden wiersz. Tak bardzo chcielibyśmy, żebyś tam był.

Elodie przerywa, by wydmuchać nos. Żeby to zrobić, musi się wyzwolić z objęć Claude'a i dostrzega Trudy.

– Pięćdziesięciu poetów – powtarza bezradnie Claude. Czy może być dla

niego coś bardziej odrażającego? – To dużo.

Elodie udaje się prawie opanować łkanie, ale tragizm jej własnych słów budzi je ponownie.

– O, witaj Trudy. Tak bardzo, tak bardzo mi przykro. Gdybyś ty albo. Mogli powiedzieć kilka. Ale zrozumiemy. Jeśli nie. Jeśli nie możecie. To takie trudne.

Elodie zatraca się w smutku, jej szloch przechodzi w rodzaj gruchania. Próbuje nas przeprosić i w końcu słyszymy:

– W porównaniu z tym co ty. Tak mi przykro! Nie mam prawa.

Święta racja, tak to w każdym razie widzi Trudy. Znowu pominięta. Wyprzedzona w smutku i rozpaczy, stoi nieruchomo przy schodach. Tu, w holu, w którym na pewno unosi się jeszcze odór śmieci, jesteśmy zmarginalizowani. W odstawce. Słuchamy Elodie i mijają kolejne sekundy. Co teraz? Claude ma gotową odpowiedź.

– Chodźmy na dół. W lodówce jest Pouilly-Fumé.

– Ja nie. Przyszłam tylko, żeby.

– Tędy.

Kiedy Claude prowadzi ją obok matki, kochankowie muszą wymienić spojrzenia – na jej niemą wymówkę on odpowiada wzruszeniem ramion. W chwili gdy dzieli je tylko kilka centymetrów, dwie kobiety nie obejmują się ani nawet nie dotykają i nie mówią do siebie słowa. Trudy czeka, aż się nieco oddalą, i dopiero wówczas rusza za nimi do kuchni, gdzie pośród chaosu ukrywają się w substancjalnych śladach dwaj oskarżyciele, glikol oraz smoothie z Judd Street.

– Jeśli chcesz – mówi matka, stąpając po lepiących się klepkach podłogi – Claude na pewno zrobi ci sandwicza.

Ta niewinna propozycja kryje w sobie wiele kolców: jest niezbyt stosowna w tych okolicznościach; Claude nigdy w życiu nie zrobił sandwicza; w domu nie ma chleba; a nawet gdyby był, między kromkami nie znalazłoby się nic poza pyłem z solonych orzeszków. Kto by zresztą odważył się w takiej kuchni zjeść sandwicza? Trudy celowo nie proponuje, że zrobi go sama. Celowo łączy ze sobą Elodie i Claude'a, stając z boku. To oskarżenie, odrzucenie i wycofanie się, opakowane w gest gościnności. Choć nie pochwalam, budzi we mnie podziw. Tego rodzaju wyrafinowania człowiek nie nauczy się z podcastów.

Wrogość Trudy ma zbawienny wpływ na składnię Elodie.

– Nie zdołałabym niczego zjeść, dziękuję.

– Ale możesz się czegoś napić – zauważa Claude.

– Mogę.

Teraz następuje znajoma sekwencja odgłosów – drzwi lodówki, beztroski brzęk butelki, donośnie wyciągany korek, obmywane pod kranem wczorajsze kieliszki. Pouilly. Oddzielone tylko rzeką od Sancerre. Czemu nie? Dochodzi wpół do ósmej. W kolejny gorący i duszny londyński wieczór powinny nas

usatysfakcjonować te pokryte mgiełką szarego nalotu drobne grona. Ale ja chcę czegoś więcej. Mam wrażenie, jakbyśmy – Trudy i ja – nie jedli od tygodnia. Zachęcony telefonicznym zamówieniem Claude'a pragnę, w charakterze akompaniamentu, przeoczonego staroświeckiego dania, *harengs pommes à l'huile*. Śliski wędzony śledź, woskowożółte młode ziemniaczki, oliwa z pierwszego tłoczenia, cebulka, siekana natka pietruszki – marzę o takiej przekąsce. Jakim eleganckim jej dopełnieniem byłoby Pouilly-Fumé. Ale jak do tego przekonać matkę? Łatwiej byłoby mi chyba poderżnąć gardło stryjowi. Uroczy kraj mojego trzeciego wyboru jeszcze nigdy nie wydawał się tak odległy.

Wszyscy jesteśmy teraz przy stole. Claude nalewa i wznosimy kieliszki, oddając smutny hołd zmarłemu.

– Ale samobójstwo. To po prostu… wydaje się do niego takie niepodobne – odzywa się struchlałym szeptem Elodie, przerywając ciszę.

– No cóż… – Trudy znacząco zawiesza głos. Dostrzegła dobrą sposobność. – Od jak dawna go znasz?

– Od dwóch lat. Kiedy wykładał…

– W takim razie nie możesz nic wiedzieć o jego depresjach.

Cichy głos matki porusza moje serce. Jaka to dla niej pociecha uwierzyć w koherentną opowieść o chorobie psychicznej i samobójstwie.

– Mój brat nie był raczej człowiekiem, który cieszy się życiem.

Claude, zaczynam sobie z tego zdawać sprawę, jest niekoniecznie pierwszej wody kłamcą.

– Nie wiedziałam – odpowiada cicho Elodie. – Był zawsze taki wielkoduszny. Zwłaszcza wobec nas, wiecie, młodszego pokolenia, które…

– Znaliśmy go z zupełnie innej strony – oświadcza kategorycznie Trudy. – Cieszę się, że jego studenci nigdy jej nie poznali.

– Nawet jako dziecko – dodaje Claude. – Użył kiedyś młotka w stosunku do naszego…

– To nie moment, żeby o tym przypominać – przerywa mu Trudy, przez co ta historia staje się o wiele bardziej interesująca.

– Masz rację – przyznaje on. – I tak go kochaliśmy.

Czuję, że dłoń matki wędruje w górę, by zasłonić twarz lub otrzeć łzę.

– Ale nigdy nie poddał się leczeniu. Nie przyjmował do wiadomości, że jest chory.

– To kompletnie bez sensu. – W głosie Elodie słychać protest albo skargę, co matce i stryjowi wyraźnie się nie podoba. – Jechał do Luton, żeby zapłacić drukarzowi. Gotówką. Tak się cieszył, że spłaci dług. Dzisiaj miał wieczór poetycki. W King's College Poetry Society. Nasza trójka miała być, wiecie, czymś w rodzaju supportu.

– Kochał swoje wiersze – mówi Claude.

Elodie podnosi głos, w miarę jak rośnie jej udręka.

– Dlaczego miałby zjechać na pobocze i…? Tak po prostu. Skoro właśnie skończył książkę. I znalazł się na krótkiej liście nominowanych do Nagrody Audena.

– Depresja to straszne bydlę. – Claude zaskakuje mnie swoją głębią. – Wszystkie dobre rzeczy w życiu przestają mieć znaczenie…

Matka nie pozwala mu skończyć. Ma już dosyć.

– Wiem, że jesteś młodsza ode mnie – mówi twardo. – Ale czy naprawdę muszę ci to tłumaczyć jak małej dziewczynce? Jego firma tonie w długach. On sam też. Nie ma satysfakcji z pracy. W drodze jest dziecko, którego nie chce. Żona pieprzy się z jego bratem. Do tego chroniczna choroba skóry. I depresja. To mało? Uważasz, że musisz jeszcze na dodatek odgrywać tutaj przedstawienie, mówić o wieczorkach poetyckich i nagrodach i stwierdzać, że to bez sensu? Wskoczyłaś do jego łóżka. Możesz się uważać za szczęściarę.

Teraz to jej z kolei monolog zostaje przerwany. Przez głośny krzyk i łomot wywracającego się na podłogę krzesła.

Zauważam w tym momencie, że mój ojciec się oddalił. Niczym cząsteczka w fizyce, odsuwając się od nas, nie daje się zdefiniować; asertywny, odnoszący sukcesy poeta, nauczyciel i wydawca, który zamierza z zimną krwią odzyskać swój dom, dom swego ojca; czy też bezradny, wykorzystywany rogacz, oderwany od życia głupek, przybity długami, rozpaczą i brakiem talentu. Im więcej słyszymy o jednym, tym mniej wierzymy w drugiego.

Pierwszy wydany przez Elodie dźwięk jest jednocześnie słowem i szlochem.

– Nie!

Zapada milczenie. Wyczuwam, że najpierw Claude, a potem moja matka, oboje sięgają po kieliszki.

– Nie wiedziałam, co powie wczoraj wieczorem. To wszystko nieprawda! Chciał cię odzyskać. Próbował wzbudzić w tobie zazdrość. Nigdy by cię stąd nie wyrzucił. – Elodie pochyla się, by podnieść krzesło, i jej głos się zmienia. – Dlatego właśnie tu przyszłam. Żeby wam powiedzieć i lepiej, żebyście w to uwierzyli. Nic! Nic między nami nie zaszło. John Cairncross był moim wydawcą, przyjacielem i nauczycielem. Pomógł mi zostać pisarką. Czy to jasne?

Nie jestem do końca przekonany, lecz oni jej wierzą. To, że nie jest kochanką mego ojca, powinno być dla nich wybawieniem, ale sądzę, że otwiera również inne możliwości. Elodie staje się niewygodnym świadkiem, znającym wszystkie powody, dla których ojciec chciałby żyć dalej. Niezbyt to fortunne.

– Usiądź – mówi cicho Trudy. – Wierzę ci. I proszę bez krzyków.

Claude ponownie napełnia kieliszki. Pouilly-Fumé wydaje mi się zbyt cienkie, zbyt ostre. Być może, zbyt młode, nieodpowiednie na tę okazję. Niezależnie od wieczornego upału, skoro do głosu dochodzą silne emocje, lepiej

pasowałby w tym momencie muskularny Pomerol. Gdyby tylko była tu gdzieś piwniczka, gdybym mógł zejść teraz w zakurzony półmrok i wyciągnąć butelkę ze stojaka. W milczeniu postać z nią przez chwilę, zerknąć na etykietę i pokiwać mądrze głową, wracając na górę. Dorosłe życie, odległa oaza. Nawet nie fatamorgana.

Wyobrażam sobie skrzyżowane na stole gołe ręce matki, jej jasne i nieruchome oczy. Nikt nie domyśla się, jakie przeżywa katusze. John kochał tylko ją. Jego wzmianka o Dubrowniku była szczera, za to deklaracja nienawiści, marzenia o tym, by ją zadusić, i miłość do Elodie – to wszystko kłamstwa, pobożne życzenia. Nie wolno jej jednak upadać na duchu, musi być stanowcza. Włącza tryb, nastrój poważnej dociekliwości, pozornie wcale nie wrogi.

– Ty zidentyfikowałaś ciało.

Elodie również się uspokaja.

– Próbowali cię jakoś złapać. Bez skutku. Mieli jego telefon i zobaczyli, że do mnie dzwonił. W sprawie dzisiejszego wieczoru poetyckiego, nic więcej. Tak się bałam, że poprosiłam mojego narzeczonego, żeby ze mną pojechał.

– Jak wyglądał?

– Ma na myśli Johna – dopowiada Claude.

– Zdziwiło mnie to. Sprawiał pogodne wrażenie. Z wyjątkiem… – Elodie bierze głęboki oddech. – Z wyjątkiem ust. Były takie długie, takie szerokie, rozciągnięte prawie od ucha do ucha w jakimś wariackim uśmiechu. Ale zamknięte. Na szczęście.

Wokół siebie, w ścianach i w szkarłatnych komorach, które za nimi leżą, czuję, jak moja matka drży. Jeszcze jeden taki fizyczny detal i będzie po niej.

Piętnaście

Wcześnie w mym świadomym życiu jeden z moich palców, którego wówczas nie kontrolowałem, musnął podobną do krewetki wypukłość między nogami. I choć krewetka i palec leżały w różnej odległości od mózgu, odczuły się jednocześnie, zabawny paradoks w kognitywistyce znany pod nazwą problemu scalania. Kilka dni później to samo zdarzyło się z innym palcem. Po pewnym czasie rozwinąłem się i zdałem sobie sprawę z implikacji. Biologia to przeznaczenie, a przeznaczenie jest cyfrowe, w tym wypadku binarne. Było to banalnie proste. Ustalona została dziwnie podstawowa sprawa, kluczowa przy każdych narodzinach. Albo-albo. I koniec. W momencie czyjegoś oślepiającego przyjścia na świat nikt nie krzyczy: „To osoba!". Mówi się: „To dziewczynka", „To chłopiec". Różowe albo niebieskie – minimalny postęp wobec oferty Henry'ego Forda, który proponował samochody w każdym kolorze, pod warunkiem że będą czarne. Tylko dwie płcie. Byłem rozczarowany. Skoro ludzkie ciała, umysły, losy są tak złożone, skoro jesteśmy wolni bardziej od jakiegokolwiek innego ssaka, dlaczego ograniczać wybór? Złościło mnie to, ale potem dałem spokój i wykorzystałem jak najlepiej swoje dziedzictwo. Złożoność na pewno mnie jeszcze czeka. Na razie miałem zamiar pojawić się jako wolno urodzony Anglik, twór zarówno postangielskiego, jak i postszkockiego i postfrancuskiego Oświecenia. Moją osobowość będą kształtowały przyjemność, konflikt, doświadczenie, idee i mój własny osąd, podobnie jak skały i drzewa kształtowane są przez deszcz, wiatr i czas. Poza tym w moim odosobnieniu mam inne troski: mój problem alkoholowy, problemy rodzinne, obawy związane z przyszłością, w której grozi mi wyrok więzienia albo trafienie pod „opiekuńcze skrzydła" Lewiatana w rodzinie zastępczej na trzynastym piętrze.

Ostatnio jednak, śledząc zmieniający się stosunek matki do jej zbrodni, przypomniałem sobie pogłoski o nowych, łagodniejszych wytycznych w kwestii różowego i niebieskiego. Trzeba uważać, o czym się marzy. Oto nowe zasady obowiązujące w życiu uniwersyteckim. Ta dygresja może się wydawać nieistotna, ale zamierzam dostać się na studia, jak szybko się da. Żeby studiować fizykę, język gaelicki, cokolwiek. Więc muszę trzymać rękę na pulsie. Dziwny nastrój zapanował wśród prawie wykształconych młodych. Maszerują w pochodzie, czasami wściekli, ale najczęściej potrzebujący, domagając się błogosławieństwa władzy, uprawomocnienia przez nią ich wybranych tożsamości. Być może, to upadek Zachodu w nowym przebraniu. Albo wyniesienie na piedestał i wyzwolenie własnego ja. Pewne medium społecznościowe proponuje siedemdziesiąt jeden genderowych opcji – *neutrois*, *winkte*, *bigender* – do wyboru, do koloru, panie Ford. Okazuje się, że biologia nie jest jednak przeznaczeniem i trzeba to uczcić. Krewetka nie jest ani ograniczająca, ani stabilna. Deklaruję niezaprzeczalne

uczucie do tego, kim jestem. Jeśli okażę się przypadkiem biały, mogę wybrać tożsamość czarnego. I vice versa. Mogę się ogłosić niepełnosprawnym lub niepełnosprawnym w kontekście. Jeśli moja tożsamość jest tożsamością wierzącego, łatwo będzie mnie zranić, moje ciało spłynie krwią, gdy ktoś zakwestionuje moją wiarę. Urażony, dostąpię łaski. Jeśli niewygodne opinie będą – niczym upadłe anioły albo zły dżin – unosiły się za blisko mnie (przy czym za blisko oznacza odległość jednego kilometra), będę potrzebował w kampusie specjalnego bezpiecznego lokalu wyposażonego w ciastolinę i filmy z baraszkującymi szczeniakami. Ach, życie intelektualne! Może trzeba będzie mnie z góry ostrzec, jeśli niepokojące książki albo idee zagrożą samej mojej istocie, podchodząc zbyt blisko i dysząc mi w twarz i mózg niczym parszywe psy.

Będę czuć, więc będę. Niech ubodzy idą na żebry, niech zmiany klimatyczne smażą się w piekle. Sprawiedliwość społeczna może utonąć w atramencie. Zostanę aktywistą emocji, głośnym działaczem posługującym się łzami i westchnieniami, by dostosować instytucje do mojego wrażliwego ja. Moja tożsamość będzie moim skarbem, jedyną rzeczą, którą naprawdę posiadam, dostępem do jedynej prawdy. Świat musi ją kochać, pielęgnować i chronić tak samo jak ja. Jeśli moja uczelnia mnie nie pobłogosławi, nie da dyplomu i tego, czego w oczywisty sposób potrzebuję, przycisnę twarz do klapy marynarki dziekana i zapłaczę. A potem zażądam jego rezygnacji.

Łono, albo to łono, nie jest takim złym lokum. Trochę przypomina mogiłę, „przytulne miejsce” z jednego z ulubionych wierszy mojego ojca8. Zrobię sobie wersję takiego łona na studenckie lata, zrezygnuję z Oświecenia Angoli, Szkotów i żabojadów. Precz z tym, co realne, z nudnymi faktami i znienawidzonym udawaniem obiektywizmu. Uczucie jest królową. Chyba że uzna się za króla.

Wiem. Sarkazm nie przystoi nienarodzonemu. I po co ta dygresja? Ponieważ moja matka dotrzymuje kroku nowym czasom. Może o tym nie wiedzieć, ale maszeruje w pochodzie. Jej status morderczyni jest faktem, czymś, co istnieje w świecie zewnętrznym. Ale to stare myślenie. Bo sama uważa się za niewinną. Nawet starając się usunąć wszelkie ślady z kuchni, czuje się niewinna i dlatego nią jest – prawie. Jej smutek, jej łzy są dowodem uczciwości. Zaczyna sama wierzyć w opowieść o depresji i samobójstwie. Jest gotowa uwierzyć w podrzucone dowody w samochodzie. Kiedy przekona sama siebie, będzie kłamać konsekwentnie i z łatwością. Kłamstwa staną się jej prawdą. Na razie jednak jej konstrukt jest kruchy i świeży. Upiorny uśmiech mojego ojca, ten znaczący uśmiech na twarzy trupa, może go wywrócić. Dlatego matka potrzebuje potwierdzenia przez Elodie swojego statusu niewinności. I dlatego pochyla się do przodu razem ze mną i wsłuchuje pilnie w urywane słowa poetki. Ponieważ Elodie będzie wkrótce przesłuchiwana przez policję. Jej przekonania, które ukierunkują jej pamięć i uporządkują relację, muszą zostać odpowiednio ukształtowane.

W przeciwieństwie do Trudy, Claude przyznaje się do zbrodni. To człowiek Renesansu, Machiavelli, oldskulowy łajdak, wierzący, że ujdzie mu na sucho morderstwo. Świat nie dociera do niego przez mgiełkę subiektywności; dociera zdeformowany przez głupotę i chciwość, wykrzywiony niczym przez lustro wody, ale wyryty na ekranie wewnętrznego oka z ostrością i jasnością prawdy. Claude nie wie, że jest głupi. Skoro ktoś jest głupi, skąd może o tym wiedzieć? Może miotać się w gąszczu sloganów, ale rozumie, co zrobił i dlaczego. Nie oglądając się do tyłu, będzie kwitł do chwili, gdy zostanie ujęty i ukarany, a wówczas będzie winił o to nie siebie, lecz swojego pecha i inne przypadki. Jego dziedzictwem, tym, do czego rości sobie prawa, jest racjonalność. Wrogowie Oświecenia powiedzą, że jest wcieleniem jego ducha. To nonsens!

Ale wiem, o co im chodzi.

Szesnaście

Elodie umyka mi niczym w połowie zapamiętana piosenka – w rzeczy samej niedokończona melodia. Kiedy przecisnęła się obok nas w holu, kiedy wciąż uważaliśmy ją za dziewczynę mojego ojca, nasłuchiwałem ponętnego skrzypienia skóry. Ale nie, dziś, jak mi się zdaje, jest ubrana w łagodniejszym stylu, bardziej kolorowo. Będzie się pięknie prezentować na tym wieczorze poetyckim. Gdy szlochała zrozpaczona, jej głos był czysty. Ale kiedy zaczyna opowiadać o wizycie w kostnicy, kiedy to trzymała za rękę swojego narzeczonego, w każdym kolejnym zdaniu coraz wyraźniej brzmi gardłowa miejska dykcja, smakowite frykatywy. Moja matka wyciąga rękę, by wziąć dłoń gościa w swoją, i słyszę wówczas powracający kaczy głos. Dopuszczona do konfidencji Elodie odpręża się, wychwala, jako poetka, wiersze ojca. Najbardziej uwielbia jego sonety.

– Pisał je w konwersacyjnym stylu, ale są takie gęste od znaczeń, takie muzyczne.

Użycie czasu przeszłego jest poprawne, ale razi. Mówi tak, jakby śmierć Johna Cairncrossa była w pełni potwierdzona, przyjęta do wiadomości, publicznie uznana, jakby przeszła do historii niczym zdobycie Rzymu. Matce będzie to przeszkadzać bardziej niż mnie. Przywykłem uważać jego poezję za chłam. Dziś wszystko podlega rewaluacji.

– Minie dużo czasu, nim zdamy sobie w pełni sprawę z jego wielkości jako poety – mówi Trudy ociekającym nieszczerością głosem.

– O, tak, o, tak. Ale już teraz coś wiemy. Hughes nie dorastał mu do pięt. Widzę go raczej w jednym szeregu z Fentonem, Heaneyem i Plath.

– Nazwiska budzące szacunek – stwierdza Claude.

Na tym polega mój problem z Elodie. Co ona tutaj robi? Tańczy niczym jakiś szalony korybant, raz łatwa do rozszyfrowania, innym razem zagadkowa. Wychwalając mojego ojca, chce, być może, pocieszyć matkę. Jeśli tak, nie bardzo jej to wychodzi. Może smutek zaciemnia jej osąd. To można wybaczyć. Albo jej własna pozycja rośnie wraz z umacnianiem się pozycji jej patrona. Tego nie można. A może przyszła tutaj, by odkryć, kto zabił jej kochanka. To by było ciekawe.

Czy powinienem ją lubić, czy traktować z nieufnością?

Matka kocha ją i nie chce puścić jej ręki.

– Możesz to ocenić lepiej ode mnie. Za talent tej miary płaci się wysoką cenę. Płacił nie tylko on sam. Miły dla wszystkich poza najbliższymi. Także dla obcych. „Prawie tak uroczy jak Heaney", mówili ludzie. Nie żebym go w ogóle znała czy czytała. Ale tuż pod spodem John głęboko cierpiał…

– Nie!

– Wątpił w siebie. W ciągłym mentalnym bólu. Smagający tych, których

kochał. Ale najokrutniejszy wobec samego siebie. I w końcu wiersz był już napisany…

– I słońce wychodziło zza chmur. – Claude załapał już, o co chodzi szwagierce.

– Konwersacyjny styl? – mówi głośno Trudy, zagłuszając go. – Cholernie długo trwało, nim wydarł to z duszy.

– Och!

– Życie osobiste w ruinie. A teraz…

Trudy zacina się na tym krótkim słowie ewokującym brzemienną w skutki teraźniejszość. W dniu takich rewizji ocen mogę się mylić, ale zawsze wydawało mi się, że ojciec tworzył szybko, z godną ubolewania łatwością. Zarzucano mu to w recenzji, którą przeczytał kiedyś na głos, by pokazać, że w ogóle się tym nie przejmuje. Jeśli to nie przychodzi od razu, słyszałem, jak mówił matce w trakcie jednej ze swoich smutnych wizyt, to lepiej, żeby w ogóle nie przychodziło. W łatwości jest specyficzny wdzięk. Cała sztuka aspiruje do lekkości Mozarta, dodał i roześmiał się z własnej bezczelności. Trudy tego nie pamięta. I nigdy nie będzie wiedzieć, że nawet gdy kłamie na temat zdrowia psychicznego ojca, jego poezja poprawiła jej styl. Smagający? Wydarł? Z duszy? Pożyczone stroje!

Ale zrobiły wrażenie. Zimna matka wie, dokąd zmierza.

– Nigdy nie zdawałam sobie sprawy – szepcze Elodie.

Znowu zapada cisza. Trudy czeka w napięciu niczym wędkarz, który zarzucił przynętę. Claude zaczyna coś mówić i zaraz przerywa, uciszony, jak sądzę, jej spojrzeniem.

– Wszystkie zalecenia Johna są wyryte w moim sercu – zaczyna dramatycznie nasz gość. – Kiedy przekroczyć granicę wersu. „Nigdy przypadkiem. Stój przy sterze. Buduj znaczenie, jednostkę znaczenia. Decyduj, decyduj, decyduj". I znaj swój rytm, żebyś „mógł naruszyć go świadomie". Albo: „Forma nie jest klatką. To stary przyjaciel, którego możesz opuścić tylko na niby". I o uczuciach. „Nie wypakowuj całego serca. Prawdę powie jeden detal". A także: „Pisz na głos, nie na kartkę, pisz na mało udany wieczór w parafialnej świetlicy". Kazał nam przeczytać Jamesa Fentona, żebyśmy poznali geniusza trocheju. Później zadał pracę domową na następny tydzień: wiersz w czterech zwrotkach napisany katalektycznym tetrametrem trocheicznym. Śmialiśmy się z tego językowego łamańca. Kazał nam zaśpiewać jego przykład, dziecinną rymowankę *Boys and girls come out to play*. A potem wyrecytował z pamięci *Pieśń jesienną* Audena: *Z drzewa liść spada obficie/ I piastunka też w przekwicie*9. Dlaczego opuszczenie sylaby w drugiej linijce daje taki efekt? Nie potrafiliśmy na to odpowiedzieć. W takim razie co powiemy na wiersz, w którym słaba sylaba jest przywrócona? *Wendy speeded my undressing,/Wendy is the sheet's caressing*. Znał na pamięć całe *Indoor Games near Newbury* Betjemana i słuchając go, nie mogliśmy powstrzymać

chichotu. W ramach pracy domowej napisałam pierwszy z moich wierszy o sowach… w tym samym metrum co *Pieśń jesienna*. Kazał nam się uczyć naszych najlepszych wierszy na pamięć. Żebyśmy nie byli stremowani na pierwszym wieczorze i stanęli na scenie bez kartek. Na myśl o tym mało nie zemdlałam ze strachu. Słuchajcie, sama zaczynam mówić trochejem!

Cała ta gadka o metryce interesuje tylko mnie. Wyczuwam zniecierpliwienie matki. To zaszło zbyt daleko. Gdybym mógł wstrzymać oddech, zrobiłbym to właśnie teraz.

– Fundował nam drinki, pożyczał pieniądze, których nigdy nie oddawaliśmy. Zawsze mogliśmy mu opowiedzieć o naszych miłosnych problemach, kłótniach z rodzicami, tak zwanych pisarskich blokadach. Zapłacił raz kaucję za pijanego poetę z naszej grupy. Pisał listy, żeby załatwić nam granty albo jakąś fuchę w magazynach literackich. Kochaliśmy poetów, których on kochał, jego opinie stawały się naszymi. Słuchaliśmy jego audycji w radiu, chodziliśmy na odczyty, na które nas wysyłał. I na jego własne. Znaliśmy jego wiersze, jego anegdoty, jego powiedzonka. Wydawało nam się, że go znamy. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że John, taki dorosły, nasz najwyższy kapłan, również ma problemy. Że wątpi w swoją poezję, tak jak my wątpimy w swoją. My przejmowaliśmy się głównie seksem i pieniędzmi. Nie dręczyliśmy się tym co on. Gdybyśmy tylko wiedzieli…

Ryba złapała przynętę, napięła żyłkę i teraz jest w podbieraku. Czuję, jak matka się odpręża.

Ta zagadkowa postać, mój ojciec, nabiera masy, zyskuje na znaczeniu. Nie wiem, czy mam się czuć winny, czy dumny.

– To i tak nie miałoby znaczenia – mówi dzielnym, miłym głosem Trudy. – My, Claude i ja, wiedzieliśmy o wszystkim. Próbowaliśmy wszystkiego.

Wywołany do tablicy Claude chrząka.

– Nie sposób było mu pomóc. Był swoim najgorszym wrogiem.

– Zanim pójdziesz – mówi Trudy – jest pewien drobiazg, który chciałabym ci dać.

Wspinamy się po schodach do holu, a potem na pierwsze piętro, matka i ja żałobnym krokiem, Elodie tuż za nami. Chodzi pewnie o to, żeby Claude zebrał wszystko, czego musi się pozbyć. Stajemy w bibliotece. Słyszę, jak młoda poetka bierze głęboki oddech, widząc wokół siebie trzy ściany poezji.

– Przepraszam, że tak tu czuć stęchlizną.

Książki i samo wnętrze biblioteki są już w żałobie.

– Chciałabym, żebyś wzięła sobie jeden tomik.

– Och, nie mogłabym. Czy nie powinnaś zachować tego wszystkiego w całości?

– Chcę, żebyś to zrobiła. On też by tego chciał.

Czekamy zatem, aż Elodie coś wybierze. Jest zakłopotana i z tego względu

szybka. Wraca, by pokazać nam, co wzięła.

– John zapisał tu swoje nazwisko. Peter Porter. *The Cost of Seriousness*. Jest tam wiersz *An Exequy*. Znowu tetrametry. Przepiękne.

– A tak. Przyszedł kiedyś na kolację. Chyba.

Kiedy Trudy to mówi, rozlega się dzwonek do drzwi. Głośniej i dłużej niż zwykle. Matka tężeje, zaczyna jej walić serce. Czego tak się boi?

– Wiem, że macie sporo gości. Naprawdę bardzo dzię…

– Ćśśś!

Wychodzimy cicho na podest schodów. Trudy nachyla się ostrożnie nad balustradą. W oddali słyszymy Claude'a, który mówi coś do wideofonu, a potem idzie po schodach z kuchni.

– Niech to szlag – szepcze matka.

– Dobrze się czujesz? Może usiądziesz?

– Chyba tak.

Cofamy się, żeby nie było nas widać od frontowych drzwi. Elodie pomaga matce usiąść w fotelu, tym samym, w którym śniła na jawie, kiedy recytował wiersze jej mąż.

Słyszymy, jak otwierają się frontowe drzwi. Pomruk głosów i drzwi się zamykają. Przez hol idzie z powrotem tylko jedna osoba. Oczywiście to zamówione duńskie kanapki. Spełnia się, przynajmniej częściowo, moje marzenie o śledziu.

Trudy też to sobie uświadamia.

– Odprowadzę cię – mówi.

Na dole, przy drzwiach, Elodie odwraca się jeszcze w jej stronę.

– Jutro rano o dziewiątej mam być na komisariacie – informuje.

– Tak mi przykro. To będzie dla ciebie trudne. Powiedz im po prostu wszystko, co wiesz.

– Zrobię to. Dziękuję. I dziękuję za tę książkę.

Obejmują się, całują i Elodie wychodzi. Zgaduję, że dostała to, czego chciała.

Wracamy do kuchni. Czuję się dziwnie. Wygłodniały. Wyczerpany. Zdesperowany. Obawiam się, że Trudy oznajmi Claude'owi, że nie przełknie ani kęsa. Nie po tym dzwonku. Strach jest niczym środek wymiotny. Ale matka, ja i głód jesteśmy jednością i chwilę później rozrywane są pudełka z cynfolii. Ona i Claude jedzą szybko, stojąc przy kuchennym stole, na którym nadal mogą być wczorajsze kubki po kawie.

– Wszystko zapakowane i gotowe do wywiezienia? – pyta Claude z pełnymi ustami.

Marynowany śledź, korniszon i plasterek cytryny na pumperniklu. Już wkrótce do mnie docierają. Już wkrótce moje zmysły wyostrza esencja bardziej

słona od krwi, zapach wodnego pyłu na otwartym morzu, na szerokich oceanicznych szlakach, którymi samotne ławice śledzi szybują na północ przez czystą czarną lodowatą wodę. Owiewająca moją twarz chłodna arktyczna bryza ani na chwilę nie ustaje, zupełnie jakbym stał na dziobie nieustraszonego statku, który zmierza ku krystalicznej wolności. To znaczy, że Trudy zjada jedną kanapkę po drugiej, je i je, aż w końcu nadgryza ostatnią i ją odkłada. Zatacza się, musi usiąść.

– Wyśmienite! – jęczy. – Zobacz, mam łzy w oczach. Płaczę z przyjemności.

– Zmywam się – mówi Claude. – Możesz płakać sama.

Przez długi czas byłem prawie za duży na to miejsce. Teraz jestem za duży. Kończyny trzymam złożone przy piersi, głowa utkwiła mi w jedynym wyjściu. Noszę matkę niczym ciasno przylegający czepek. Bolą mnie plecy, jestem wykończony, trzeba mi przyciąć paznokcie, znalazłem się w tym półmroku, w którym odrętwienie nie unieważnia myśli, lecz je uwalnia. Głód, a potem sen. Jedna potrzeba zaspokojona, na jej miejsce wskakuje kolejna. Ad infinitum, aż potrzeby staną się zwykłymi kaprysami, luksusem. Jest w tym coś, co zbliża się do istoty naszej egzystencji. Ale to dotyczy innych. Ja jestem zamarynowany, śledzie niosą mnie daleko, płynę na skrzydłach gigantycznej ławicy, kierując się na północ, a kiedy tam dotrę, zamiast muzyki fok i pękającego lodu usłyszę szelest znikających dowodów rzeczowych, wodę płynącą z kranu, pieniące się mydliny, usłyszę nocny szczęk garnków, stukot krzeseł stawianych na stole, by odsłonić podłogę i walające się na niej okruszki jedzenia, ludzkie włosy i mysie bobki. Tak, byłem tutaj, gdy wabił ją ponownie do łóżka, nazywał swoją myszką, szczypał mocno brodawki, wypełniał policzki kłamliwym oddechem i językiem spuchniętym od frazesów.

I nic nie zrobiłem.

Siedemnaście

Budzę się w niemal kompletnej ciszy, w pozycji horyzontalnej. Jak zwykle uważnie słucham. Słyszę drepczące cierpliwie serce Trudy, szum jej oddechu i cichutkie poskrzypywanie żeber, a dalej szmery i szelesty ciała, które utrzymywane jest w gotowości przez niewidzialne systemy regulacji i opieki, niczym sprawnie zarządzane miasto w środku nocy. Za ścianami rytmiczne chrapanie mojego stryja, cichsze niż normalnie. Za murami domu żadnych odgłosów ulicznego ruchu. W innym czasie ułożyłbym się jak najlepiej i zapadł w spokojny sen. Lecz teraz jedna drzazga, jedna bolesna prawda z poprzedniego dnia, rozdziera delikatną materię snu i nagle wszystko i wszyscy, mała ochocza obsada, wślizgują się przez szparę. Kto pierwszy? Mój uśmiechnięty ojciec, nowe, trudne do przyjęcia pogłoski o jego przyzwoitości i talencie. Matka, z którą jestem związany i którą jestem zobowiązany kochać i nienawidzić. Priapiczny, sataniczny Claude. Elodie, prozodyjna poetka, podejrzany przykład stopy daktylicznej. I ja, tchórzliwy ja, rozgrzeszający się z zemsty, ze wszystkiego poza myśleniem. Tych pięć postaci zwraca się ku mnie, odgrywając swoje role w wydarzeniach dokładnie tak, jak one wyglądały, jak mogły wyglądać i jak wyglądać będą. Nie mam prawa kierować akcją. Mogę tylko patrzeć. Mijają godziny.

Jakiś czas później budzą mnie głosy. Jestem na spadzistości, co oznacza, że matka siedzi na łóżku, podparta poduszkami. Ruch uliczny nie jest jeszcze tak intensywny. Przypuszczam, że jest szósta rano. Z początku boję się, że czeka nas poranna beczka śmierci. Ale nie, nawet się nie dotykają. Wyłącznie rozmowa. Zaznali dość przyjemności, by dotrwać przynajmniej do południa, wskutek czego dają o sobie teraz znać pretensje, rozsądek, a nawet żale. Wybrali to pierwsze. Matka mówi beznamiętnym tonem, którego używa, gdy ma do kogoś urazę. Oto pierwsze pełne zdanie, które udaje mi się zrozumieć:

– Gdybyś nie pojawił się w moim życiu, John byłby dzisiaj żywy.

Claude rozważa to.

– Tak samo, gdybyś ty nie pojawiła się w moim.

Po tym blokującym ruchu zapada milczenie.

– Przynosząc to świństwo do domu, zmieniłeś głupie zabawy w coś zupełnie innego – próbuje znowu Trudy.

– Świństwo, które dałaś mu do wypicia.

– Gdybyś nie…

– Posłuchaj. Najdroższa.

To czułe słówko jest w gruncie rzeczy groźbą. Claude bierze głęboki oddech i znów się zastanawia. Wie, że musi być uprzejmy. Ale uprzejmość bez pożądania, bez obietnicy erotycznej nagrody, jest dla niego trudna. Ściska go w gardle.

– Wszystko w porządku. To nie jest sprawa kryminalna. Jesteśmy na dobrej

drodze. Ta dziewczyna powie wszystko co trzeba.

– Dzięki mnie.

– Owszem, dzięki tobie. Świadectwo zgonu, w porządku. Testament, w porządku. Kremacja i wszystkie formalności, w porządku. Dziecko i dom na sprzedaż, w porządku.

– Ale cztery i pół miliona…

– Jest w porządku. W razie, w najgorszym razie, plan, plan B, w porządku.

Tylko składnia mogłaby nasunąć komuś myśl, że jestem na sprzedaż. Ale w chwili porodu będę wolny. Lub bezwartościowy.

– Cztery i pół miliona – powtarza ze wzgardą Trudy.

– Szybko. Bez żadnych pytań.

Katechizm kochanków, który przerabiali, być może, już wcześniej. Nie zawsze słucham.

– Po co ten pośpiech? – pyta ona.

– Na wypadek, gdyby coś poszło źle.

– Dlaczego miałabym ci ufać?

– Nie masz innego wyboru.

Czy przyszły już papiery dotyczące sprzedaży domu? Czy je podpisała? Nie wiem. Czasami drzemię i nie słyszę wszystkiego. I wcale mnie to nie obchodzi. Nie mając nic, nie przejmuję się kwestiami własności. Wieżowce, blaszane budy i wszystkie zawarte między nimi mosty i świątynie. Zatrzymajcie je sobie. Interesuje mnie wyłącznie okres poporodowy, odciśnięty w skale ślad kopyta, szybujące ku niebu krwawiące jagnię. Zawsze w górę. Zabierzcie mnie ze sobą, wyrzućcie balast. Dajcie mi się przejechać, dajcie moje życie po życiu, raj na ziemi, nawet piekło, nawet trzynaste piętro. Wierzę w życie po narodzeniu, choć wiem, że trudno oddzielić fakty od nadziei. Wystarczy coś krótszego od wieczności. Siedem krzyżyków? Zapakujcie, biorę. Co do nadziei – słyszałem o najnowszych rzeziach w pogoni za życiem po śmierci. Kataklizm na tym świecie, szczęście w przyszłym. Brodaci młodzieńcy z piękną cerą i długą bronią, wpatrzeni w piękne niedowierzające oczy własnego pokolenia. To nie nienawiść zabiła niewinnych, ale wiara, ten przymierający głodem duch, wciąż czczony, nawet w umiarkowanych rejonach. Dawno temu ktoś uznał bezpodstawną pewność za cnotę. Teraz twierdzą tak nawet najuprzejmiejsi z ludzi. Słyszałem w niedzielne ranki ich audycje z katedralnych podwórek. Najbardziej cnotliwe upiory Europy, religia i, gdy osłabła, naszpikowane dowodami naukowymi bezbożne utopie, zostawiały po sobie wypaloną ziemię od dziesiątego do dwudziestego wieku. Teraz wracają, zrodzone na Wschodzie, marząc o swoim milenium i ucząc maluchy podrzynania gardeł pluszowym misiom. I oto pojawiam się tutaj ze swoją domową wiarą w życie po śmierci. Wiem, że to coś więcej niż audycja radiowa. Głosy, które słyszę, nie brzmią, a w każdym razie nie brzmią tylko w mojej głowie. Wierzę, że

mój czas nadejdzie. Ja też jestem cnotliwy.

* * *

Ranek mija bez żadnych przygód. Wymiana cichych uszczypliwości między Trudy a Claude'em gaśnie i kończy się kilkugodzinnym snem, a potem Trudy zostawia go w łóżku i bierze prysznic. W gromkim cieple pędzących kropel, słuchając melodyjnego nucenia matki, doświadczam niezrozumiałej radości i podekscytowania. Nie mogę się powstrzymać, nie mogę powściągnąć uczucia szczęścia. Czy to pożyczone hormony? Nie ma to większego znaczenia. Widzę świat w złotych barwach, mimo że ten kolor jest dla mnie tylko słowem. Wiem, że na skali jest blisko żółtego, choć to też tylko słowo. Ale „złoty" brzmi dobrze, czuję to, gdy kaskady gorącej wody omywają tył mojej czaszki. Nie pamiętam takiej beztroskiej rozkoszy. Jestem gotów, nadchodzę, świat złapie mnie, skłania się ku mnie, nie może mi się oprzeć. Wino z kieliszka, a nie przez łożysko, książki bezpośrednio przy świetle lampy, muzyka Bacha, spacery wzdłuż wybrzeża, pocałunki w księżycowej poświacie. Wszystko, czego się do tej pory dowiedziałem, wskazuje, że te rozkosze są niedrogie, łatwo dostępne, czekają na mnie. Nawet kiedy hucząca woda przestaje płynąć, gdy otacza nas chłodniejsze powietrze i ręcznik Trudy wstrząsa mną aż do głębi, mam wrażenie, że coś śpiewa w mojej głowie. Anielskie chóry!

Kolejny upalny dzień, kolejne zwiewne stroje, marzy mi się, z lekkiej bawełny, wczorajsze sandały, żadnych perfum, bo mydło, jeśli to kostka, którą dał jej Claude, ma zapach gardenii i paczuli. Nie zaplata dzisiaj warkoczy. Zamiast tego wsunięte za uszy dwa plastikowe urządzenia w jaskrawych, jestem tego pewien, kolorach, trzymają jej włosy z tyłu. Kiedy schodzimy po znajomych schodach, czuję, jak pogarsza mi się nastrój. Żeby w takiej chwili zapomnieć o ojcu! Wkraczamy do czystej kuchni. Panujący w niej porządek jest nocnym hołdem oddanym mu przez żonę. Jej egzekwiami. Akustyka się zmieniła, podłoga nie klei się już do podeszew. Muchy poleciały do innych rajów. Idąc w stronę ekspresu do kawy, musi podobnie jak ja zdawać sobie sprawę, że Elodie skończyła już rozmawiać z policją. Pierwsze wrażenia stróżów prawa zostały albo potwierdzone, albo zachwiane. W rezultacie obie możliwości są dla nas jednocześnie prawdziwe. Wydaje się, że ścieżka rozwidla się przed nami, ale ona już się rozwidliła. Tak czy owak, czeka nas wizyta.

Trudy sięga do szafki po puszkę z mieloną kawą i papierowe filtry, odkręca kran z zimną wodą, nalewa wody do dzbanka, wyjmuje łyżeczkę. Większość filiżanek jest czysta. Bierze dwie. Jest coś smutnego w tych znajomych czynnościach, w odgłosach stawiania na blacie prostych przedmiotów. W cichym westchnieniu, które wydaje, gdy razem ze mną ociężale się obraca lub lekko pochyla. Wiem już, jak wiele rzeczy zapomina się w tej samej chwili, kiedy się

dzieją. Większość. Niezauważaną, odpływającą od nas teraźniejszość, cichy szmer błachych myśli, od dawna lekceważony cud egzystencji. Kiedy nie będzie miała dwudziestu ośmiu lat, nie będzie ciężarna, piękna ani nawet wolna, nie przypomni sobie dźwięku łyżeczki, którą kładła na stole, sukienki, którą miała na sobie tego dnia, wrzynającego się między palce rzemyka sandałów, letniego skwaru, białego hałasu miasta za murami domu, krótkiego trelu ptaków za zamkniętym oknem. Wszystko przepadło, już teraz.

Ale dziś jest szczególny dzień. Jeśli zapomina o teraźniejszości, to dlatego, że wybiega myślami w przyszłość, w tę, która się zbliża. Myśli o kłamstwach, które będzie musiała mówić, o tym, że muszą być spójne i zgadzać się z tymi, co powie Claude. To rodzaj presji, uczucie, którego doznawała niegdyś przed egzaminem. Chłód w trzewiach, uginające się kolana, chęć ziewania. Musi pamiętać swój tekst. Cena przegranej jest wyższa, bardziej interesująca niż przy zwykłym szkolnym teście. Powinna się pokrzepić zapamiętanym z dzieciństwa zdaniem: „Przecież nikt nie umrze”. Ale to nic nie da. Cierpię razem z nią. Kocham ją.

Teraz chcę ją chronić. Nie mogę się pozbyć bezsensownej myśli, że bardzo piękni powinni się kierować własnym kodeksem zasad. Takiej twarzy, jaką sobie dla niej wyobraziłem, należy się szczególny szacunek. Więzienie dla niej byłoby skandalem. Czymś przeciwnym naturze. W tej domowej krzątaninie już teraz kryje się nostalgia. To klejnot, skarb, który powinno się zachować w pamięci. Mam ją tylko dla siebie, tu, w tej posprzątanej kuchni, w promieniach słońca i w spokoju, podczas gdy Claude przesypia cały ranek. Ona i ja powinniśmy być sobie bliscy, bliżsi niż kochankowie. Jest coś, co powinniśmy powiedzieć sobie szeptem.

Może słowa pożegnania.

Osiemnaście

Wczesnym popołudniem dzwoni telefon i przedstawia nam się przyszłość. Starsza inspektor Clare Allison, właśnie przydzielona do sprawy. Głos brzmi przyjaźnie, wcale nie oskarżycielsko. To może być zły znak.

Jesteśmy znowu w kuchni, telefon odebrał Claude. W drugiej ręce trzyma pierwszą tego dnia kawę. Trudy stoi tuż obok i słyszymy obie strony. Do sprawy? To słowo brzmi groźnie. Starsza inspektor? To również nie napawa optymizmem.

O stopniu niepokoju stryja świadczy to, jak bardzo stara się uprzedzić jej życzenia.

– O, tak. Tak! Ależ oczywiście. Proszę bardzo.

Starsza inspektor Allison ma zamiar złożyć nam wizytę. Normalną praktyką byłoby zaproszenie obojga na komisariat, na pogawędkę. Lub też w celu złożenia zeznań, jeśli to konieczne. Ze względu jednak na zaawansowaną ciążę Trudy i ponieważ rodzina jest pogrążona w żałobie, starsza inspektor z sierżantem zjawi się tu w ciągu godziny. Chce obejrzeć miejsce, w którym zmarły po raz ostatni z kimś się kontaktował.

To ostatnie, choć dla mnie brzmi rozsądnie i niewinnie, wprawia Claude'a w wiernopoddańczy szał.

– Ależ proszę przyjeżdżać. Cudownie. Proszę bardzo. Niech się pani nie krępuje. Nie możemy się doczekać. Będzie pani…

Rozłącza się i odwraca do nas, prawdopodobnie z poszarzałą twarzą.

– No – mówi rozczarowanym tonem.

Trudy nie może się oprzeć, by nie zacząć go przedrzeźniać.

– Wszystko… w porządku, tak?

– Co to za sprawa? Przecież nie kryminalna – apeluje Claude do wyimaginowanej publiczności, rady starszych. Ławy przysięgłych.

– Nie podoba mi się to – mruczy matka, bardziej do siebie. Albo, chciałbym w to wierzyć, do mnie. – Nie podoba mi się, nie podoba.

– Powinien to załatwić koroner. – Claude oddala się urażony, obchodzi dokoła kuchnię i wraca do nas zagniewany. Teraz ma pretensję do Trudy. – To nie jest sprawa dla policji.

– Co ty powiesz – odpowiada ona. – Lepiej zadzwoń do tej inspektor i ją poucz.

– Ta poetka. Wiedziałem, że nie możemy jej ufać.

Rozumiemy, że w jakiś sposób to matka odpowiada za Elodie, że to zarzut.

– Gapiłeś się na nią.

– Mówiłaś, że może okazać się użyteczna.

– Gapiłeś się na nią.

Ale powtórzenie tego dwa razy nie robi na nim wrażenia.

– Każdy by się gapił. Kto by się tym przejmował?

– Ja.

Pytam się po raz kolejny, co mi da ich rozstanie. Mogliby wylądować za kratkami. Zatrzymałbym wtedy Trudy. Słyszałem, jak mówiła, że karmiące matki mają w więzieniu lepsze życie. Ale straciłbym to, co mi się należy z racji urodzenia, marzenie całej ludzkości, moją wolność. Podczas gdy działając razem, mogliby się z tego jakoś wykaraskać. A potem gdzieś mnie oddać. Nie miałbym matki, lecz byłbym wolny. Więc jak? Rozważałem to już wcześniej i zawsze wracałem w to samo uświęcone miejsce, dochodziłem do tej samej pryncypialnej decyzji. Poświęcę materialny dobrobyt i spróbuję sił w szerokim świecie. Zbyt długo już byłem zamknięty. Głosuję za wolnością. Mordercom musi się upiec. A zatem, zanim kłótnia w sprawie Elodie zajdzie zbyt daleko, to dobry moment, by wymierzyć matce kolejnego kopniaka, zwrócić jej uwagę na interesujący fakt mojej egzystencji. Nie raz, nie dwa, ale magiczną liczbę, występującą we wszystkich najlepszych starych bajkach. Trzy razy, tyle samo, ile razy Piotr wyparł się Jezusa.

– Och, och, och! – Matka prawie to wyśpiewuje.

Claude wysuwa krzesło, by usiadła, i przynosi jej szklankę wody.

– Spociłaś się.

– Bo mi gorąco.

Claude próbuje otworzyć któreś z okien. Nikt nie robił tego od lat. Szuka lodu w lodówce. Po ostatnich trzech kolejkach ginu z tonikiem tacki są puste. Siada więc naprzeciwko niej i obdarza ją swoim stygnącym współczuciem.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie będzie.

Jego milczenie jest ręką wyciągniętą na zgodę. Zastanawiam się, czy nie kopnąć po raz czwarty, ale Trudy jest w niebezpiecznym nastroju. Mogłaby ponownie przypuścić atak i spotkać się ze stanowczą reakcją.

– Powinniśmy po raz ostatni wszystko sobie powtórzyć – mówi po chwili Claude pojednawczym tonem.

– Może wziąć adwokata?

– Trochę na to za późno.

– Powiedz im, że nie będziemy bez niego rozmawiać.

– To nie będzie dobrze wyglądało, skoro przychodzą tylko na pogawędkę.

– Nie podoba mi się to.

– Powinniśmy po raz ostatni to sobie powtórzyć.

Ale nie robią tego. Ogłupiali, wyobrażają sobie zbliżającą się starszą inspektor Allison. „W ciągu godziny” może już teraz oznaczać „w ciągu minuty”. Wiedząc wszystko, wiedząc prawie wszystko, jestem wspólnikiem zbrodni, nieobawiającym się oczywiście przesłuchania, lecz mimo to pełnym lęku. Poza tym jestem ciekaw, nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak sprawna jest pani

inspektor. Otwarty umysł mógłby rozpracować tę dwójkę w dwie minuty. Trudy zdradziłyby nerwy, Claude'a jego głupota.

Próbuję zlokalizować filiżanki pozostałe po wizycie ojca. Nieumyte i stojące teraz, jak mi się zdaje, obok kuchennego zlewu. DNA na jednej z nich wykaże, że matka i stryj mówią prawdę. Gdzieś w pobliżu muszą być resztki duńskich smakołyków.

– Szybko – mówi w końcu Claude. – Przećwiczmy to. Gdzie zaczęła się kłótnia?

– W kuchni.

– Nie. W progu domu. O co poszło?

– O pieniądze.

– Nie. O to, że chciał cię wyrzucić. Od jak dawna był w depresji?

– Od lat.

– Od miesięcy. Ile mu pożyczyłem?

– Tysiąc.

– Pięć tysięcy. Chryste. Trudy.

– Jestem w ciąży. Człowiek od tego głupieje.

– Sama to wczoraj powiedziałaś. Wszystko tak, jak było, plus depresja, minus smoothies, plus kłótnia.

– Plus rękawiczki. Minus to, że chciał się wprowadzić.

– No właśnie. Dalej. Co go wpędziło w depresję?

– My. Długi. Praca. Dziecko.

– Świetnie.

Powtarzają to po raz drugi. Za trzecim brzmi lepiej. Jakie to wszystko cholernie pokręcone, skoro życzę im sukcesu.

– Powiedz jeszcze raz.

– Tak jak było. Minus smoothies, plus kłótnia i rękawiczki, minus depresja, plus, że się wprowadzał.

– Nie. Kurwa! Trudy. Plus depresja, minus smoothies, plus kłótnia, plus rękawiczki, minus, że się wprowadzał.

Rozlega się dzwonek do drzwi i oboje zastygają w bezruchu.

– Powiedz im, że nie jesteśmy jeszcze gotowi.

Tak wyobraża sobie matka dobry żart. A może to dowód jej przerażenia.

Mrucząc pod nosem przekleństwa, Claude podchodzi do wideofonu, po czym zmienia zdanie i rusza w stronę schodów i frontowych drzwi.

Trudy i ja przechadzamy się nerwowo po kuchni. Ona też mruczy pod nosem, dopracowując swoją opowieść. Każdy kolejny wysiłek pamięci oddala ją, co bardzo przydatne, od rzeczywistych wydarzeń. Uczy się na pamięć swoich wspomnień. Błędy w odczycie będą przemawiały na jej korzyść. Z początku będą użytecznym zabezpieczeniem, później staną się prawdą. Może także powiedzieć

sobie: to nie ja kupiłam glikol, nie ja poszłam na Judd Street, nie ja zmiksowałam napoje, podrzuciłam rzeczy do samochodu, wyrzuciłam blender. Wysprzątała kuchnię – ale prawo chyba tego nie zabrania. Przekonana, wyzwoli się od wyrzutów sumienia i zwiększy swoje szanse. Skuteczne kłamstwo, podobnie jak mistrzowskie uderzenie w golfie, polega na wyzbyciu się samoświadomości. Słuchałem sprawozdań sportowych.

Koncentruję się i usiłuję rozróżnić kroki. Starsza inspektor Allison mimo wysokiej rangi jest szczupła, właściwie lekka jak ptaszek. Wymieniane są uściski dłoni. Sierżant rzuca drewniane: „Dzień dobry państwu" i rozpoznaję po głosie starszego mężczyznę z wczorajszej wizyty. Co zablokowało jego awans? Pochodzenie klasowe, niskie wykształcenie, iloraz inteligencji, jakiś skandal – mam nadzieję, że to ostatnie, za co sam byłby odpowiedzialny i nie zasługiwał na moje współczucie.

Bystra starsza inspektor siada przy kuchennym stole i zaprasza wszystkich, by zrobili to samo, jakby dom należał do niej. Wyobrażam sobie, że zdaniem matki komuś takiemu łatwiej będzie zwieść mężczyznę. Allison otwiera teczkę i mówiąc, bez przerwy naciska sprężynowy przycisk swego długopisu. Przede wszystkim pragnie nam zakomunikować – w tym momencie robi dramatyczną przerwę, by, jestem tego pewien, spojrzeć głęboko w oczy Trudy i Claude'owi – że głęboko współczuje nam straty ukochanego męża, ukochanego brata, ukochanego przyjaciela. Nie ukochanego ojca. Walczę ze znajomym, wzbierającym we mnie poczuciem wykluczenia. Ale ma ciepły głos, mocniejszy, niż wskazywałaby jej postura, swobodny z racji pełnionego urzędu. Lekki cockney świadczy o wielkomiejskiej pewności siebie i niełatwo będzie stawić mu czoło. Na pewno nie przy użyciu ściśniętych dużym kosztem samogłosek matki. Tym razem nie uda jej się stara sztuczka. Historia posunęła się naprzód. Pewnego dnia większość brytyjskich mężów stanu będzie mówiła jak starsza inspektor. Zastanawiam się, czy ma przy sobie broń. Jest na to zbyt ważna. Jak królowa, która nie nosi pieniędzy. Strzelanie do ludzi jest dla sierżantów i niższych szarż.

Allison wyjaśnia, że ta nieoficjalna rozmowa ma jej pomóc w lepszym zrozumieniu tragicznych wydarzeń. Trudy i Claude nie muszą odpowiadać na jej pytania. Tu się jednak myli. Oboje są przekonani, że muszą. Odmowa byłaby podejrzana. Ale jeśli starsza inspektor wyprzedza ich o jeden krok, może uznać, że zgoda jest jeszcze bardziej podejrzana. Ci, którzy nie mają nic do ukrycia, nalegaliby na obecność adwokata, by uchronić się przed błędem policji lub niezgodnym z prawem wtrącaniem się w prywatne sprawy.

Kiedy sadowimy się wokół stołu, odnotowuję ze smutkiem brak grzecznościowych pytań na mój temat. Kiedy poród? Chłopiec czy dziewczynka?

Starsza inspektor nie traci czasu.

– W czasie gdy będziemy rozmawiać, możecie oprowadzić mnie po domu.

To bardziej polecenie niż prośba. Claude skwapliwie, zbyt skwapliwie, je akceptuje.

– O, tak! Tak!

Alternatywą byłby nakaz przeszukania. Ale na górze, poza bałaganem, nie ma nic, co mogłoby zainteresować policję.

– Pani mąż przyjechał tu wczoraj mniej więcej o dziesiątej rano? – pyta starsza inspektor, zwracając się do Trudy.

– Zgadza się. – Matka mówi to beznamiętnym tonem, dając przykład Claude'owi.

– I atmosfera była napięta.

– Oczywiście.

– Dlaczego oczywiście?

– Mieszkam z jego bratem w domu, który John uważał za własny.

– A czyj to dom?

– Jest wspólną własnością małżonków.

– Małżeństwo dobiegło końca?

– Tak.

– Mogłabym o coś zapytać? On też uważał, że dobiegło końca?

Trudy waha się. Odpowiedź może być dobra i zła.

– Chciał, żebym do niego wróciła, ale nie miał zamiaru rezygnować ze swoich przyjaciółek.

– Zna pani jakieś nazwiska?

– Nie.

– Ale mówił pani o nich.

– Nie.

– Mimo to pani wiedziała.

– Oczywiście, że wiedziałam.

Trudy pozwala sobie na odrobinę pogardy. Jakby chciała powiedzieć: „To ja jestem tutaj prawdziwą kobietą". Zignorowała jednak instrukcje Claude'a. Miała mówić prawdę, pomijając tylko to, co uzgodnili. Słyszę, jak mój stryj wierci się na krześle.

Nie robiąc nawet najkrótszej przerwy, Allison zmienia temat.

– Piliście kawę.

– Tak.

– Wszyscy troje. Przy tym stole?

– Wszyscy troje. – Odpowiedzi udziela Claude, może w obawie, że jego milczenie zostanie źle odebrane.

– Coś jeszcze?

– Co?

– Oprócz kawy. Poczęstowaliście go czymś innym?

– Nie. – W głosie matki słychać ostrożność.

– A co było w tej kawie?

– Słucham?

– Mleczko? Cukier?

– Zawsze pił czarną.

Tętno matki przyspiesza.

Po zachowaniu Clare Allison nie sposób się jednak niczego domyślić.

– Więc pożyczył mu pan pieniądze – zwraca się do Claude'a.

– Tak.

– Ile?

– Pięć tysięcy – odpowiadają nierównym chórem Claude i Trudy.

– Dał mu pan czek?

– Gotówkę. Tak jak chciał.

– Bywał pan w tym barze przy Judd Street?

Odpowiedź Claude'a jest równie szybka jak pytanie.

– Byłem raz albo dwa. To John nam o nim powiedział.

– Rozumiem, że wczoraj pan u nich nie był.

– Nie.

– Nigdy nie pożyczał pan od niego tego czarnego kapelusza z szerokim rondem?

– Nigdy. Nie w moim stylu.

To może być zła odpowiedź, ale nie ma czasu się nad tym zastanowić. Pytania mają teraz inny ciężar gatunkowy. Serce Trudy bije szybciej. Na jej miejscu wolałbym się nie odzywać, żeby nie zdradził mnie głos. Ale ona robi to, przez ściśnięte gardło.

– To prezent urodzinowy ode mnie. Bardzo lubił ten kapelusz.

Starsza inspektor chciała już przejść dalej, ale cofa się.

– To wszystko, co widać na nagraniach z monitoringu. Wysłaliśmy kapelusz, żeby sprawdzili DNA.

– Nie zaproponowaliśmy wam żadnej kawy ani herbaty – mówi Trudy swoim odmienionym głosem.

Starsza inspektor chyba odmawia, kręcąc głową, w imieniu swoim i nadal milczącego sierżanta.

– Na tym to się teraz głównie opiera – oznajmia nostalgicznym tonem. – Na badaniach laboratoryjnych i zapisach z monitoringu. Na czym to stanęliśmy? Aha, że atmosfera była napięta. Ale w notatkach widzę, że doszło do kłótni.

Claude dokonuje pewnie teraz tych samych szybkich kalkulacji co ja. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: tak, pożyczył kapelusz jakiś czas temu.

– Tak – potwierdza Trudy. – Do jednej z wielu.

– Nie pogniewa się pani, jeśli zapytam…

– Chciał, żebym się wyprowadziła. Odparłam, że zrobię to w stosownym czasie.

– W jakim był stanie umysłu, kiedy stąd odjeżdżał?

– Niedobrym. Był w rozsypce. Zdezorientowany. Tak naprawdę wcale nie chciał, żebym odeszła. Chciał mnie odzyskać. Próbował wzbudzić we mnie zazdrość, mówiąc, że Elodie jest jego kochanką. Wyjaśniła nam to. Nie było żadnego romansu.

Za dużo szczegółów. Trudy próbuje odzyskać kontrolę. Ale mówi zbyt szybko. Musi zaczerpnąć powietrza.

Clare Allison milczy, a my czekamy, by zorientować się, w jakim podąży teraz kierunku. Ona jednak zostaje przy poprzedniej kwestii i przedstawia rzecz tak delikatnie, jak tylko potrafi.

– Z moich informacji wynika coś innego.

Chwila odrętwienia, jakby wyłączony został cały dźwięk. Przestrzeń wokół mnie kurczy się, z Trudy jak gdyby schodziło powietrze. Jej kręgosłup garbi się jak u starej kobiety. A ja jestem z siebie trochę dumny. Od początku żywiłem pewne podejrzenia. A oni tak skwapliwie uwierzyli Elodie. Teraz wiedzą: piastunka jest na pewno w przekwicie. Ale ja też powinienem uważać. Starsza inspektor może mieć własny powód, by kłamać. Klika swoim długopisem, gotowa kontynuować.

– No cóż, przypuszczam, że oszukiwano mnie jeszcze bardziej, niż sądziłam – mówi cienkim głosem matka.

– Przykro mi, pani Cairncross. Ale moje źródła są wiarygodne. Powiedzmy po prostu, że to skomplikowana młoda kobieta.

Mógłbym zacząć teoretyzować, że dla Trudy nie jest źle być stroną poszkodowaną, mieć coś, co potwierdza jej opowieść o niewiernym mężu. Ale osłupiałem; oboje osłupieliśmy. Kiedy starsza inspektor zadaje matce kolejne pytanie, mój ojciec, ta nieoznaczona zasada, oddala się ode mnie jeszcze bardziej. Trudy odpowiada tym samym cienkim głosem, w którym teraz słychać drżenie skarconej dziewczynki.

– Jakaś przemoc?

– Nie.

– Groźby?

– Nie.

– A z pani strony?

– Żadnych.

– Ta jego depresja… Co może mi pani o niej powiedzieć?

Pytanie jest uprzejme i musi być pułapką. Ale Trudy od razu na nie odpowiada. Zbyt rozkojarzona, by wymyślać nowe kłamstwa, zbyt mocno wierząca we własną prawdę, powtarza wszystko, co powiedziała wcześniej, tymi samymi nieprzekonującymi słowami. W ciągłym mentalnym bólu… smagający tych,

których kochał… wydzierał wiersze z duszy. Oczyma wyobraźni widzę paradę powłóczących nogami żołnierzy w podartych mundurach. Utrzymana w odcieniu sepii reminiscencja z podcastu na temat wojen napoleońskich, w wielu odcinkach. Z czasów, gdy ja i matka byliśmy wyluzowani. Jaka szkoda, pamiętam, jak myślałem, że mały kapral nie został w swoim kraju i nie pisał dalej dobrych praw dla Francji.

– Był swoim najgorszym wrogiem – wtrąca Claude.

– Nie miał innych wrogów poza sobą?

Zmieniona akustyka zdradza, że starsza inspektor odwróciła się, by popatrzeć mu prosto w twarz. Jej ton niczego nie przesądza. Forma pytania jest w najlepszym razie niefrasobliwa, w najgorszym kryje w sobie złowrogą sugestię.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko.

– Niech pan mi opowie – prosi Allison cieplejszym tonem – o waszym wspólnym dzieciństwie. To znaczy, jeśli nic nie stoi na przeszkodzie.

Nic nie stoi.

– Byłem młodszy o trzy lata. We wszystkim był dobry. W sportach, nauce, podrywaniu dziewcząt. W ogóle mnie nie zauważał. Kiedy dorosłem, odniosłem sukces w jedynej dziedzinie, w której mu nie szło. W zarabianiu pieniędzy.

– W nieruchomościach.

– Tak jakby.

Starsza inspektor zwraca się ponownie do Trudy.

– Ten dom jest na sprzedaż?

– Z całą pewnością nie.

– Słyszałam, że jest.

Trudy nie odpowiada. Jej pierwsze właściwe posunięcie od kilku minut.

Zastanawiam się, czy starsza inspektor jest w mundurze. Musi być. Na stole obok jej łokcia na pewno leży przypominająca wielki dziób czapka z daszkiem. Moim zdaniem nie darzy sympatią naszych braci mniejszych, ma pociągłą twarz, wąskie usta i jest zapięta na ostatni guzik. Chodząc, kiwa z pewnością głową niczym pingwin. Sierżant uważa ją za piłę, z widokami na awans, o którym on może tylko marzyć. Zrobi spektakularną karierę. Albo zdecydowała, że John Cairncross popełnił samobójstwo, albo ma powody sądzić, że zaawansowana ciąża jest dobrą przykrywką dla popełnienia zbrodni. Wszystko, co mówi starsza inspektor, nawet najdrobniejsze uwagi, można interpretować w najróżniejszy sposób. Możemy tylko gubić się w domysłach. Podobnie jak Claude może być sprytna lub głupia. Albo i sprytna, i głupia. Po prostu tego nie wiemy. Nasza ignorancja jest jej atutem. Zgaduję, że coś podejrzewa, lecz o niczym nie wie. I że jej zwierzchnicy mają ją na oku. Że musi być delikatna, ponieważ nasza rozmowa nie jest zgodna z procedurą i uzyskane w jej trakcie dowody mogą zostać podważone. Że jeśli będzie trzeba, wybierze to, co stosowne, a nie to, co

prawdziwe. Że jej kariera jest jajkiem i będzie je wysiadywać, grzać i czekać.

Ale myliłem się już wcześniej.

Dziewiętnaście

Co teraz? Clare Allison chce się rozejrzeć. Zły pomysł. Ale wycofanie zgody w chwili, gdy czujemy, że sprawy nie idą dobrze, pogorszy tylko sytuację. Sierżant idzie pierwszy po drewnianych schodach, za nim Claude, starsza inspektor, na końcu matka i ja. Na parterze starsza inspektor oświadcza, że jeśli nie mamy nic przeciwko, chciałaby wejść na samą górę i później schodzić. Trudy nie ma ochoty wspinać się wyżej. Pozostali ruszają dalej, my idziemy do salonu, by usiąść i zastanowić się.

Wysyłam me chyże myśli przed nimi, najpierw do biblioteki. Osypujący się tynk, zapach śmierci, ale poza tym względny porządek. Piętro wyżej sypialnia i łazienka, chaos intymnej natury, łóżko – kłębowisko żądzy i nieprzespanych nocy, podłoga usłana lub zawalona porzuconymi ubraniami Trudy, w łazience to samo – pełno niezakręconych słoiczków, mazideł, brudnej bielizny. Zastanawiam się, jak interpretują bałagan podejrzliwe oczy. Nie może być moralnie obojętny. Pogarda dla rzeczy, dla porządku i czystości musi iść w parze z lekceważeniem praw, wartości, samego życia. Czym jest kryminalista, jeśli nie zagubioną duszą? Z drugiej strony porządek w sypialni też może budzić podejrzenia. Starsza inspektor, z błyszczącymi jak u drozda oczami, ogarnie to jednym spojrzeniem i odejdzie. Ale podświadoma odraza może wpłynąć na jej osąd.

Nad pierwszym piętrem również są pokoje, ale nigdy nie zapuściłem się tak daleko. Przyzywam swoje myśli z powrotem i niczym posłuszne dziecko koncentruję się na stanie matki. Jej tętno się wyrównało. Wydaje się niemal spokojna. Może to fatalizm. Jej rozdęty pęcherz ciśnie mnie w głowę. Ale nie powinna chodzić teraz do toalety. Sporządza bilans, analizuje pewnie ich plan. Powinna rozważyć, co jest dla niej dobre. Odciąć się od Claude'a. Jakoś go w to wkopać. Nie ma sensu odsiadywać wyroku we dwójkę. Ona i ja moglibyśmy się tu zaszyć. Mieszkając sama w dużym domu, nie będzie chciała mnie oddać. W takim wypadku obiecuję, że jej wybaczę. Albo porachuję się z nią później.

Nie ma jednak czasu na snucie planów. Słyszę, jak idą na dół. W drodze do frontowych drzwi mijają otwarte drzwi salonu. Starsza inspektor nie odejdzie chyba, nie pożegnawszy się najpierw z pogrążoną w żalu wdową. Claude otworzył drzwi, żeby pokazać Allison, gdzie jego brat zaparkował samochód, powiedzieć, jak z początku nie mógł uruchomić silnika i jak mimo kłótni pomachali do niego, gdy mu się udało i wyjechał tyłem na jezdnię. Lekcja prawdomówności.

Chwilę później Claude i policjanci stają przed nami.

– Trudy… mogę ci mówić Trudy? To dla ciebie taki straszny czas, a byłaś taka pomocna. Tak miło nas przyjęłaś. Nie potrafię… – Starsza inspektor przerywa, bo coś przykuło jej uwagę. – To twojego męża?

Patrzy na kartonowe pudła, które ojciec wniósł do środka i zostawił pod

wykuszowym oknem. Matka wstaje z fotela. Jeśli czekają ją kłopoty, lepiej będzie stawić im czoło na stojąco. Ze sterczącym brzuchem.

– Przenosił się tu z powrotem. Wyprowadzał się z Shoreditch.

– Mogę zobaczyć?

– To tylko książki. Ale proszę bardzo.

Słychać westchnienie sierżanta, który klęka, by otworzyć pudła. Wydaje mi się, że starsza inspektor przykuca na piętach. Teraz przypomina już nie drozda, lecz gigantyczną kaczkę. Nie powinienem jej nie lubić. Reprezentuje rządy prawa, a ja zaliczam się już do zwolenników Hobbesa. Państwo musi mieć monopol na przemoc. Ale denerwuje mnie jej zachowanie, to, jak przerzuca rzeczy ojca, jego ulubione książki, udając jednocześnie, że mówi do siebie, wiedząc, że nie mamy wyboru, musimy jej słuchać.

– Nie rozumiem tego. To takie smutne… na poboczu drogi…

To oczywiście przedstawienie, preludium. I faktycznie, Allison podnosi się. Myślę, że patrzy na Trudy. Może na mnie.

– Ale prawdziwa zagadka jest inna. Żadnych odcisków na butelce z glikolem. Nic na kubku. Dostałam właśnie wiadomość z laboratorium. Najmniejszego śladu. To dziwne.

– Ach! – odzywa się Claude, ale Trudy nie daje mu dojść do głosu.

Powinienem ją ostrzec. Nie wolno się tak spieszyć. Zbyt szybko przedstawia wyjaśnienie.

– Rękawiczki. Cierpiał na chorobę skóry. Tak się wstydził swoich dłoni.

– No tak, rękawiczki! – wykrzykuje starsza inspektor. – Racja. Na śmierć zapomniałam! – Rozkłada kartkę. – Te?

Matka daje krok do przodu, by spojrzeć. To musi być kserokopia fotografii.

– Tak.

– Miał inną parę?

– Nie takich jak te. Mówiłam mu, że ich nie potrzebuje. Tak naprawdę nikomu to nie przeszkadzało.

– Nosił je przez cały czas?

– Nie. Ale bardzo często, zwłaszcza kiedy był zdołowany.

Starsza inspektor zbiera się do wyjścia i odczuwamy ulgę. Odprowadzamy ją do holu.

– Jedno jest zabawne. Kolejna wiadomość z laboratorium. Telefonowali dziś rano, ale wyleciało mi to z głowy. Powinnam wam była powiedzieć. Dzieje się tyle innych rzeczy. Cięcia w służbach publicznych. Fala lokalnej przestępczości. Nieważne. Chodzi o palec wskazujący i kciuk prawej rękawiczki. Nigdy byście nie zgadli. Gniazdo niewielkich pajączków. Jest ich tam całe mnóstwo. I, Trudy, pewnie cię to ucieszy… małe czują się świetnie. Już pełzają!

Ktoś otwiera frontowe drzwi, najprawdopodobniej sierżant. Starsza inspektor

wychodzi na zewnątrz. Kiedy się oddala, jej głos cichnie i zlewa się z dźwiękiem przejeżdżających samochodów.

– Za nic nie mogę sobie przypomnieć łacińskiej nazwy. Minęło sporo czasu, odkąd ktoś ostatnio zakładał tę rękawiczkę.

Sierżant kładzie rękę na ramieniu matki i w końcu się odzywa.

– Wrócimy jutro rano – mówi cicho na pożegnanie. – Żeby wyjaśnić parę ostatnich rzeczy.

Dwadzieścia

W końcu coś zależy od nas. Trzeba podjąć jakieś decyzje, pilne, nieodwracalne, straceńcze. Lecz najpierw Trudy potrzebuje dwóch minut dla siebie. Zbiegamy szybko do piwnicy, do przybytku, który dowcipni Szkoci nazywają wypierdkiem. Zmniejsza się tam ucisk na moją czaszkę i kiedy matka, wzdychając pod nosem, kuca kilka sekund dłużej, niż to konieczne, myśli klarują mi się w głowie. Bądź też podążają w nowym kierunku. Ceniąc sobie przede wszystkim własną wolność, uważałem, że mordercom powinno się upiec. Ten pogląd jest, być może, zbyt wąski, zbyt egoistyczny. Trzeba wziąć pod uwagę inne względy. Nienawiść do mojego stryja może przewyższać miłość do matki. Ukaranie go może być czymś szlachetniejszym niż jej ocalenie. Możliwe jednak, że osiągnę jedno i drugie.

Nadal się tym trapię, kiedy wracamy do kuchni. Okazuje się, że po wyjściu policji Claude nabrał apetytu na szkocką. Wchodząc i słysząc kuszący dźwięk, gdy nalewa trunek z butelki, Trudy zdaje sobie sprawę, że też musi się napić. Dużą szkocką. Pół na pół z kranówą. Stryj spełnia w milczeniu jej życzenie. W milczeniu stają naprzeciwko siebie przy zlewie. To nie jest właściwa chwila na toast. Analizują nawzajem swoje błędy, a czasami nawet własne. Lub decydują, co robić. To sytuacja, której się obawiali i na której wypadek układali plany. Wychylają swoje porcje i bez słów szykują się na następne. Nasze życie już wkrótce się zmieni. Starsza inspektor Allison wisi nad nami niczym kapryśna uśmiechnięta bogini. Dopiero gdy będzie za późno, dowiemy się, dlaczego nie dokonała aresztowań już teraz, dlaczego nas zostawiła. Chce zamknąć sprawę, czeka na wyniki DNA na kapeluszu, ma zamiar kontynuować śledztwo? Matka i stryj muszą wziąć pod uwagę, że każda decyzja, którą teraz podejmą, mogła być przez nią przewidziana i że starsza inspektor czeka. Możliwe jest też, że nie zdaje sobie sprawy z ich tajemnego planu i że wyprzedzają ją o jeden krok. To dobry powód, by działać śmiało. Zamiast tego na razie wolą się napić. Być może, Clare Allison nie zaskoczy nic, co zrobią, nawet interludium ze słodową whisky. Ale nie, ich jedyną szansą jest podjęcie radykalnych decyzji – i to natychmiast.

Trudy podnosi rękę, odmawiając trzeciej kolejki. Claude jest bardziej niezłomny. Zależy mu na osiągnięciu umysłowej jasności. Słuchamy, jak nalewa – robi to starannie i długo – a potem, jak z trudem przełyka, znajomy dźwięk. Zastanawiają się chyba, jak uniknąć sprzeczki w chwili, gdy potrzebne jest współdziałanie. Z daleka słychać dźwięk syreny. To zwykły ambulans, ale działa na wyobraźnię. Miasto jest oplecione niewidoczną koronkową siecią państwa. Trudno się z niej wymknąć. To bodziec, bo w końcu słychać mowę, użyteczne stwierdzenie oczywistości.

– Jest źle. – Głos matki jest niski i schrypnięty.

– Gdzie są paszporty?
– Ja je mam. A gotówka?
– W mojej walizce.

Ale nie poruszają się i asymetria tej wymiany zdań – wymijająca odpowiedź Trudy – nie prowokuje stryja. Kiedy on wypija trzecią whisky, do mnie dociera pierwsza wypita przez Trudy. Mało zmysłowa, ale pasuje do okazji, do poczucia, że coś się kończy i nic nie zaczyna. Wyobrażam sobie starą wojskową drogę wiodącą przez zimny wąwóz, zapach mokrej skały i torfu, szczęk żelaza, odgłosy mozolnego marszu po luźnych kamieniach i brzemię gorzkiej niesprawiedliwości. Tak daleko od nasłonecznionych południowych stoków, od szarego nalotu na nabrzmiałych fioletowych gronach, między którymi widać niknące w oddali wzgórza i kładące się na nich odcienie jaśniejszego indygo. Tam właśnie wolałbym być. Ale przyznaję – szkocka, moja pierwsza szkocka, coś uwalnia. To bolesne wyzwolenie – otwarta brama wiedzie ku zmaganiom i obawie, co może stworzyć umysł. Coś takiego przytrafia się teraz mnie. Pada pytanie, zadaję je sobie sam, czego pragnę w tej chwili najbardziej. Wszystko jest możliwe. Niechaj nie ogranicza mnie realizm. Przetnijmy więzy, uwolnijmy umysł. Mogę odpowiedzieć bez zastanowienia – przekraczam otwartą bramę.

Kroki na schodach. Zaskoczeni Trudy i Claude podnoszą wzrok. Czy to inspektor znalazła sposób, by dostać się do domu? Czy to włamywacz wybrał najgorszą ze wszystkich nocy? Ktoś idzie na dół powolnym, ciężkim krokiem. Widzą czarne skórzane buty, spodnie zapięte na pasek, koszulę zabrudzoną wymiocinami i w końcu straszliwe oblicze, jednocześnie puste i zdecydowane. Ojciec ma na sobie ubranie, w którym umarł. Z jego twarzy odpłynęła cała krew, gnijące wargi mają zielonkawoczarny odcień, oczy są małe i przenikliwe. Staje u stóp schodów, wyższy, niż go pamiętamy. Trafił tu do nas z kostnicy i dokładnie wie, czego chce. Zaczynam drżeć, bo drży moja matka. Postać wcale nie migocze, nie ma w niej nic upiornego. To z krwi i kości mój ojciec, John Cairncross, dokładnie taki, jaki jest. Jęk przerażenia matki najwyraźniej go zachęca, bo rusza w naszą stronę.

– John – mówi Claude ostrożnie, na wznoszącej się nucie, jakby mógł przywrócić tę postać do właściwego niebytu. – To my, John.

Wydaje się to chyba jasne. Ojciec staje tuż przed nami, roztaczając wokół siebie słodkie miazmaty glikolu i zżeranego przez robaki ciała. Osobą, w którą wpatruje się małymi czarnymi oczami z twardego kamienia, jest moja matka. Jego budzące odrazę usta poruszają się, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Język jest czarniejszy od warg. Ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku, wyciąga rękę. Żylasta dłoń łapie za gardło mojego stryja. Matka nie jest w stanie nawet krzyknąć. Nadal utkwione są w niej jego kamienne oczy. To dla niej, jego podarunek. Nieubłagane palce zaciskają się coraz mocniej. Claude osuwa się na kolana,

wybałusza oczy, bezskutecznie okłada i szarpie rękę brata. Tylko dochodzące z oddali skrzeczenie, żałosny pisk myszy, mówi nam, że on jeszcze żyje. A potem jest już martwy. Ojciec, który ani razu na niego nie spojrzał, puszcza go, przyciąga do siebie żonę i obejmuje ją ramionami, cienkimi i silnymi niczym stalowe pręty. Przybliża do siebie jej twarz i całuje ją długo i twardo lodowatymi, rozkładającymi się ustami. Matkę ogarnia bezbrzeżny wstręt, wstyd i przerażenie. Ta chwila będzie ją prześladowała do końca życia. Obojętny ojciec uwalnia ją z objęć i wycofuje się tą samą drogą, którą przyszedł. Już na schodach jego postać zaczyna zanikać.

No cóż, padło pytanie, sam je zadałem. I chciałem właśnie tego. Dziecinnej halloweenowej fantazji. Jak inaczej zamówić zemstę ducha w świeckim stuleciu? Gotyckość została słusznie zakazana, wiedźmy opuściły wrzosowiska, i materializm, przysparzający tylu problemów duszy, jest wszystkim, co mi pozostało. Głos w radiu powiedział kiedyś, że zrozumiawszy w pełni, czym jest materia, poczujemy się lepiej. Raczej w to wątpię. Nigdy nie będę miał tego, czego chcę.

* * *

Otrząsnąwszy się z zadumy, odkrywam, że jesteśmy w sypialni. Nie pamiętam, żebyśmy szli na górę. Głuchy odgłos drzwi szafy, brzęk wieszaków na ubrania, kładziona na łóżku najpierw jedna, potem druga walizka, ostry trzask otwieranych zamków. Powinni się spakować wcześniej. Inspektor może przyjść nawet dziś wieczorem. To nazywają planem? Słyszę przekleństwa i mamrotanie.

– Gdzie to jest? Mam to tutaj. Trzymam w ręce!

Przemierzają w poprzek sypialnię, otwierają szuflady, wchodzą do łazienki, wychodzą z niej. Trudy upuszcza szklankę, która rozbija się na podłodze. Ona nie zwraca na to uwagi. Z jakiegoś powodu jest włączone radio. Claude siada przy swoim laptopie.

– Pociąg jest o dziewiątej – mówi. – Taksówka już jedzie.

Wolałbym Paryż od Brukseli. Lepsze połączenia z całym światem. Trudy nadal jest w łazience.

– Dolary, euro – mruczy.

We wszystkim, co mówią, nawet w wydawanych przez nich dźwiękach słychać nutę pożegnania, smutny finalny akord. To koniec; już tu nie wrócimy. Dom mojego dziadka, w którym powinienem dorastać, odejdzie w niepamięć. Chciałbym przypomnieć sobie listę krajów, z którymi nie mamy traktatów o ekstradycji. Większość jest nieprzyjemna, źle rządzona, gorąca. Słyszałem, że w Pekinie mają fajne miejsce dla zbiegów. Kwitnącą wioskę mówiących po angielsku łotrów, ukrytą w gęsto zaludnionej rozległej światowej metropolii. Dobre miejsce na zakończenie.

– Tabletki nasenne i przeciwbólowe! – woła Claude.

Jego głos, ton, jakim to powiedział, mobilizuje mnie. Pora podjąć decyzję. Claude zamyka walizki, zapina skórzane paski. Tak szybko. Musieli być chyba prawie spakowani. To staroświeckie walizki, na dwóch, nie czterech kółkach. Claude stawia jedną z nich na podłodze.

– Który? – pyta Trudy.

Trzyma chyba w ręce dwa szaliki. Claude chrząknięciem wskazuje swój wybór. Udają tylko, że wszystko jest w normie. Wsiadając do pociągu i przekraczając granicę, przyznają się do winy. Mają zaledwie godzinę i powinni się pospieszyć. Trudy oznajmia, że jest jakiś płaszcz, który chce zabrać i którego nie może znaleźć. Claude upiera się, że nie będzie go potrzebowała.

– Jest lekki – mówi ona. – Ten biały.

– Będziesz się wyróżniać w tłumie. Na zapisie z monitoringu.

Ale ona i tak go znajduje i w tej samej chwili Big Ben wybija ósmą i zaczynają się wiadomości. Oni nie przerywają, by ich wysłuchać. Jest kilka ostatnich rzeczy, które trzeba dodać. W Nigerii dzieci palone żywcem na oczach rodziców przez tych, którzy nie pozwalają gasić ognia. Rakieta wystrzelona w Korei Północnej. Poziom mórz, który podnosi się na całym świecie bardziej, niż przewidywano. Ale żadnej z tych informacji nie podają na pierwszym miejscu. To jest zarezerwowane dla nowej katastrofy. Bieda, wojna i trzymana w rezerwie zmiana klimatu, wypędzające z domów miliony, starożytny epos w nowej formie, wędrówki ludów, niczym wezbrane rzeki na wiosnę, Dunaj, Ren i Rodan wściekłych, zrujnowanych lub pełnych nadziei ludzi, którzy na granicach napierają na bramy z drutu kolczastego i toną tysiącami, by uszczknąć coś z bogactw Zachodu. Jeśli, jak głosi nowy slogan, ma to wymiar biblijny, nie rozstępują się przed nimi ani Morze Egejskie, ani kanał La Manche. Stara Europa rzuca się we śnie, miota między współczuciem a strachem, między udzielaniem pomocy a dawaniem odporu. W jednym tygodniu pełna empatii i serdeczna, w następnym nieczuła i aż do bólu rozsądna, chce pomóc, lecz nie chce się dzielić ani stracić tego, co ma.

I jak zawsze problemy w bliższym otoczeniu. Nie zważając na brzęczące telewizory i radioodbiorniki, ludzie zajmują się swoimi sprawami. Jakaś para skończyła się pakować przed podróżą. Walizki są już zamknięte, ale młoda kobieta chce zabrać zdjęcie swojej matki. Ciężka rzeźbiona rama jest zbyt duża, by ją zapakować. Bez odpowiedniego narzędzia fotografii nie da się wyjąć, a narzędzie, specjalny rodzaj klucza, jest gdzieś w piwnicy, schowane głęboko w szufladzie. Przed domem czeka taksówka. Pociąg odchodzi za pięćdziesiąt pięć minut, dworzec jest dość daleko, mogą być kolejki do kontroli bezpieczeństwa i odprawy paszportowej. Mężczyzna wynosi jedną walizkę na podest schodów i wraca lekko zdyszany. Powinien skorzystać z kółek.

– Naprawdę powinniśmy już wyjść.

– Muszę zabrać to zdjęcie.

– Możesz je wziąć pod pachę.

Ale ona dźwiga już mnie, a poza tym ma torebkę, biały płaszcz i walizkę, którą będzie za sobą ciągnąć.

Claude podnosi ze stęknięciem drugą walizkę, by ją wynieść. Ten niepotrzebny wysiłek ma jej uprzytomnić, jak bardzo się spieszą.

– To nie zajmie nawet minuty. Klucz jest z przodu szuflady po lewej stronie.

Claude wraca.

– Trudy. Wychodzimy. Natychmiast.

Ton już nie lapidarny, lecz ultymatywny.

– Możesz to za mnie ponieść.

– Wykluczone.

– Claude. To moja matka.

– Mam to gdzieś. Wychodzimy.

Ale nie wychodzą. Po wszystkich moich wahaniach i korektach, mylnych interpretacjach i spostrzeżeniach, próbach skończenia ze sobą i użalaniu się na własną bierność, podjąłem decyzję. Dosyć tego. Worek owodniowy, w którym się znajduję, jest przezroczystą jedwabną sakwą, delikatną i mocną. Jest w nim także płyn, który chroni mnie przed światem i złymi snami. Ale to już przeszłość. Pora dołączyć. Pora skończyć zakończenia. Pora zacząć. Niełatwo wyzwolić przyciśniętą ciasno do piersi prawą rękę i poruszyć nadgarstkiem. Ale teraz mi się udało. Palec wskazujący jest specjalnym narzędziem, którym wyjmę moją matkę z ramy. Do porodu jeszcze dwa tygodnie, a paznokcie są już takie długie. Próbuję po raz pierwszy zrobić nacięcie. Mam miękkie paznokcie, a błona, choć delikatna, jest twarda. Ewolucja zna się na rzeczy. Szukam rysy, którą zrobił mój palec. Znajduję ją, dość wyraźną, i tam właśnie próbuję ponownie, i jeszcze raz, aż w końcu przy piątej próbie wyczuwam cieniutką kreskę, a przy szóstej leciutkie pęknięcie. Poruszając paznokciem, wsuwam w to rozdarcie palec, potem dwa, trzy, cztery palce i w końcu przechodzi przez nie moja zwinięta piąstka, a za nią wylewa się kaskada wody, dająca początek życiu katarakta. Moja wodna ochrona zniknęła.

Nie dowiem się już nigdy, jak zakończyłaby się kwestia fotografii i odjeżdżającego o dziewiątej pociągu. Claude wyszedł z sypialni i stoi u szczytu schodów. W obu rękach trzyma walizki, szykując się do zejścia.

– Och, Claude! – woła matka, wydając coś, co brzmi jak jęk rozczarowania.

– Co znowu?

– Zaczyna się. Odeszły mi wody!

– Zajmiemy się tym później. W pociągu.

Musiał uznać, że to jakaś sztuczka, dalszy ciąg kłótni, odrażająca forma kobiecych kłopotów, nad którą nie ma teraz czasu się zastanawiać.

Zrzucam z siebie czepek, to moja pierwsza wprawka w rozbieraniu. Idzie mi

niesporo. Trzy wymiary wydają się trzema wymiarami za dużo. Przewiduję, że świat materialny okaże się prawdziwym wyzwaniem. Porzucony całun zwija się wokół moich kolan. Nieważne. Mam teraz nową sprawę pod głową. Nie wiem, skąd wiem, co robić. To zagadka. Przybywamy po prostu na świat z pewną wiedzą. W moim przypadku to jest to, a także powierzchowna znajomość prozodii. Nie jestem więc niezapisaną tabliczką. Podnoszę tę samą rękę do policzka i sunę dalej wzdłuż mięśniowej ściany macicy, by sięgnąć w dół i odnaleźć jej szyjkę. Czuję mocny ucisk z tyłu głowy. To tam, przy tym oknie na świat, delikatnie poruszam wątłymi paluszkami i natychmiast, zupełnie jakbym rzucił jakieś zaklęcie, budzi się wielka moc mojej matki. Otaczające ściany falują, drżą i zamykają się wokół mnie. To trzęsienie ziemi, wielka metamorfoza w jej pieczarze. Niczym uczeń czarnoksiężnika jestem przerażony i miażdżony przez siłę, którą wyzwoliłem. Powinienem poczekać na swoją kolej. Tylko głupiec zadzierałby z taką potęgą. Z oddali dobiega mnie głos matki. To może być wołanie o pomoc albo okrzyk triumfu lub bólu. Chwilę później czuję na czubku głowy swoją koronę – jednocentymetrowe rozwarcie! Nie ma już odwrotu.

Trudy wczołgała się na łóżko. Claude jest gdzieś w pobliżu drzwi. Matka dyszy, podniecona i pełna strachu.

– Zaczęło się. To dzieje się tak szybko. Wezwij ambulans.

Claude przez chwilę nic nie mówi, a potem zadaje proste pytanie.

– Gdzie jest mój paszport?

Popełniłem błąd. Nie doceniłem go. Celem wcześniejszego porodu miało być pogrążenie Claude'a. Wiedziałem, że będą z nim problemy. Sądziłem jednak, że kocha moją matkę i że z nią zostanie. Zaczynam rozumieć, jak wielki jest jej hart ducha.

– Schowałam go – mówi. W tle słychać brzęk monet uderzających o mascarę. Claude przetrząsa jej torebkę. – Na dole. Na wypadek gdyby to się zdarzyło.

Claude zastanawia się. Pracował w nieruchomościach, miał udział w wieżowcu w Cardiff. Zna się na negocjacjach.

– Powiedz, gdzie jest, to wezwę ambulans – odpowiada. – A potem wyjadę.

– Nie – mówi ona. Bacznie obserwując własny stan, czekając, pragnąc i bojąc się następnej fali skurczów. – Jeśli ja pójdę na dno, ty pójdziesz razem ze mną.

– Dobrze. Nie będzie ambulansu.

– Sama ich wezwę. Jak tylko…

Jak tylko minie drugi skurcz, mocniejszy od pierwszego. Ponownie słychać jej mimowolny krzyk i całe ciało zwija się w konwulsjach. Claude podchodzi do łóżka, do szafki z boku, żeby odłączyć telefon, a ja jestem gwałtownie ściskany i zasysany, centymetr albo dwa w dół i do tyłu. Żelazna opaska na mojej głowie

zaciska się coraz bardziej. Losy naszej trójki miażdżone są w jednej paszczy.

– Paszport – mówi Claude obojętnym tonem, niczym funkcjonariusz straży granicznej.

Trudy kręci głową i czeka, aż wróci jej oddech. Wzajemnie trzymają się w szachu.

– W takim razie będziesz musiał zastąpić akuszerkę – oznajmia spokojnie.

– To nie moje dziecko.

– To nigdy nie jest dziecko akuszerki.

Jest wystraszona, ale potrafi go przerazić swoimi instrukcjami.

– Kiedy ono wyjdzie, będzie odwrócone twarzą w dół. Weźmiesz je dwoma rękami, bardzo delikatnie, podtrzymując głowę, i położysz na mnie. Nadal twarzą w dół, między moimi piersiami. Blisko serca. Nie przejmuj się pępowiną. Sama przestanie pulsować i dziecko zacznie oddychać. Położysz na nim kilka ręczników, żeby nie zmarzło. A potem poczekamy.

– Poczekamy? Chryste. Na co?

– Aż wyjdzie łożysko.

Nie wiem, czy się skrzywił, czy zebrało mu się na mdłości. Być może ma nadzieję, że jakoś się z tym uporamy i zdążymy na późniejszy pociąg.

Słucham uważnie, by wiedzieć, co robić. Dać nura pod ręcznik. Oddychać. Nie odzywać się. Ale „ono”?! Przecież musi być różowe albo niebieskie!

– Więc idź i przynieś ręczniki. Będzie dużo krwi. Wyszoruj ręce szczotką i dokładnie wymyj mydłem.

Tak bardzo pozbawiony gruntu pod nogami, tak bardzo zagubiony, mężczyzna bez papierów, który powinien wziąć nogi za pas. Odwraca się i robi, co mu kazała.

I tak to się toczy, fala za falą, krzyki, zawodzenie i błagania, by przestało boleć. Nieubłagany postęp, niepowstrzymane parcie. Pępowina rozwija się za mną, a ja posuwam się powoli naprzód. Naprzód i na zewnątrz. Bezwzględne siły natury chcą mnie zmiażdżyć. Mijam odcinek, którego fragment, o czym wiem, mój stryj, a w każdym razie jego fragment, pokonywał zbyt często w odwrotnym kierunku. Specjalnie się tym nie przejmuję. To, co za jego czasów było waginą, teraz zwie się dumnie drogami rodnymi, jest moją Panamą, a ja, większy niż był on, jestem statecznym statkiem genów, płynącym niespiesznie i godnie, wiozącym ładunek pradawnych informacji. Żaden przypadkowy kutas nie może ze mną konkurować. Przez jakiś czas jestem głuchy, ślepy i niemy i wszędzie mnie boli. Ale moją krzyczącą matkę boli bardziej, gdy składa ofiarę, którą ponoszą wszystkie matki na rzecz swoich wielkogłowych, wrzeszczących głośno noworodków.

Jedna wijąca się chwila, gdy wszystko trzęsie się wściekle w posadach, i oto pojawiam się, goły, wysadzony na brzeg królestwa. Niczym „śmiałek Cortez” (pamiętam wiersz, który kiedyś recytował mój ojciec10), jestem olśniony.

Z niedowierzaniem i zachwytem patrzę w dół, na włochaty niebieski ręcznik kąpielowy. Niebieski. Zawsze wiedziałem, przynajmniej na płaszczyźnie werbalnej, zawsze potrafiłem wydedukować, czym jest niebieskość – kolorem morza, nieba, lapis-lazuli, gencjany – czystych abstrakcji. Teraz w końcu ją mam, posiadłem ją, a ona posiadła mnie. Jest wspanialsza, niż śmiałem wierzyć. A to tylko początek, na indygowym krańcu widma.

Moja wierna pępowina, lina ratownicza, która nie zdołała mnie zabić, umiera nagle śmiercią naturalną. Oddycham. Coś wspaniałego. Moja rada dla noworodków: nie płaczcie, rozejrzyjcie się dokoła, skosztujcie powietrza. Jestem w Londynie. Powietrze jest czyste. Dźwięki wyraźne, jasne, z podkręconymi wysokimi tonami. Mieniący się kolorami ręcznik przywołuje na myśl meczet Goharshad, który doprowadził o świcie do łez mojego ojca. Matka porusza się i razem z nią moja głowa. Widzę nagle Claude'a. Jest mniejszy, niż sobie wyobrażałem, z wąskimi ramionami i lisim spojrzeniem. Nie potrafi ukryć odrazy. Przesiane przez liście platanu zachodzące słońce rzuca ruchome cienie na sufit. Och, jaka to radość móc rozprostować nogi, móc dostrzec na budziku stojącym na szafce nocnej, że już na pewno nie zdążą na pociąg. Ale nie jest mi dane długo rozkoszować się tą chwilą. Moją wątłą klatkę piersiową łapią nieśmiało ręce zabójcy i ląduję na śnieżnobiałym miękkim brzuchu zabójczyni.

Bicie jej serca dobiega z daleka, stłumione, lecz znajome, niczym niesłyszany przez pół życia stary chorał. Muzycznym tempem jest andante, delikatne kroki prowadzące mnie ku naprawdę otwartej bramie. Nie mogę zaprzeczyć, że się boję. Ale jestem skonany, jestem rozbitkiem na szczęśliwym lądzie. Spadam, czując, jak ocean liże moje kostki.

* * *

Trudy i ja musieliśmy się zdrzemnąć. Nie wiem, po ilu minutach słyszymy dzwonek do drzwi. Jaki czysty ma dźwięk. Claude wciąż tu jest, wciąż liczy na swój paszport. Może był na dole i go szukał. Teraz idzie do wideofonu. Zerka na ekran i odwraca się. Nie może być żadnych niespodzianek.

– Jest ich czworo – mówi, bardziej do siebie.

Kontemplujemy to. Już po wszystkim. To nie jest dobre zakończenie. Nigdy nie miało być dobre.

Matka przesuwa mnie, żebyśmy mogli wymienić długie spojrzenie. Czekałem na tę chwilę. Ojciec się nie mylił, ma uroczą twarz. Włosy ciemniejsze, niż myślałem, policzki wciąż zaróżowione po niedawnym wysiłku, nos rzeczywiście malutki. Wydaje mi się, że widzę w tej twarzy cały świat. Piękny. Kochający. Morderczy. Słyszę, jak Claude zrezygnowanym krokiem przemierza pokój, żeby iść na dół. Nie ma na podorędziu żadnego powiedzonka. A ja, nawet

w tym momencie wytchnienia, nawet wpatrując się długo i chciwie w oczy matki, myślę o czekającej przed domem taksówce. Cóż za marnotrawstwo. Pora ją zwolnić. Myślę też o naszej więziennej celi – mam nadzieję, że nie będzie zbyt mała – i o rozbrzmiewających za jej ciężkimi drzwiami znużonych, wznoszących się krokach: najpierw smutku, potem sprawiedliwości, potem znaczenia. Reszta jest chaosem.

Przypisy

1 John Keats, *Wigilia świętej Agnieszki*, przeł. Zofia Kierszys, w: *Poezje wybrane*, PIW, Warszawa 1962.

2 Wilfred Owen, *Hymn dla młodych, skazanych na zgubę*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993.

3 *Swat* (ang.) – packa, pacnąć.

4 James Joyce, *Ulisses*, przeł. Maciej Słomczyński, PIW, Warszawa 1969.

5 James Joyce, *Ulisses*, przeł. Maciej Słomczyński, PIW, Warszawa 1969.

6 Michael Drayton, *Skoro więc nie ma rady, daj ust i bądź zdrowa*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993.

7 William Szekspir, *Ryszard II*, przeł. Leon Ulrich.

8 Andrew Marvell, *Do nieskorej bogdanki*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993.

9 Wystan Hugh Auden, *Poezje*, przeł. Leszek Elektorowicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.

10 John Keats, *Na pierwsze zapoznanie się z Homerem w przekładzie Chapmana*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993.